ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVII.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 5 Września 1892 r.



PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.[1)]

(1833 — 1838).

Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.
Malczewski „Marya".

Prawdziwie to „zagmatwana tragedya", o tyle smutniejsza, że prologiem swym sięgająca wiosny 1825 roku [2)], kiedy na Joannę, najmłodszą z panien Morzkowskich, zawołano po raz pierwszy: Żono! co zgodnie z wykrzykiem Gustawa [3)] miało, nie-

[1)] W przedmiocie tym, jak dotąd, zabierali głos: Piotr Chmielowski („Kobiéty Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego". Warszawa, 1886, wyd. trzecie, str. 250—259), St. Tarnowski („Z listów Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana", 1877. Praca, zawierająca mnóstwo wyjątków z listów Zygmunta, nie objętych t. II-im korespondencyi poety), Jan Gnatowski („Moja Beatrice". Odbitka z „Niwy", Warszawa, 1880, str. 3—5), Dr. Antoni J. („Z życia Zygmunta Krasińskiego", 1890), Bronisław Chlebowski („Nieboska" i „Irydion". Odbitka z „Ateneum", Warszawa, 1884) i Malwina Ogonowska, w któréj dziełku dla Włochów napisaném („Studio critico du Sigismondo Krasiński", Bolon[illegible], 1887 r.), poraz pierwszy znajdujemy podane nazwisko pani Bobrowéj (patrz str. 1[illegible]—14).

Jako źródła wymienić należy: „Listy Z. Krasińskiego", t. I, II, III, a przedewszystkiém: „Listy Zygmunta Krasińskiego od roku 1835 do 1841", pisane do Edwarda Jaroszyńskiego. (Z oryginałów znalezionych niedawno w hajsyńskim powiecie we wsi Hrużce na Podolu ogłosił Mar. Gorzkowski). Wydanie z r. 1871, wykupione przez rodzinę poety.

Prócz tego, w „Irydionie", w „Niedokończonym poemacie", w lirykach („Pisma Z. Krasiń.", t. III), w dedykacyi do „Nocy letniéj" znajduje się również niemało ciekawych szczegółów, „miłości" téj dotyczących.

[2)] Dr. Antoni J., *op. cit.*, str. 16.

[3)] „Dziady". Część czwarta.

stety! oznaczać, że „już ją żywcem pogrzebiono“ „Obyczajem świata“ bowiem, dzieckiem prawie i „bezmiłosną“ wydano ją „czy sprzedano za mąż“...

— O zapłaczcie nademną i nad wszystkiemi siostry mojemi, które, nic jeszcze nie wiedząc, ni czując, idą bezwolnie ciało i ducha oddać tym, co wszystko wiedzą i wszystko już czuli! [1]).

Małżonek jéj, pan Teodor Bóbr Piotrowicki, „człowiek nowy“, z innéj, pośledniejszéj nierównie, aniżeli ona, ulepiony gliny, „wielkiéj ogłady, zręczny, ugrzeczniony a butny, gościnny a przestrzegający etykiety prawie dworskiéj, słowem, typ bogatego indygeny, z kolei przedzierzgniętego w dygnitarza“, form wykończonych [2]), jak na przyszłego „reprezentanta herbownych“ przystało, marzący, jak poeta o sławie, o wyniesieniu na urząd marszałka szlachty wołyńskiéj [3]), „ruchliwy i czynny“, a przytém „całą gębą pan, niezmiernie poważny, niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem“, w gruncie rzeczy bowiem zimny i prozaiczny, jak cyfra, posiadał wszelkie warunki, ażeby w pożyciu z taką, jak Joanna, istotą, nie uczynić jéj szczęśliwą.

Nie od rzeczy téż będzie napomknąć, że otrzymał za nią 4,000,000 złp. posagu [4]) i że, biorąc pannę z domu Morzkowskich, stawał się przez to szwagrem księcia Karola Jabłonowskiego, żonatego z najstarszą siostrą Joanny, Józefą, oraz księcia Radziwiłła, brata generałowéj Wincentowéj Krasińskiéj [5]), ożenionego z Cecylią Morzkowską. Dla pana Bobra, wzbogaconego a ambitnego „szlachetki owruckiego“, musiała możność takiego przestąpienia pańskich, ba, książęcych progów, niemały przedstawiać urok; témbardziéj, że uważał to za jeden ze szczebli owéj drabiny, u któréj szczytu widział w swojéj imaginacyi zawieszoną laskę marszałkowską.

Zapatrzony w nią, mniéj dbał nierównie o żonę, na któréj wartości poznać się nie potrafił, i prowadząc żywot „więcéj może kawalerski“, starał się głównie o zyskanie popularności wśród szlachty okolicznéj,

---

[1]) „Niedokończony poemat“, str. 136.

[2]) Zob. Dr. Antoni J., *op. cit.* na str. 15 i 16.

[3]) Ambicyi jego stało się zadość w r. 1841.

[4]) Wiernym jego portretem jest książę Rahoga w „Niedokończonym poemacie“ (Rozd. II, III i IV), z którego dowiadujemy się, że mąż owéj weneckiéj piękności był jeszcze „zazdrośnik niesłychany i żelazny despota“. Do obrazu księżnéj pozowała Krasińskiemu pani Bobrowa. Zob. St. Tarnowski, *op. cit.* na str. 84 oraz Piotr Chmielowski („Kobiéty“) w rozd. „Jak Krasiński pojmował miłość“ na str. 258.

[5]) Z jednego ojca, lecz nie z jednéj matki (Dr. Antoni J., *op. cit.* na str. 14).

nad którą z czasem miał nadzieję przewodzić. W tym celu spraszał do siebie, do swego „pałacu“ całe sąsiedztwo na polowanie, na karty; a że, jak na „gościnnego“ gospodarza przystało, nie szczędził grosza ani na kuchnię, ani na piwnicę, więc też Zahajce dla wszystkich otwarte, rozbrzmiewając muzyką rogów myśliwskich, rżeniem koni, graniem ogarów, skomleniem chartów, strzałami flint, hukiem szampana, a wreszcie chrzęstem kart i banknotów, zasłynęły niebawem — i na czas długi—jako „wesoła rezydencya pana Teodora Bobra“.

O pani Bobrowéj, choć „klasycznie pięknéj“, nie tak było w okolicy głośno: raz dlatego, że w przyjęciach, wyprawianych przez męża, a niejednokrotnie „z iście saskiém opilstwem związanych“, nie brała udziału, pokazując się tylko na t. zw. „balach urzędowych“, na których bywali również i przedstawiciele miejscowéj inteligencyi, jak np. książę Wasilczyków, ówczesny gubernator wołyński; a powtóre, że wogóle mało udzielała się światu, w zabawach którego, nacechowanych prowincyonalizmem i zabarwionych trywialną bałagulszczyzną, „pustych i nie zawsze godziwych“, znaleść nie mogła dla duszy swéj odpowiedniego pokarmu, czując się w tym żywiole, jak ryba na piasek wyrzucona. Wyższa nad otaczający ją poziom, rozmiłowana w muzyce, w poezyi Lamartine'a, w romansach pani de Staël, — słowem, natura artystyczna, *eine schöne Seele*, jakby ją nazwał Goethe, trochę podobna do hrabiny Idalii z „Niepoprawnych“ Słowackiego, jak tamta, nerwowa, sentymentalna i egzaltowana, zmuszona obracać się przeważnie w towarzystwie ludzi pospolitych, niewykształconych, największe upodobanie znajdujących w sporcie, szulerce i pijatyce, nie oceniana przez męża, z którym jéj, prócz dzieci, nic nie łączyło wspólnego, nie dziw, jeżeli „nigdy a nigdy szczęścia nie zaznała“ i jeżeli z jéj oblicza nie schodził „niemy smutek“, O, bo „nie ma tragedyi okropniejszych nad te, co się odbywają koło ognisk domowych: niby cicho, niby dobrze“, wszystkim, niewtajemniczonym w zobopólne pożycie małżonków, zdaje się, sądząc z pozoru, że połączonym „wzajemną inklinacyą“ niczego do pomyślności nie braknie, kiedy oni „coby się kochać powinni, i czują, że powinni, i czują, że Bóg ich na to stworzył, nie cierpią się lub nudzą jedni przy drugich; nie rozumieją się nawzajem!“ Dwory, „otoczone łanami zbóż spokojnych i sadem drzew owocowych, gdy wejdziesz w ich progi, piekłem ci się wydadzą: nie owém, gdzie grzmi piorun Bożéj potęgi i gdzie szatan Miltona zasiada na tronie wśród nieskończoności cieniów; ale piekłem potoczném, piekłem codzienności, kędy szkieletów i żmij nie ma, ale są krople zatrutego oleju, sączące jedna po drugiéj do lampy życia, i kolce drobniutkie, podobne kaktusowym, których dojrzéć nie potrafisz, a za-

tém wyjąć nie możesz, a które jednak całą rękę przejmą ci świerzbieniem, bólem i gorączką. W takich ustroniach piekielnych najwięcéj serc zwiędło na ziemi" [1]).

W podobnych żyć przymuszona warunkach, tęskniąc nieustannie za czémś nieznaném sobie a piękném, trawiona ogniem wewnętrznym, który w jéj łonie płonął, na ciągłą „samotność serca" skazana, żadnéj nie pokładając nadziei w przyszłości, widząc młodość swą przemijającą marnie, mimowoli prześladowana myślą, że, choć piękna jak Wenus, nie wié dotychczas, co miłość, miłość, któréj rozkoszy nie zaznała jeszcze, nie kochając nigdy, ani będąc kochaną, zaczęła pani Joanna z biegiem lat coraz bardziéj upadać na zdrowiu, schnąć, więdnąć, tak iż pod koniec r. 1833, za poradą lekarzy, udać się musiała na południe, do Włoch.

I.

Pod lazurowém niebem Italii, w Rzymie, do którego zjechała na zimowe leże, owiała ją odrazu inna, zahajeckiéj niczém nie przypominająca, atmosfera; bo nietylko, że w miejsce szarego, monotonnego krajobrazu północy, ujrzała nagle wysmukłe cyprysy, wszędzie bluszcze po skałach, oliwne drzewa, kwiaty i to światło południowe, słoneczne, tak przejrzyste i jasne, „wszędzie ten puch niebieskawy i tę parę muślinową, co zwykła owijać góry i wody włoskie"; ale i towarzystwo, z którém dzieliła się odniesionemi wrażeniami, tudzież sposób, w jaki spędzała czas, przeszły wszelkie jéj wyobrażenia. Bywając w domu księżnéj Lubomirskiéj—Maryi z Granowskich—bliższą zabrała znajomość z wesołém i wykwintném, arystokratyczném *par excellence* „gronem ukraińskiém", które się tu schodziło wieczorami, a do którego należeli między innemi: Aleksander Potocki, dawny pani Joanny znajomy, jeszcze z czasów panieńskich i poślubnych [2]); Izydor Mikulski; Zygmunt Krasiński, młody, 23-letni autor kilku bezimiennie drukowanych powieści romantyczno-rycerskich w stylu Byrona; Edward Jaroszyński, zapalony heglista [3]), a niedaleki przy-

---

[1]) „Listy do Edw. Jaroszyńskiego" na str. 17 i 28 (wydanie Gorzkowskiego).

[2]) Zob. Dr. Antoni J., *op. cit.*, str. 16.

[3]) „Żyjąc zresztą w oddali, Jaroszyński studyował Estetykę, Psychologię i Filozofię Hegla szczególnie; pozostałe dziś jeszcze własnoręczne jego notaty z owych czasów, przechowują się w Kubliczu u jego syna, Cesława Jarzyńskiego, w znacznéj ilości" (Przedmowa M. Gorzkowskiego do „Listów Zygm. Krasińskiego). Hegel, a późniéj Cieszkowski, był jednym z łączników duchowych pomię-

tém krewny Joanny—Krasiński był nim także potroszc;—Konstanty Danielewicz, stanowiący z Jaroszyńskim i Zygmuntem nierozdzielną „trójcę“, a w dodatku jeszcze bosko grający na fortepianie; generał Ludwik Pac; Sołtyk, kapryszący jak dziecko; doktór Sauvan, zwany Salvanusem, oraz wielu innych, żonatych i bezżennych. W towarzystwie tém, wytwornėm i inteligentném, a które, zbierając się u księżnéj na artystyczne *causeries nocturnes* o sztuce, muzyce, poezyi i miłości, stawiało sobie za wzór do naśladowania owe renesansowe siesty w pałacu Medyceuszów,—takiego doznawała pani Bobrowa wrażenia, jakby dopiéro teraz żyć zaczynała naprawdę. Jak egzotyczna roślina, która w jałowym przebywając gruncie, na zimnie i gradzie, już zamierała i więdła, przeniesiona zaś do cieplarni i pielęgnowana starannie, zwolna przychodzi do siebie; podobnie dusza Joanny—ta dusza Wiktoryi Colonna—innėm teraz oddychając powietrzem, z innymi, jak w domu, przestając ludźmi, wstępowała nieznacznie w najprzyjemniejszy ze wszystkich stan rekonwalescencyi moralnéj, nabiérając tém samém ochoty do życia, którego prawie nie znała, a w którém dzisiaj — w dali od swoich — dopatrywać się zaczynała wielu stron podniosłych i pięknych. Przychodziło jéj to o tyle łatwiéj, że błogi żywot, jaki wiodło sympatyczne „grono ukraińskie“, pierwiastków tych zawierał więcéj znacznie, aniżeli jakikolwiek inny, choćby dlatego tylko, że zapominając o polityce, myślano jedynie o rozrywkach, o spacerach, o teatrze, o najnowszéj operze Rossini'ego, o wycieczkach w okolice, o przejażdżkach po Corso, o zbliżającym się karnawale, etc. Pani Joanna, dla któréj wszystko to oprócz zwykłego posiadało jeszcze urok nowości, zaczęła nagle doznawać dziwnych, nieznanych jéj dotąd wrażeń, wrażeń odznaczających się wszelkiemi pozorami szczęścia...

Nieraz o tém rozmawiała z Krasińskim; z nim bowiem, w jego towarzystwie przebywała najchętniéj. Wykształcony, niezwykle inteligentny, z „iskrą geniuszu“ nad czołem, młody, przystojny, choć słabowity i wątły, pełen wzniosłych i poetycznych idei, poważny, rzadziéj miewający chwile pogody i wesołości, aniżeli zamyślenia i smutku, co go, w oczach kobiét zwłaszcza, budząc zaciekawienie, otaczało do pewnego stopnia nimbem tajemniczości, raz wymowny i „sypiący żarciki“, raz małomówny i chmurny, jakby stęskniony za czémś, z nieporównanym wdziękiem opowiadający o takich ludziach, jak Byron, Napoleon, Dante, o starożytnym Rzymie, o arcydziełach Michała

dzy Krasińskim a Jaroszyńskim. W listach Zygmunta do Jaroszyńskiego rozprawy filozoficzne czysto abstrakcyjnéj natury najwięcéj zajmują miejsca.

Anioła, o współczesnych walkach arystokracyi z demokracyą, roztaczał dokoła swojéj osoby młodzieńczéj dziwny jakiś, niewysłowiony czar, jednający mu serca wszystkich, nawet tych, których zaćmiewał—chociaż mu na tém nie zależało bynajmniéj—wyższością umysłu, polotem fantazyi. Pani Joanna, widząc, że „ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje“, z niemniejszém, jak Kornelia Metella „Irydiona“, słuchała go przejęciem i była rada—a nawet dumna poniekąd—ile razy przystąpił do niéj, ile razy dłużéj z nim porozmawiać mogła.

— I jako prorok, i jako święty, i jako archanioł, on staje przedemną i mówi, a ja go słucham [1]).

Razem też — Krasiński w roli *cicerone* — zwiedzali osobliwości wiecznego miasta. Razem byli na *forum romanum*, razem w Kolizeum, razem w willi Mills, razem na Kapitolu, razem w kaplicy Sykstyńskiéj, razem w kościele Św. Piotra, razem w owych „pałacach włoskich, kędy przy obrazach Rafaela i gzymsach złoconych powój gruzów się rozplata“.

W rajskich ogrodach willi Mills „jaśminy, akacye, róże, pomarańczowe drzewa, sączyły im krople zapachów do czary upojeń...“

— O, jak mi dobrze było na pościeli
Granitów rzymskich, z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi...

Wieczorami, o ile nie szli do teatru, na operę, lub téż, o ile pogodna, ciepła noc księżycowa nie zachęcała do romantycznego spaceru po ulicach, słuchali muzyki Danielewicza. Bywało téż, że „ona smutno, żałobnie opowiadała mu swoje życie moralne, a on słuchał i czasem ją cieszył“; dostrzegłszy bowiem na jéj pięknèm, greckiém czole Antygony ślady niedoli, wyciśnione kolejami losu, „marzył sobie“, i słusznie, że jego „słowo lub przyjaźń, lub ręki uścisk mogą w tych piersiach obudzić nowe życie“.

Potém, z nadejściem świąt Bożego Narodzenia, zaczęły się fety karnawałowe, po karnawale zaś, niby wspaniały finał postu, przyszła Wielkanoc [2]), z uroczystościami Wielkiego Tygodnia [3]), z pro-

---

[1]) „Irydion“ (Kornelia Metella), str. 72.

[2]) „Boże! tego roku (1839) Wielkanoc znów 30 marca, jak temu lat pięć (1834). A wy gdzie? Ona i ty i Konstanty? Wy, trójco moja!“ (Z listów do Edw. Jaroszyńskiego).

[3]) Por. List do Gaszyńskiego, Rzym, d. 28 marca 1834 r., list, w którym

cesyami, z pochodami mnichów, z całą litanią nabożeństw i ceremonii.

Arystokratyczne „grono ukraińskie“ nie opuściło żadnéj. W Wielki Czwartek np. byli aż do godziny dziewiątéj w kościele Św. Piotra [1]). Śpiéwano *Miserere* Allegri'ego. „Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie, rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się zwolna po tém ogromném sklepieniu, między masy cieniów, masy złota, marmurów i drogich kamieni, zanurzonych w ciemnościach.“ Cała świątynia bowiem, to „nicość cieniów“.

Patrząc na tych gromnic kilka, zapalonych nad grobem Piotra, doznawali — pani Joanna i Zygmunt — złudzenia, że przeniesieni do innego świata, oglądają Boga, który kona „w każdym żakącie tego olbrzymiego gmachu“. I zdało im się, że słyszą „szumy burzy, wśród któréj On ducha wyzionął“, że ogrom wieczności stał się widomy dla nich „tam, za tym ołtarzem wysokim, wysokim, niknącym, jak olbrzym, w górze.“

Wieczoru tego, przy dźwiękach téj pieśni, płaczącéj nad Bogiem umarłym, pojęli sercem, „co to była śmierć Chrystusa“.

Tak upłynęły owe „dni jedyne i zbiegłe“, których pamięci poeta poświęcił późniéj „Irydiona“ [2]), — tak samo, jak teraz przypisał „Maryi“ [3]), drukującego się właśnie w Paryżu „Agay Hana“ [4]), — a podczas których, jak „W Szwajcaryi“ Słowackiego, zaczął się prędko romans klecić pomiędzy 23-letnim siostrzeńcem a starszą od niego o lat cztery ciocią [5]). Pokrewieństwo to, jakkolwiek dalekie, bądź co bądź ułatwiało im niepomału wzajemne do siebie zbliżenie, na zasadzie, że co uchodzi krewnym, nie zawsze uchodzi obcym. Podlegając, jako spowinowaceni—chociaż po kądzieli—prawom o wiele mniéj krępującym, mogli naprzykład, skoro w miesiącu kwietniu zbliżał się

Krasiński po raz pierwszy i mimowoli zapewne zdradza się z uczuciem, rozpierającém mu piersi: „Codzień mniéj wyrażać się umiem; nie wiem, co się ze mną stało?“ Na to pytanie możnaby odpowiedzieć: *Cherchez la femme.*

[1]) List do Gaszyńskiego, Rzym, 28 marca 1834 r.

[2]) Dedykacya, umieszczona tylko na czele pierwszego (z r. 1836) wydania „Irydiona“, a opuszczona z woli autora (Zob. „Listy do K. Gaszyńskiego“, str. 256) we wszystkich następnych (ostatniego, warszawskiego z r. 1890 nie wyłączając) brzmi, jak następuje: „Poświęcone | Maryi | na pamiątkę dni | jedynych i zbiegłych. | Tak, głos znajomy wróci do niéj po latach wielu | Dante.“

[3]) Pani Bobrowa nosiła imiona: Joanna Marya.

[4]) „Agay Han“, wydany w r. 1834 (pod koniec), pisany był w Genewie 1831 roku.

[5]) Dr. Antoni J., *op. cit.*, str. 9.

termin wyjazdu, ułożyć plan wspólnéj podróży i nikt nie mógł tego poczytać pani Joannie za złe, jeżeli część wojażu zdecydowała się odbyć w towarzystwie i pod opieką Zygmunta oraz dwóch jego przyjaciół, Danielewicza i Jaroszyńskiego, tembardziéj, że i z ostatnim również łączyło ją pokrewieństwo [1]).

Rozkoszna to musiała być podróż! Krasiński — w jednym z listów [2]) do Gaszyńskiego — nazywa ją „najpiękniejszą.“ I nie dziw! Serce bowiem biło mu w piersiach „jak kopyta koni,“ a i skry także zeń leciały niejednokrotnie, jak z pod kopyt końskich. W powietrzu — dla nich przynajmniéj — „wszędzie rozlany był szał miłości, nadziei, zachwycenia,“ tak, że nie spostrzegli się nawet, gdy przyszło do wyznania, do namiętnego *Io t'amo*, które, rzucone przez Zygmunta, echem czarownem obiło się o usta kochanki. Odtąd, miejsce ciotki zajęła Julia; siostrzeńca zastąpił Romeo. Jemu, przez całą drogę, „roiły się fantasmata jakieś niewymowne;“ jéj zaś, im daléj jechali, serce, „jak grób Rafaelowski coraz bardziéj zaczęło porastać w kwiaty.“

> Wód zwierciadła, gór widziadła,
> Ziemia, niebo, jeden kraj!
> Rzeczywistość się pomału
> W świat przemienia ideału
> W sen ze srebra, i kryształu!

Pierwszém miastem, w którém, po wyjeździe z Rzymu, zatrzymali się na dni kilka [3]) była „miła, rozkoszna Florencya,“ która o téj porze zwłaszcza, w maju [4]), odurzająca zapachem kwiatów, skąpana w oślepiającym blasku słonecznym, ze swojemi willami w zieleni ogrodów, podobną jest do dantejskiego Raju, szczególniéj, kiedy się na nią, jak oni, patrzy przez pryzmat miłości.

Niemniejsze wrażenie, bo w tychże samych, co Florencya, oglądana warunkach, zrobiła na nich późniéj Wenecya [5]), którą Krasiński [6]) nazywa „swoją kochanką wśród miast wszystkich,“ albowiem „w niéj przez ośm dni prawdziwie był szczęśliwy.“ Szczęścia zaś tego pewno nie miał do zawdzięczenia Jaroszyńskiemu lub Danielewi-

---

[1]) Przez męża, żona bowiem p. Cesława Jaroszyńskiego z Bobrówny się rodziła. (Dr. Antoni J. *op. cit.* str. 8).

[2]) Z d. 10 lipca 1834 r. (Kissingen przy Würzburgu).

[3]) Zob. listy do Gaszyńskiego. List z d. 10 lipca 1834 r.

[4]) Zob. krótki, nerwowo pisany list Krasińskiego do Gaszyńskiego z Florencyi d. 19 Maja 1834 r.

[5]) List do Gaszyńskiego, z dnia 10 lipca 1834.

[6]) W tymże liście.

czowi, lecz téj, na któréj widział skupione wszystkie promienie poezyi: czy, kiedy jechali gondolą; czy, kiedy karmili gołębie na placu św. Marka; czy, kiedy „ubierali się w purpurę wieczorów, w księżyce nocy, w błękity i muśliny pian morskich;“ czy, kiedy jéj opowiadał o Byronie i hrabinie Teresie Guiccioli, którzy niedawno temu, tak samo, jak oni teraz, otoczeni „wszystką rozkoszą życia“ i niemniéj zakochani w sobie, błądzili po tych ulicach wązkich, pod arkadami *palazzo ducale* lub „po mieliznach Lido“ [1]). I zdawało im się chwilami, gdy używali przejażdżki po malowniczym *Canale Grande*, że w plusku fal, opłukujących burt łodzi, słyszą coś, jakby głos ludzki, melancholijny i cichy, a bełkoczący wciąż: „Wszak te wstęgi z wód jasnych [2]), te z mostów obręcze, te gondole szparkie, jak strzały, czarne, jak trumny, rozkoszne, jak pośmiertne zbawienie; wszak te błękity, te gwiazdy źrenicujące po nich, ten księżyc, taki palący mnie, jak słońca wzrok:“ wszak to wszystko w miłości ma swój początek, „miłością jest przed wiekami i na wieki.“ A cały ten świat dlatego „taki przecudny,“ bo Bóg, zanim go stworzył, już się „w niestworzonym zakochał.“

Tak rozumował dzisiaj autor Nieboskiéj komedyi. Uganiając się dotychczas jak hrabia Henryk, za niepochwytnemi tylko, wymarzonemi „dziewicami“ ulepionemi z mgły, teraz dopiéro, w Wenecyi, otworzyły mu się oczy i pojął [3]), że „są rozkosze i jest poezya materyalna,“ i że chcąc w życiu tém realne znaleść szczęście, nie trzeba w „chmurach“ przebywać, ale na ziemię zstąpić i „po ludzku kochać,“ tak samo, „jak chcąc dobrze pisać, trzeba żyć wprzódy.“

Z Wenecyi podążyli do Monachium [4]), gdzie, jednego z pierwszych dni czerwca [5]), nastąpiło rozstanie. Joanna pojechała do kraju, w objęcia męża; Edward do Ems; Krasiński zaś, z Danielewiczem, jak zawsze, najprzód do Kissingen, gdzie spędził lipiec; ztamtąd na czas jakiś do Wiesbaden, zkąd odprowadzał księżnę Adamową Czartoryską do Koblencyi; z Koblencyi do Ems, do Jaroszyńskiego; przez wrzesień był we Frankfurcie nad Menem, w celu porozumienia się z wydawcą tamtejszym, Iugiel'em, co do nakładu Nieboskiéj, którą również, jak Agay Hana, poświęcił „Maryi;“ z Frankfurtu,

---

[1]) Zob. Listy do J. Sołtana i Gaszyńskiego, pisane z Wenecyi w r. 1838.

[2]) Niedokończony poemat str 166.

[3]) Zob. List do Gaszyńskiego z d. 10 lipca 1834, w którym najlepiéj uwydatnia się metamorfoza, zaszła w przekonaniach Krasińskiego pod wpływem miłości. Por. „Nieboska komedya“ str. 237—239 oraz 243—5.

[4]) Zob. List do Gaszyń. XX 12 maja oraz 10 lipca 1834.

[5]) Tamże.

z końcem Septembra, począł się opuszczać ku Włochom; październik upłynął mu w Medyolanie; na początek zaś listopada znów był z powrotem w Rzymie.

We Frankfurcie nad Menem [1]), pod wpływem świeżych wspomnień, z Wenecyi zwłaszcza, wspomnień, któremi żył przez cały przeciąg czasu, zawsze i wszędzie, napisał „powieść à la Balzak,“ osnutą na tle romansu mężatki z oficerem polskim. Akcya toczyła się w Londynie po skończonéj parę lat temu w kraju wojnie... W „powieści“ téj, która, zdaniem autora, „udała mu się,“ występował także i Grzymała, i „monstrum Lelewel“ etc. etc. Cała historya, rzecz prosta, nie była niczém innem, jeno upiększonym, upoetyzowanym obrazem owych „ośmiu dni“ weneckich. Bohaterka romansu, owa „mężatka“ wzorowaną była — jestem pewny tego — na pani Bobrowéj, z charakteru i powierzchowności podobna do niéj, jak dwie krople wody; w mundur oficera przystroił się sam autor, który, jak wiemy, ubolewał, że go wtedy nosić nie mógł, zmuszony, ze względu na ojca, przebywać za granicą; Londyn zaś, którego poeta nigdy nie widział, był „w każdym calu“ Wenecyą, pomimo, że w miejsce pałacu dożów, figurowała *Westminster Abay*, a romantyczną Giudeccę zastępowała prozaiczna, czarna od sadzy Tamiza [2]).

Z Medyolanu, gdzie mu się „próżnia ducha“ szczególnie dawała we znaki [3]), donosił kochance — od chwili rozstania bowiem w nieustannéj z sobą pozostawali korespondencyi — że „łamie serce, jak kartę nieszczęśliwą, która przegrała dziesięć razy, raz po raz, w Faraona“ i że wszystko mu się „bez nadziei“ wydaje. „Życie ziemskie tak ograniczone, tak ciasne, a żądania moje tak ogromne!“

W Rzymie, po którym błądząc sam, „bez niéj,“ chodził jak po cmentarzu pamiątek, gdzie z każdéj ulicy, z każdéj ruiny, pozostającéj „w uściskach z bluszczu i w trumnach z giętkiego powoju,“ z każdego cieniu cyprysowego wyglądała szczęśliwa, błoga, a tak niedaleka przeszłość, w Rzymie „gryzł pięść“ z rozpaczy i, nie mogąc sobie miejsca znaleść nigdzie, ani się pogodzić z rzeczywistością, uciekał od niéj aż do starożytnego świata, do Romy Heliogabala, do czasów, gdzie „motłoch i Cezar“ były Rzymem całym, kiedy wszystko, co w nim żyło, psuło się, rozprzęgało, szalało: ludzie i bogi.

Obmyślał I r y d y o n a...

---

[1]) Zob. List do Gaszyńskiego, Frankfurt 23 Augusta 1834 r.

[2]) Powieść ta, nigdy nie drukowana, zdaje się zaginęła; prawdopodobnie zniszczył ją sam Krasiński.

[3]) Zob. List ztamtąd z d. 30 Oktobra 1834 r.

Z drugiéj strony jednak, (po za pracą twórczą, po za kompozycyą poematu, absorbującą umysł i wyobraźnię, nie zaniedbywał coraz częstszych wysyłać listów na Wołyń [1]), na wszystkie w nich zaklinając świętości, ażeby się ulitowano nad nim, biednym i opuszczonym, i żeby go przyjechano pocieszyć, bo tęskni tak, że się już nawet stał do pewnego stopnia przesądnym, on, który studyował psychologią Hegla! i, zwątpiwszy o wszystkiém, różnemi trapiony przeczuciami, nie wiedząc już, jak uśpić czy oszukać niepokój, udał się do zakonnic *Trenta Tre* po wróżby, po przepowiednie. Bo „im bardziéj człeka silna wiara odstępuje, o tyle więcéj staje się podejrzliwym i zabobonnym.“ Siostry atoli, zapytane o przyszłość ukochanéj, przepowiedziały jéj śmierć... [2]). *La sua morte sarà dura*, orzekły, a kiedy Zygmunt, proroctwem tém, jak gromem rażony, przerwał: *Perche?* odparły: Dla tego, że jest *giovane, sensibile e affetionata* [3]). „Ten dzwon pogrzebowy" pozbawił go reszty spokoju, spokoju ducha, którego, jak mniemał, nikt mu, prócz niéj, żadną miarą nie zdoła przywrócić. „Ty jedna tylko, bo ciebie także opuściły losy.“

II.

Błaganiom tym ulegając, wkrótce po świętach Bożego Narodzenia, potrzebą ratowania zdrowia wojaż swój osłoniwszy, wybrała się pani Joanna powtórnie do Włoch — do Rzymu rozumié się — dokąd, nie mówiąc już o Krasińskim, nęciło ją towarzystwo, w tym roku liczniejsze jeszcze, aniżeli w zeszłym; przybyli bowiem: Ankwiczowie, Zabiełłowie, Skibiccy, Adam Sołtan i troje Jaroszyńskich [4]): ojciec Cesław, z najstarszym synem, Henrykiem i córką Hortensyą. Ostatni, niezmiernie sympatyczni i gościnni — co zresztą i o poprzednio wymienionych powiedziéć można — przyjechali tu, ażeby odwiedzić, a następnie zabrać z sobą do domu Edwarda, chorującego „na Włochy,“ jak się o nim żartobliwie wyrażał Krasiński, i na piersi, obecnie

---

[1]) Listy te jak wiemy od p. J. Gnatowskiego (Moja Beatrice str. 6.) przechowała pani Bobrowa „na sercu“ aż do śmierci, która nastąpiła d. 4 maja 1889 r. Co się z niemi stało, zarówno jak i z listami Zygmunta do pani Delfiny Potockiéj? Czy dostanie je kiedy do rąk, jeżeli nie ogół, to przynajmniéj jaki historyk literatury, piszący o „Życiu i dziełach“ Krasińskiego?

[2]) Zob. u Tarnowskiego Op. cit. str. 79.

[3]) Listy do Jaroszyńskiego str. 18.

[4]) Kto wié, czy pani Bobrowa razem z nimi nie przyjechała do Włoch? Rzecz, mojém zdaniem, więcéj niż prawdopodobna.

jednak mającego się już zupełnie dobrze [1]). Tą samą chorobą dotknięci byli pani Skibicka i młody Rajecki... W ogóle chorych, chorych kobiét zwłaszcza, z księżną Lubomirską na czele, więcéj było, niż zdrowych. „Ruiny kobiét, resztki Karlisbadu, wód Stalaktyt, zgasłe Wezuwiusze!" Oto, jak się o towarzystwie tém — znaném sobie z opowiadania — wyraża ironicznie Słowacki [2]). Bądź co bądź, dzięki balsamicznemu klimatowi włoskiemu, ci, którzy niedomagali, rychło odzyskiwali zdrowie, a ze zdrowiem humor, tak, iż bawiono się — szczególniéj w roku 1835 — nietylko świetnie ale i ciągle, od rana do późnéj nocy.

Ciepło było, jak w maju, „w powietrzu woni co niemiara," a karnawał pyszniejszy, niż kiedykolwiek. Z okiem Korsa spadał na ziemię, na przejeżdżające ulicą powozy „deszcz fijołków," „grad cukierków." Gdzie spojrzéć, wszędzie tłumnie i gwarno, wszędzie krzyk, pisk [3]); na balkonach, przybranych dywanami, na dachach, na trotuarach, pomiędzy kabryoletami i końmi, przy dogrzewającém słońcu i przepięknéj pogodzie, tysiące mężczyzn, kobiét, dzieci, a wszystko w dziwacznych, pstrych, arlekinowatych kostiumach, w maskach, z przyprawionemi nosami, z przyprawionemi garbami. Adam Sołtan, najweselszy reprezentant „grona," „z przyłbicą drucianą i procą płócienną, pełną pocisków tynkowych, prosty, jak sosna wysmukła" szedł „na przebój;" i, czując się w tym rozgardyaszu, jak ryba w wodzie, rzucał „na prawo i w lewo fijołki i *confetti*." Za nim, na podobieństwo żołnierzy, kroczących za pułkownikiem, przeciskali się ochoczo przez ciżbę, podobne, jak on, „dziwy dokazując" inni przedstawiciele Polonii, a między nimi Krasiński i pani Bobrowa, oboje

---

[1]) Nie umiem powiedziéć, czy Edward Jaroszyński przyjechał teraz do Rzymu razem z ojcem, bratem i siostrą, czy téż przybył tu wcześniéj, w tym samym czasie mniéj więcéj, co i Krasiński, z którym, bądź co bądź spotkali się w miesiącu sierpniu w Ems, jak się o tém dowiadujemy — a przynajmniéj domyślamy — z listów poety do Sołtana. Możebném jest, że zostawiwszy Jaroszyńskiego w Ems, spotkali się z nim Krasiński i Danielewicz późniéj w Medyolanie, skąd już podróż do Rzymu odbyli wspólnie, we trzech. Jest to zresztą kwestya małéj wagi. Fakt pozostaje faktem, że w r. 1835 podczas karnawału był Jaroszyński w Rzymie, pospołu z ojcem, bratem i siostrą, że był powiernikiem Krasińskiego zarówno, jak i pani Bobrowéj (jak tego dowodzą listy Zygmunta do Jaroszyńskiego pisane) i że, przypatrywał się całéj pierwszéj części téj „zagmatwanéj tragedyi" jako świadek naoczny.

[2]) Niepoprawni akt I. sc. IX.

[3]) Por. Krasińskiego opisy karnawałów rzymskich w listach do Sołtana Małachowskiego.

[4]) „Zawczoraj skończył się karnawał: przypomniał mi dawne czasy, owe dni 1835" etc. etc. (list do Sołtana 25 Sn. 1821 Rzym).

przebrani, opancerzeni, w podobnych, jak Sołtan, „przyłbicach drucianych,“ zabezpieczających od pocisków, prześcigający się nawzajem w rzucaniu cukierkami — z gipsu — „obrzucani kwiatami,“ promieniejący weselem, rozbawieni. Dla zakochanych, jak oni, wszystko: i ta „dyable dziecinna buffonada“ i to *moccoletto* zajadłe, i te „wrzaski do ogłuchnięcia,“ przeobrażało się w harmonijne jakieś, anielskie *chant d'amour;* którém ukołysani, porwani, zapominali czasem, że to rzeczywistość, nie marzenie, że to ziemia, nie raj!

W życiu ich, zarówno Krasińskiego, jak i pani Bobrowéj, była to „najpiękniejsza pora, najpiękniejsza i niepowrotna.“ [1]).

Z końcem lutego, gdy „znikł karnawał, jak sen“ i nadszedł post, z postem zaś „deszcze i wichry,“ co wobec zimnych, nieopalanych, a przynajmniéj źle ogrzewanych mieszkań włoskich, niemało Rzymowi zaczęło odbiérać uroku, zrodziła się w głowie Cesława Jaroszyńskiego myśl o powrocie do kraju, myśl, która, uzyskawszy aprobatę synów i córki, przyśpieszyła bolesną dla Krasińskiego chwilę rozstania, nietylko z Edwardem, ale i z Joanną; ta bowiem, zmuszona okolicznościami nie przedłużać zbytnio pobytu swojego za granicą, choć ją, prócz dzieci, nic nie ciągnęło do domu, nie chcąc tak dalekiéj podróży odbywać sama, wolała termin wyjazdu przyśpieszyć i wracać z Jaroszyńskimi, którzy ją, jako sąsiedzi, aż do samych mogli odwieźć Zahajec.

Krasiński, pomimo, że około skarbnicy jego było „kuso“ [2]), postanowił odprowadzić ich aż do Neapolu, zkąd, doczekawszy się odpowiedniego okrętu, miano wyruszyć do Odesy.

Jakoż dnia 20 marca, po burzliwéj przeprawie morskiéj z Civitá Vechia, w towarzystwie nieodstępnych przyjaciół Zygmunta, Sauvana i Danielewicza, ujrzano „golf błękitny.“

Zamieszkano w *Villa di Roma* „nad samiutkiém morzem.“ Z okien widok na Capri i Wezuwiusz. Pierwszych dni jednak, z powodu niepogody, nie można się nim było napawać. Przeciwnie, od rana do wieczora słyszano tylko „hałas rozbujałych fluktów,“ co, przy akompaniamencie wiatru, świszczącego przez szczeliny, „tak zupełnie, jakby na statku parowym“ [3]), nie nastrajało zbyt optymistycznie; choć obiecywali *camerieri*, że „kiedy pogoda, to bardzo ładnie.“

Ta wilgoć w powietrzu, rozmiękczająca nerwy, to zimno w po-

---

[1]) Listy do Jaroszyńskiego str. 23.

[2]) List do Sołtana z Neapolu 26 marca 1835.

[3]) Krasiński ma tu na myśli „statek parowy,“ który ich przywiózł do Neapolu.

koju i na dworze, przenikające aż do szpiku kości, i ta niemożność wychodzenia z domu, w fatalny sposób zaczęły oddziaływać na Zygmunta, który, i tak już trapiony myślą o mającém niebawem nastąpić rozłączeniu ze swoją „piękną wśród pięknych,“ coraz większego z dniem każdym stawał się ofiarą *spleen*'u. Po tygodniu przyjechali z Rzymu Zabiełłowie i Rajeccy, przywożąc z sobą księżnę Lubomirską ale obecność téj kobiéty, któréj chwile, zdaniem Salvanusa, były „policzone,“ mogła tylko na wrażliwego i szczerze do cierpiącéj przywiązanego poetę, wpłynąć bardziéj jeszcze przygnębiająco. W skutek tego, w rozmowach swych z Joanną, skarżył się, że „im więcéj przeżywa, tém smutniéj mu się robi;“ że ostatecznie wszystko jest „pośmiewiskiem;“ że „co napotkał szlachetnych, to byli zawsze w opuszczeniu, w braku nadziei i wszelkich słodyczy;“ że „widział dużo błaznów szczęśliwych, dużo łajdaków potężnych;“ i dlatego „przekonał się, że ten tylko może na téj ziemi spokojne mieć serce, kto taki podły, że przystaje na złe, lub tak głupi i niedołężny, że złego nie czuje. „Kiepsko na tym świecie!“ To téż nieznośnie mu ciężyć zaczynała ta cała tragikomedya ludzka, i dużo by dał za to, żeby zakończyć jakoś „tą marną grę kilku myśli, kilku żywych popędów i kilku chorób,“ która się jego życiem zowie, témbardziéj, że mu i tak już „dogorywa w piersi zapał, w głowie myśl, w sercu uczucie.“ A nie dzieje się to u niego — mówił — bezwiednie: „owszem, widzę każdą iskrę, co gaśnie, każdą sprężynę, co pęka, widzę duszę moją, zwijającą się, jak liść spalony, co zżyma się i tli jeszcze, i tuż, tuż, już czernieje, rozwieje się w nicości. Siła analizy pozostała mi; nią, jak ostrzem zatrutém, sam się rozdzieram i kraję“ [1]).

Słysząc to, *donna Giovannina*, rozumująca nie jak psycholog, bezstronny i obojętny, lecz jak kobiéta, co kocha namiętnie i czule, nie mogła się oprzéć zwykłym w takich razach podejrzeniom o obojętność, o zanik uczucia, (wszak mówił sam, że mu uczucie „dogorywa“ w sercu) i także zaczęła kaprysić...

Na szczęście, kochanek z filozoficznym spoglądał na to spokojem, bo była „piękna wśród pięknych,“ a on „tylko ładnéj kobiéty kaprysy“ znosić potrafił [2]).

Ale wyjrzało słońce, i ożywcze jego promienie, nietylko rozweseliły krajobraz, rozlewając w powietrzu „wiosny przeczucie,“ lecz

---

[1]) Por. Listy z tego czasu (Neapol 1835) do Sołtana i Gaszyńskiego.

[2]) Zob. Listy do Sołtana (Neapol. 1835) str. 11.

rozpogodziły także i humor Zygmunta. *Spleen* stopniał jak śnieg i poeta choć dzień wyjazdu pani Bobrowéj z każdą przybliżał się chwilą, przez inny na wszystko zaczął patrzéć pryzmat. Widok tych wód szafirowych, „jak toń wieczności, ale szczęśliwéj, ale wielkiéj,“ napełniał mu serce otuchą, i nie było mu już odtąd tak „kiepsko na świecie“ jak przed paroma dniami; przeciwnie, sądził, że „nie ma nic inszego dla człowieka, jak wierzyć i kochać,“ ponieważ „wiarą i miłością dusze pięknieją i wznoszą się...“ Niebawem zmienił również zdanie co do Neapolu. Zapominając o tém, że w pierwszéj chwili, dzięki *spleen*'owi, nazwał go „paskudném miastem,“ znajdował teraz że i „w Neapolu jest niebo i raj tu i owdzie.“ I zaczęła go natura neapolitańska „coraz bardziéj przynęcać“ do siebie. „W téj zatoce — pisał do Sołtana — jest coś nieopisanego, niewypowiedzianego: patrząc na nią, wieczorem — razem z Joanną — zdaje mi się, żem się dostał w lepsze strony jakieś, w których ludzie nie cierpią i nie popełniaje błędów“ [1]).

Z willi *di Roma*, u któréj stóp morze zatoki partenopejskiéj „rozbijało się błękitnemi zwojami,“ wystarczało oczy podnieść, ażeby widzieć „niebo bez końca, i góry, i wyspę Capri w oddali, i Wezuwiusz na lewo.“ Nad jego wierzchołkiem piekielnym roztaczał się zawsze słup dymu [2]), pływając „po niebiesiech, jak kadzidło ofiary, jak hołdy ołtarza, który sam Bóg sobie wystawił na ziemi.“ Po nocach znać krwawą łunę. „Czasem pożar buchnie i znów stacza się w przepaść.“ Wśród téj „pychy stworzenia,“ siadali nieraz z ukochaną na tarasie przed hotelem, w cieniu powojów, róż, cyprysów i palm, i rozmawiając „o rzeczach anielskich“ jak kochankowie Słowackiego zapatrzeni przed siebie, rozmarzeni, słuchali dolatującéj z sali przez otwarte okna, *preghiery* z „Mojżesza“ Rossiniego, którą grał Danielewicz, i zdawało się im wówczas „że te wiosła czarne płyną i biją zgodnie z jego muzyką, a widok cały — jeden z najczarowniejszych na świecie — łącząc się w ich myśli razem z dźwiękami fortepianu, stawał się „pieśnią ożywioną, pieśnią błogosławieństwa i wielkości, dziękczynienia i uwielbienia.“

Pierwszych dni kwietnia [3]), po odbytych wspólnie wycieczkach na Wezuwiusz, do Pompei i Herkulanum, do grobu Wergiliusza, do

---

[1]) Do Sołtana, Neapol d. 26 marca 1835.

[2]) Por. List do Gaszyńskiego, Neapol 29 marca 1835.

[3]) Dnia 7 kwietnia 1835 pisze Krasiński do Sołtana: „Jaroszyński, odpływając, kazał cię pozdrowić“ etc. To znaczy, że wyjazd nastąpił przed dniem 7 kwietnia.

groty Lazurowéj, i do „ostrych skał Sorrento,“ żegnał się Krasiński z odjeżdżającą kochanką.

— Daj mi twą rękę w téj chwili rozstania:
Ta chwila nigdy już dla mnie nie minie,
Ten dzień w méj duszy nigdy nie upłynie,
Bo w świecie ducha, nie ma „pożegnania!..“

Poczém wsiedli „na łódkę,“ mającą ich podwieść do stojącego w zatoce „okrętu parowego.“ Na okręcie rozmawiali jeszcze czas jakiś, dopóki nie dano sygnału, sygnału po którym Krasiński, Danielewicz, Sołtyk i Salvanus zeszli do „łódki,“ téj saméj, którą przybyli niedawno z Jaroszyńskimi i panią Bobrową... Plusnęły wiosła i łódź, kołysząc się z lekka na falach, poczęła ich nieść ku brzegowi. „Ten dzień w méj duszy nigdy nie upłynie.“

Po niejakim czasie, wypływając na pełne morze, okręt, uwożący kochanych Zygmunta, żegnał go „czarnym dymem, gdyby krepą żałoby.“

Jakkolwiek namawiany przez księżnę i Zabiełłów, ażeby wracał z nimi na Wielki Tydzień do Rzymu, Krasiński został się w Neapolu „dla pokrycia ciężkiego smutku,“ który go „rozdzierał.“ W Rzymie — przeczuwał to doskonale — wszystko by mu podczas uroczystości wielkanocnych przypominało zeszłoroczne razem z Joanną spędzone święta... Wolał uniknąć tego i nie wyjechał, aż dopiéro 1-go maja. Przez cały czas, pomimo rozrywek i towarzystwa przyjaciół, generała Paca między innemi, „najprzykrzejsze myśli wiły mu się po głowie,“ myśli, których zabijający wpływ osłabiać się starał za pomocą filozoficznéj *ad usum Delphini* wykombinowanéj przez siebie maksymy, że „w człowieku każda chwila, pora każda stać się może miłością i szczęście wtedy dane mu jest chwil kilka, które przedłużają się w wspomnieniu, choć znikną w rzeczywistości.“

W podobnym świecie wspomnień żyła odtąd i pani Bobrowa. Nawiasem mówiąc, nic jéj tak wyraziście, tak jasno nie stawiało przed oczyma duszy owych „dni jedynych i zbiegłych,“ jak niewielkich rozmiarów książka do nabożeństwa, którą w formie upominku dostała od Zygmunta [1]). Był to stanowczo najcenniejszy skarb, jaki posiadała. Te modlitwy, na pięknym, welinowym papiérze własną poety ręką pisane, modlitwy, od których nikt nie wymarzył piękniejszych, poetyczniejszych, wznioślejszych, a które, oprawne w aksamit, na srebrną zamykane klamerkę, ile razy je odczytywała, w kościele czy

---

[1]) Prawdopodobnie w Rzymie.

w domu, zdawały się jéj szeptać do ucha Chrystusowe słowa pociechy... Nie dziw więc, jeżeli niebawem umiała je wszystkie na pamięć, jak Ojcze nasz, jak Zdrowaś Marya. *C'était, comme dans le Cantique, un bouquet de myrrhe en son sein* [1]). Zresztą „cierpliwa i tęskna,“ czekała nadejścia lata, w lecie bowiem miała wyjechać do wód i spotkać się z Krasińskim...

III.

Spotkanie to, z takiém przez kochanków wyczekiwane upragnieniem, nastąpiło w połowie lipca, w Ischl [2]), dokąd pani Bobrowa przybyła tym razem nie sama, lecz z dziećmi: dwiema córkami, Ludwiką [3]) i Zofią [4]) — *Lolly* i *Sophinette* — oraz ich guwernantką, francuską.

Promieniejący z radości, ile, że zastał ją „dwa razy tyle kochającą go, co dawniéj,“ autor Irydiona, przekonany, że „w życiu jego „zapewne już takich dni szczęśliwych nie dozna więcéj,“ podlegał chwilami czarującemu złudzeniu, że się dostał do nieba. Pod tém wrażeniem, dzieląc się z przyjacielem — wtajemniczonym we wszystko — wiadomościami o nieziemskiém szczęściu, którego atmosferą oddycha, pisał żartobliwie, że pewno miło mu będzie wiedziéć, że „ten, który cię kocha, z raju do ciebie pisze.“

Kreśląc słowa powyższe, nie przewidywał — nie chcąc przypuszczeniami tego rodzaju mącić sobie uczucia błogości — że maluczko, a raj ten niebieski „pryśnie odrazu,“ ba, zamieni się w piekło!

Trzeba wypadku, że „jakiś list“ pani Joanny do Krasińskiego, list, w którym — jak to w liście kobiéty zakochanéj — nie obeszło się bez czułych o miłości napomknień, dostał się przez pomyłkę nie do rąk Zygmunta, ale jakiegoś niegodnego, a przedewszystkiém wielce niedyskretnego awanturnika, także nazwiskiem Krasiński, który, otworzywszy kopertę i przeczytawszy zawarte w niéj pismo, widząc, uradowany, jakiéj jest treści, postanowił skorzystać z okazyi i nie długo

---

1) Ern. Renan. *Feuillets détachés.*

2) Zob. St. Tarnowski *op. cit.* str. 83. Na ten czas pomiędzy wyjazdem pani Bobrowéj z Neapolu (na początku kwietnia 1835 r.) a spotkaniem się kochanków w Ischl przypada praca nad Irydionem, przez kwiecień w Neapolu, przez czerwiec i pierwszą połowę lipca w Kissingen.

3) Późniejsza pani Maurycowa hr. Potocka.

4) Dzisiejsza pani Jerzowa hr. Dzieduszycka, zamieszkała w Galicyi, pod Lwowem.

się namyślając, zaczął list pani Joanny, jako niby do siebie pisany wszystkim pokazywać znajomym i przyjaciołom...

Wiadomość o tym interesującym *billet d'amour*, obiegając z ust do ust po całém Ischl, doszła w końcu i do uszu jego autorki...

„Zastałem ją w najokropniejszym stanie...“ [1]).

Oto powód, który sprawił, że „raj“ Zygmunta, na podobieństwo bańki mydlanéj, „prysł odrazu.“

W niemałym także stopniu przyczyniły się do tego plotki, rozpuszczane przez kobiéty, które, widząc Krasińskiego, asystującego pani Bobrowéj, ciągle z nią razem, poczęły *pour passer le temps*, z nudów, w braku innego tematu do rozmowy, „szarpać jéj sławę.“ „Nie ma potwarzy, szyderstwa, złości — powiada Krasiński — którąby nie napoiły mojéj biednéj. Osobliwie ta G... zlepiona z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłemi wdzięki, wściekła, że kto inny piękny i kochany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca.“ Wobec takich „przyjaciółek,“ z któremi, pomimo pogardy, jaką dla nich żywił w głębi serca, musiał dyplomatyzować, nic dziwnego, jeżeli się Krasińskiemu pobyt w Ischl zaczynał coraz bardziéj przykrzyć i jeżeli — z wyjątkiem kilku pierwszych — dni tam spędzone były mu „piekłem.“

Dopiéro wieczorem, kiedy wszyscy posnęli, odpoczywał, przesiadując z nią w jéj buduarze, w tym salonie „na wieki pamiętnym,“ w którym, „niczém niestrwożeni, sami,“ odcięci od świata „wśród krzewów hortensyi, przy pół-świetle lamp, przy blasku jéj łzawych oczu“ gawędzili, często aż do świtu. Tam ją „umęczoną za to, że kocha,“ pokochał „jeszcze więcéj, niż wprzódy.“

Rozumiał przecież, że ze względów na ukochaną nie godzi mu się tu pozostawać dłużéj, że wystawia przez to na szwank jéj dobre imię, że stosunek ten zwraca na nich oczy ludzkie i że, chcąc koniec temu położyć, trzeba się rozstać. Czuł „święty obowiązek, srogą konieczność wyjechania.“

Joanna, kiedy jéj to oświadczył, w żaden sposób na rozdział, choćby niedługi, zgodzić się nie chciała. „Zaklinała by zostać, bo kochała nadewszystko.“

— Co mi tam ludzi sąd! Ja kocham ciebie! [2]).

Lecz stało się: „przeklinając świat i podłych i nędznych, którzy mszczą się na tych, co czują, za to, że sami nie czują nic, którzy będą

---

[1]) List XIV (u St. Tarnowskiego, *op. cit.* str. 81).
[2]) Juliusza Słowackiego „Beniowski“ (List panny Anieli).

lizać stopy pierwszéj metresy pierwszego króla, a rzucają potępienie na duszę najszlachetniejszą", pożegnał się z ukochaną, i zostawiwszy ją „w rozpaczy", opuścił Ischl, udając się... Dokąd? Do Tryestu. Przy rozstaniu umówili się, że i ona tam zawita niebawem.

Co za szczęście, że nie wyjechali razem! Już bowiem w Salzburgu sądzone było poecie stać się ofiarą fatalnéj omyłki, gorszéj nierównie, aniżeli ów wypadek z listem. Wzięty za kogo innego, za jakiegoś anarchistę, którego policya austryacka poszukiwała właśnie, został przytrzymany, wleczony z urzędu do urzędu... Wszystko to byłoby drobnostką, fraszką nic nie znaczącą, gdyby mu na komorze przy téj sposobności nie skonfiskowano wszelkich, jakie wiózł z sobą papierów, między któremi znajdowała się cała paczka listów od pani Bobrowéj. Ostatecznie sprawa się wyjaśniła: ujrzano, że zaszło jakieś *qui pro quo*. O zwrocie papierów swoją drogą nie było mowy. Jedną tylko „Nieboską komedyę" [1]), którą był zawczasu schował w buty, zdołał uchronić przed ostracyzmem cesarsko-królewskich cerberów.

Stanąwszy w Tryeście [2]) był „jak potępiony". Zdawało mu się, że „zstąpił do piekieł". Nie mówiąc już o szalonéj tęsknocie za pozostałą w Ischl kochanką, dokuczał mu straszny, nie do zniesienia upał. Chodząc „po spiekłym bruku tego miasta", chciałby się, powiada, położyć i skonać na nim, tak mu dolegała „każda chwila bez niéj".

Przyjechała wreszcie. Ale, zamiast go uspokoić, sama wystraszona, roznerwowana w najwyższym stopniu, uciekająca jak łania przed temi „psami zajadłemi", żądała koniecznie „by niby zwieść tych, co ją prześladują", ażeby nie zostawał z nią długo w Tryeście, lecz żeby jechał do Wenecyi, gdzie może jéj spodziewać się wkrótce...

— Ach! jakże ona nieszczęśliwa! Ale nie przezemnie! Świat! Świat! *Cette idole couverte de clinquant et remplie de boue*, ją rozszarpał i zabił!

I jak tu nie postąpić stosownie do jéj życzenia? Jak nie uczy-

---

[1]) Musiał to być albo zapasowy rękopis, albo też pierwsze (frankfurckie) wydanie poematu z r. 1835. Drugie wydanie, również jak pierwsze „poświęcone Maryi", wyszło dopiero w r. 1837 z ciekawym na odwrotnéj stronie okładki dopiskiem: „Na cel wystawienia pomnika Maurycemu Mochnackiemu". Na czele poematu, jako *motto*, figuruje następujące zdanie Beaumarchais'go, zdanie, opuszczone we wszystkich wydaniach następnych: *De toutes les bouffonneries la plus sérieuse est le mariage. Figaro.*

[2]) W początkach sierpnia, list bowiem stamtąd do Adama Sołtana (podany przez St. Tarnowskiego *op. cit.*) nosi datę dnia 12 sierpnia 1835 r.

nić zadosyć jéj naleganiom, jéj prośbom „rozpacznym“ i nie wsiąść po kilku dniach „piekielnych, stroskanych“ na statek odpływający do Wenecyi?

Zrobił to dla niéj... „Ona myśli, że im się opędzi tym psom zajadłym“ Bądźcobądź, jeżeli teraz, w tym czasie „nie straci zmysłów, to cud boski“.

W Wenecyi, gdzie kilkanaście miesięcy temu przez tydzień cały prawdziwie był szczęśliwy, dziś, w oczekiwaniu na przyjazd téj, któréj wówczas szczęście swoje zawdzięczał, „przez takie przechodził kryzys, które kończą się zwykle szaleństwem lub śmiercią“. Słaby jestem bardzo, donosił Sołtanowi [1]), starając się pisaniem listów chwilowo chociażby oderwać od chwili bieżącéj i tém samém osłabić nieco jéj wpływ zabójczy; mam gorączkę okropną; źle mi się dzieje. Świat, który od kolébki mnie napastował i krzywdził, nie wiem, za co, i dzisiaj wlazł mi pod moje ołtarze i tam mnie przedrzeźnia i psuje mi szczęście... Jam mu nie hołdował, on się mści“.

„Ja w Wenecyi, ona w Tryeście“. W podobnéj znalazłszy się sytuacyi, do tego stopnia zwątpił o wszystkiém, że mu szatan niejednokrotnie, jako jedyny sposób wydostania się z tego zaczarowanego koła, podsuwał myśl samobójstwa. *Terrible tentation! Tentation des tentations!* Bo co mu z życia, z bytu, z ludzi, od których same tylko słyszał wciąż obelgi i przekleństwa! Co im zawinił, że ukochanéj jego „przecinają na ustach słowo k o c h a m słowem h a ń b a! I wszędzie, wszędzie ta hańba! podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie potępi bliźniego, ten czeka sądu Boga“. A Bóg im przebaczy, nawet „jeżeli były jakie błędy“, trudno bowiem „tyle walczyć, co ona, a tyle kochać, szanować i czuć“, co on.

Zwątpiwszy o wszystkiém, rozgoryczony, dręczony przenajrozmaitszemi obawami, nie uspokoił się prędzéj, aż dopiéro, kiedy zobaczył znów „swoją biédną, swoją kochaną“, na widok któréj, „nie już z miłości, ale z admiracyi chciało mu się upaść jéj do nóg“ i całować te stopy, te usta „jak dwie zorze“, te oczy szafirowe, te rzęsy czarne, te włosy złotolśniące... Całować, całować, całować! A potém „porwać ją i unieść gdzie daleko“... Jedyną ku temu przeszkodą były dzieci, których ona ojcu „odbiérać“ nie chciała. Wzgląd ten jednakże, nie był w stanie okiełznać szalonych, iście Heliogabalowych [2]) „pokus“ [3]), które

---

[1]) List XV z Wenecyi, bez daty (u Tarnowskiego, *op. cit.* str. 82).

[2]) Patrz „Irydiona“. Część pierwsza str. 25... „by ciało jéj drżało w moich ramionach“...

[3]) Zob. Listy do Jaroszyńskiego str. 12.

się jednocześnie zrodziły w piersiach zapominającego już o wszelkich skrupułach poety, a które owładnąwszy nim zupełnie, doprowadziły go w końcu „do czynu złego, opłakanego“. „Przez niesłyszane walki — powiada — dowiodłem ją wreszcie do nieszczęścia“, pomimo, że „było okrucieństwem walczyć z takim wyrazem twarzy, z takiém przekonaniem jéj rozsądku“...

Miesiąc blisko zabawili w Wenecyi [1]). „Ile wycierpiałem“ przez ten czas—czytamy w liście do S. — „nie masz wyobrażenia; ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto wiedziéć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcéj, niż sił przysparza“. Najmilszém zaś, co mu pozostało ze wszystkiego, to przeświadczenie, że „szlachetniejszéj kobiéty nie ma na ziemi“ i że takiego serca daremnobym już szukał w życiu“. Szkoda tylko, że „uparła się wracać do domu. Mąż wié wszystko. Ona mu sama napisała. Wié więc, co ją czeka. Ale za obowiązek uważa odwieść dzieci mężowi i cierpiéć. W tém rodzaj ekspiacyi widzi“. Nie chce pamiętać—ubolewał poeta — że jéj sił na na ekspiacyę podobną zabraknie i że może umrzéć. „I *Trenta Tre* się sprawdzą“. Już teraz po kilka razy na dzień mdlała, blada jak trup lub rozgorączkowana jak w malignie. „Ale piękna zawsze i słodka. Anielsko słodka!

Bogi i boginie! W całéj Azyi takiéj głowy, takiego łona, takich oczu lazurowych żaden z was nie stworzył! [2]).

Pierwszych dni października, już na wyjézdném z Wenecyi — skąd przez Gratz mieli się udać do Wiednia—pisał Krasiński do przyjaciela: „*Addio!* Za kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia mego; a natomiast „zacznie się druga połowa bytu: Rozum“.

Przez ciąg podróży „tak mu się wszystko mięszało w głowie“, że pisząc, między Gratzem a Wiedniem, do Jaroszyńskiego list, który oddał na pocztę w Wiedniu, prosił przyjaciela, ażeby odpowiedź adresował „*à Gratz*“. Zapomniał, że był tam tylko w przejeździe. Jeden dowód więcéj, że roztargnienie cechuje zakochanych. Ale bo téż przechodził przez „chwile nieskończonéj goryczy: wszystko, co piękne i kochane, łamało się“ przed nim, jak lód, co w kry się rozsypuje. „Widziałem — powiada — spokojne czoła, co tak pękały z rozpaczy; miałem dni, w których samo szczęście, samo uniesienie stawało się ironią; w których pomyśléć o uśmiechu, choćby smętnym, tkliwym, było niesposób w którym łzy nawet były szyderstwem, dziecińStwem, oznaką marną bólu...“

---

[1]) Zdaje się, że p. B. piła tam wody Ricoaro.

[2]) „Irydion“ str. 24.

[3]) Zob. Listy do Jaroszyńskiego str. 12.

„Wieczny, straszny rozdział nastąpił“ w Wiedniu d. 17 października 1835 r. [1]). Ostatni dzień jednak, dzień, poprzedzający rozstanie, który poecie „przeszedł, jak sen a został się w nim, jak męka“, dzień, po którym życie jego „stało się bryłą granitu: ni mchu, ni rosy“, dzień ten spędzili „nie w Wiedniu, ale w jego okolicach“. Dzieci z *madame* zostały w mieście. Na dworze było śnieżno, ponuro [2]). Powietrze zimne, przejmujące. Wiatr pruszył w oczy lodowatym deszczem, i gwiżdżąc w kominie, targając okienicami, nucił dla nich żałosną pieśń pożegnania, pieśń, która im, choć pili z czary upojeń, do czary téj sączyła łzy, kropla po kropli, jak w owém *Preludium* Chopina. O „był to jeden z tych dni nieśmiertelnych, które nigdy w pamięci nie wymierają: z tych dni zabijających, stanowczych, które odmieniają postawę, twarz, ruchy człowieka, a w duszy jego coś niszczą, przetwarzają; z tych dni koniecznych, w których objawia się siła przeznaczenia, jakby siła jaka natury ślepa, bez a l e!“ [3]).

IV.

Zostawszy sam, „smutny, jak tysiąc nietoperzy“, wyczerpany nadmiarem wzruszeń, na ciele słaby, a „w duszy“ zrozpaczony, wiedział Krasiński, że tym razem rozstał się z ukochaną na dłuższy przeciąg czasu, nie przypuszczał jednak, że od następnego spotkania przedziela go całych ośmnaście miesięcy, i że spotkanie to, z jego winy, niczém przypominać nie będzie tegorocznego w Ischl. Nie przeczuwając, że płomień miłości, tak gwałtowny obecnie, nie będąc wciąż świeżemi podsycany wrażeniami, może się zmniejszać stopniowo, z dniem każdym, i w końcu zgasnąć zupełnie — same bowiem wspomnienia nie są nigdy zdolne w jednakim go stopniu podtrzymać — nie przeczuwając tego, ani przypuszczając, choćby na chwilę, że ten dzień „rozdziału“ z ubóstwianą, był jednocześnie w rozwoju jego uczuć punktem kulminacyjnym, dniem przesilenia, początkiem psychicznego odpływu, upadał pod brzemieniem żalu. Po nocach, albowiem „po nocach zwłaszcza“ żal i tęsknota „ciężyły mu nieznośnie, widywał, „stra-

---

[1]) Zob. Listy do Jar. str. 9.

[2]) Tamże str. 11.

[3]) Ciekawym jest ustęp w liście do Gaszyńskiego (Florencya 4 marca 1836), rzucający światło na stronę, że tak powiem, finansową tego romansu. Co się tyczy pieniędzy— piszo autor „Irydiona“— nie raz mój drogi myślałam już o przesłaniu ich tobie; i to ciężarem niemałym mi było, że nie mogłem, z powodu, że u n i e s i o n y n a d r o d z e, k t ó r ą s t ą p a ł e m p r z e z c a ł e l a t o (1835), w y s z a s t a ł e m, c o m i a ł e m. K i e d y c z ł o w i e k ż y j e n i e n a z i e m i, n i e m a c z a s u s i ę r a c h o w a ć. M i ł o ś ć j e s t n i s z c z y c i e l k ą w s z e l k i c h z i e m s k i c h p o r z ą d k ó w e t c. e t c.

szne, ostateczne sceny", na przypomnienie których łzy rzęsiste cisnęły mu się do chorych, zbolałych oczu.

Nie mogąc się opędzić zwątpieniu, szukał ratunku „w modlitwie" i chadzał do kościoła św. Szczepana — gdzie niedawno jeszcze modlił się z nią razem — i „msze kazał odmawiać, jakby za duszę, co odleciała, za istotą, z którą wieczny, straszny rozdział nastąpił", rozdział „gorszy od śmierci", zwłaszcza, iż serce poety, wiedząc „o drugiém, że bije", wiedziało również, niestety, że „choćby pękło za nie, pękłoby samo, nadaremnie".

Tak „po chwilach uniesienia i dziękczynienia dla téj miłości, która strzeże i z toni dobywa", przyszła koléj w życiu Zygmunta na „smutne pasma", na cały szereg „dni stroskanych", w ciągu których „dusza jak mogła odpychała ciało, by jéj lepiéj było po zerwaniu łączących tasiemek". I zdawało mu się niejednokrotnie, „jakoby widział rusztowanie i słyszał ostatnie namowy księdza". Ludzie, spotykający go, a którym on zazdrościł, że ich zająć mogą „komeraże, intryżki i klucze na połach fraka", nie wiedzieli, rozmawiając z nim „o rozmaitych zresztą bardzo obojętnych rzeczach", przez jakie w téj chwili przechodził męczarnie. Nie wiedzieli, albowiem całą ambicyą jego było nie dać poznać po sobie, „co w nim się działo". Jakoż, z wyjątkiem Danielewicza, przed którym nie miał tajemnic, oraz dwóch nieobecnych przyjaciół, Sołtana i Jaroszyńskiego, do których pisząc, mógł być otwartym i mówić o wszystkiém, co mu leżało na sercu, nie miał się nikt w nim domyśléć „trupa" bez duszy, duszy, „co z niego wyszła", uciekając do siostry swéj, równie, jak ona, cierpiącéj.

— Ta dusza, Edwardzie—czytamy w liście do Jaroszyńskiego—obleczona cieniami śmierci, z dwóch części się składa, z dwóch serc wyzionięta i teraz już jednością w wieczności! Chwila, kiedy opuszczała ciało swoje, straszną była, straszną, powiadam ci! Ach, gdzież to drugie ciało, opuszczone, martwe?... Ty je ujrzysz, ty odmówisz modlitwę wspomnień nad niem? Ty je pobłogosławisz! Nieprawdaż?"

Wówczas téż niechaj powié jéj, iż pewny jest, „że ten człowiek kocha, kogo przyrzekł kochać". Jeśli się dowiész — prosi przyjaciela w dalszym ciągu—o szczegółach różnych, to napisz pod adresem: *Simmy banquier à Vienne.* On mi odeszle tam, gdzie będę. Wybieram się ostatnich dni Decembra do Florencyi. „Miałem jechać na

---

[1]) Cały ten ustęp skreślony jest na podstawie I listu Zygmunta do Jaroszyńskiego, datowanego z Wiednia 10 Decembra 1835. (Wyd. Gorzkowskiego).

tychmiast po tym dniu, o którym ci wspominałem“. Wolał jednak przeczekać kryzys cholery, panującéj w Lombardyi.

Ale i „miła, rozkoszna Florencya“, gdzie zabawił kilka tygodni przez czas karnawału, a dokąd mu Sołtan z Rzymu przesłał kilka listów z domu i od pani Bobrowéj, nie zdołała rozpędzić owych chmur tęsknoty bezbrzeżnéj, które od dnia 17 listopada począwszy, zasępiały czoło poety. Smutny był wciąż, pomimo, że w domu Zamojskich, u których bywał co tydzień, znalazł „Angielek pełno, Hermana i Józefa Potockich, Strzyżewską, kapitał śmiechu“, pomimo, że „restauracye wyśmienite, kawiarnie *nec plus ultra*“, pomimo, że „*havanach* kurzą się z ulic“, pomimo, że „książek, żurnalów, gazet więcéj niż potrzeba dla najuczciwszego człowieka“ pomimo, że „Włochy nie tak zakamieniali jak w Rzymie“. Wszystko to, chociaż ponętne na pozór, nie bawiło go. „Nie w rozkosznym jestem humorze“ — donosił Gaszyńskiemu [1]), a przytém w taką nieraz popada apatyę, że „najobojętniéj“ myśli o tém „co będzie, co ma być, co być może“; do tego stopnia, że zdarzają się chwile, w których powiada, „już mi i oczy mojéj kochanki, już mi i promienie słońca niemiłe“. Wié tylko, że mu „smutno, źle, gorzko“. Czemu? Łatwo zgadnąć. „Rzadko się kochają ludzie na ziemi, a kiedy się kochają, niechże będą razem...“ Niestety, „szczęście bez granic i zmiany jest marzeniem“, bo, „bytu niema w zupełnéj jedności: nie cierpiéć wcale, byłoby nie być“. Życie ludzkie to „nieustanne przejście od dobrego do złego, od rozkoszy do bólu: żyć znaczy cierpiéć i rozkoszować się naprzemian“. Po chwilach szczęścia nastąpił okres „próżni bez imienia, bez granic“, okres „nudy ogromnéj, piekielnéj, zimnéj jak lód, pożerającéj jak ogień“, trudno! „Mgieł“ tych, choć „mózg zaciemniają“, nie zdoła nic rozproszyć.

W takiém usposobieniu, na kilka dni przed wielkim tygodniem, pożegnał uroczą stolicę Toskanii i pojechał do Rzymu, na święta. Ale i tu w wieczném mieście, nie odzyskał owéj wesołości i lekkomyślności, wśród których mu, kiedy był dzieckiem, „dni schodziły, gdyby motyle“ [2]). Zamiast, jak dawniéj, „śmiać się do muszek, do kwiatów“, błądził teraz najchętniéj sam, wiecznie zamyślony, po ulicach; nie sypiał po nocach; nie słyszał, gdy mówiono do niego. Cier-

---

[1]) W liście tym z Florencyi 2 lutego 1836, czytamy, co następuje: „... ale od kiedy tyś o mnie nic już się nie dowiedział, „zaszły wypadki, które wstrzęsły mną całym od stóp do głowy i od mózgu do serca“.

[2]) Zob. Listy do Gaszyńskiego, Rzym d. 22 maja 1836 r. zarówno jak i do tegoż czasu odnoszący się list Juliusza Słowackiego do matki, Rzym d. 21 maja 1836, t. II str. 233—238.

piąc „w głębi ducha“, z dziwnym często, niewymownym wstrętem— jeśli w czytaniu szukał zapomnienia -- odrzucał książkę, przykładaną do oczu zbolałych. Czasami znów, kiedy, leżąc na sofie, słuchał muzyki Konstantego, powstawał nagle „w jakiéjś rozpaczy, obudzonéj pięknością dźwięków“, prosząc przyjaciela, ażeby grać przestał, ponieważ z odgłosem fortepianu [1]) wiązały się nierozłącznie widzenia senne owych „dni jedynych i zbiegłych“, a między innemi owego Wielkiego Tygodnia z roku 1834... Tak „drżał na pewne wspomnienia“, którym „czasem puszczał serce“, ażeby po niejakim czasie „odsuwać je od nich“, tysiącom myśli powtarzając, jak Kartuzi: *Memento mori.* Zdarzało się téż, że, grając w wista z towarzyszami, lub sam układając *pasjans* — bo i tego używał sposobu, „pasując się z szyderskim, niewidocznym losem“— rzucał karty na stół i, płonąc gorączką od nagłego, spazmatycznego śmiechu, zaczynał—ku niewysłowionemu zdziwieniu przyjaciół—„sypać żarciki jakieś gorzkie, zgryźliwe“, poczém zapadał ponownie „w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne“.

Kolizeum, ten pomnik starożytnego Rzymu, robiący na nim takie wrażenie zawsze, nie przemawiał do niego.... „Dzisiaj już głazy nie biją sercem dla mnie, jak dawniéj.“

Z odrętwienia tego wyrwała go chwilowo zawarta świéżo znajomość i przyjaźń z Juliuszem Słowackim, „małym człowiekiem, ogromem poezyi obdarzonym od niebios“, autorem „Maryi Stuart“ i wielu innych poematów, dramatycznych, lirycznych i opisowych, w których dał dowód tak „różnobarwnéj i giętkiéj wyobraźni“, jakiéj, zdaniem Zygmunta [2]), „Mickiewicz nawet sam nie miał“.

Nie długiego téż potrzebowali czasu, ażeby się poznać dobrze i, co za tém idzie, pokochać wzajemnie, jak bracia, jak Goethe i Schiller, jak Byron i Shelley. Podczas „romansowych wędrówek“, jakie odbywali razem, bądź sami tylko, we dwóch, bądź wspólnie z Danielewiczem, Sołtanem, Rajeckim i Załuskim, „gadali po szalonemu językiem imaginacyi“ o poezyi, o dziełach swoich, o „Balladynie“, którą Słowacki Zygmuntowi i jego towarzyszom przeczytał [3]), o genezie „Kordyana“, do autorstwa którego przyznał się Juliusz, o „Nieboskiéj komedyi“, o ukończonym właśnie „Irydionie“ [4]) i t. p. Obfitego

---

[1]) Zob. Höffding, „Psychologia doświadcz.“ t. III str. 141 (Warszawa, 1891) „Muzyka zawdzięcza wielką swoją władzę nad ludźmi téj okoliczności, że wspomnienia, które budzi, poruszają przy pomocy niezliczonych, ukrytych nici wszystkie nasze doświadczenia życiowe i rozgałęziają się na wszystkie strony naszéj istoty“.

[2]) Patrz „Listy do Gaszyńskiego“, str. 80.

[3]) Zob. „Słowackiego listy do matki“, t. I, str. 336.

[4]) Z przedmowy St. Tarnowskiego do lwowskiego wydania pism Krasiń-

również tematu do rozmów, po za obrębem literatury, dostarczała im „bardzo miła osóbka“ pani baronowéj Richthoffen. Powiada Słowacki, że „słysząc tylko o téj pani, lataliśmy jak waryaty z Zygmuntem po willach włoskich, aby ją zobaczyć.“ W końcu „w ogrodzie Borghezych“ nastąpiło—za pośrednictwem Aleksandra Potockiego — poznanie i... rozczarowanie: rzeczywistość nie dorównywała ideałowi, utworzonemu w bujnéj wyobraźni młodych „szaleńców“, którzy zamiast bawić „wiele gadającą“ baronową, będącą „z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobiétek warszawskich“ woleli spędzać wieczory w ogrodach willi Mills, nasuwających Zygmuntowi tyle czarownych wspomnień, i dumać „z rozemdleniem serca“ o przeszłości: Krasiński o pani Bobrowéj, Słowacki o pannie Wodzińskiéj. „Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w sinéj mgle tonął“, rozmarzeni ciszą nocną, panującą dokoła, i śpiewem słowików, przesiadywali tu nieraz tak długo, że słyszeli bicie zégarów miejskich wydzwaniających północ, a wracali o pierwszych brzaskach przedświtu. Wszystko to, razem wzięte, „ożywiło nieco“ nietylko Juliusza, lecz i Zygmunta.

Zygmunta jednak, z chwilą, kiedy opuścił Rzym, zmuszony jechać do Kissingen, dokąd przybył d. 11 czerwca, opadły nanowo „okropne zmory“. Budząc się z nich co rano [1]), przez cały dzień następnie „na śmierć smutny był i nigdzie żadnéj nie upatrując nadziei“, szukał ratunku dla swojéj „duszy męczonéj, miotanéj brakiem pokoju“ we „wściekłéj“ grze w *rouge et noir*, pragnąc tym sposobem „czas, a raczéj własne myśli zabić“. Na wygranéj nie zależało mu bynajmniéj, bo nie grał, aby wygrać; tak samo, jak nie dbał o przegrane pieniądze, choćby to były ostatnie, jakie miał. Na wszystko — powiada — gotów jestem, pocieszając się tą myślą, że jedno z dwóch zawsze wypaść musi: djabli albo człowieka wezmą, albo to, co go trapi... A jednak, mimo wszelkie rozumowanie, co moment nasuwała mu się refleksya: „Temu rok taki szczęśliwy byłem!“

---

skiego dowiadujemy się, że rękopism „Irydiona“ przywieziony z Rzymu do Paryża przez ś. p. Romana Załuskiego, wyszedł w druku w r. 1836. Jakkolwiek nie wiemy, w jakim to przewiezienie manuskryptu nastąpiło miesiącu (bądź co bądź, nastąpić musiało w pierwszém, a nie drugiém półroczu, skoro poemat wyszedł w r. 1836), to przecież wolno przypuścić, że tak samo, jak Słowacki Krasińskiemu swoją „Balladynę“, podobnież Krasiński Słowackiemu swojego „Irydyona“ przeczytał. (Patrz przedmowa „Balladyny“, „Do autora „Irydiona“, list I-szy),

[1]) Listy do Gaszyńskiego, str. 81. Kissingen, 12 czerwca 1836 r. „Wczoraj przybyłem do Kissingen...“

„Z tą dewizą dniem po dniu w coraz grubsze, powiada, zasuwał się ciemności.“ Często, zbudziwszy się w nocy, widział obrazy przeszłości „w żywych barwach“, przesuwające mu się przed oczyma. Wówczas „podskakiwał“ na łóżku, jakby mu „kto kulę między żebra wpakował.“

Temu rok, taki szczęśliwy byłem! [1]). Temu rok, mój Boże! donosił Sołtanowi, że się dostał do raju, kiedy dziś w liście do tegoż Sołtana nie zawahał się napisać, że „najlepiéjby się stało“, gdyby mógł „zachorować na jaką gorączkę i umrzéć.“ Wobec tego, nie dziw, jeżeli zazdrościł Gaszyńskiemu, który, sądząc po sobie, uważał, że odległość i czas — to jednak najradykalniejsze na miłość lekarstwa. On, niestety, nie doświadczał na sobie prawdziwości téj przyjaciela tezy, bo jakkolwiek przyznawał, że „są miłości, które duszą się pod ciężarem czasu i przestrzeni“, to przecież twierdził stanowczo — sam o tém wiedząc najlepiéj, — że istnieją również i takie, które właśnie „sił nabiérają“ przez to, „że ciągle pracują wyobraźnią w niedostatku upragnionéj rzeczywistości.“ To powiedziawszy [2]), dodaje: „Ja się w tym drugim przypadku znajduję“, najlepszym zaś dowodem, że w usposobieniu jego „nic żadnéj zmiany nie przyniosło“, są dwa wiersze liryczne, „pierwsze w życiu“, jak sam się przyznaje otwarcie, a które „w tych czasach“, z powodu zbliżających się imienin Joanny, napisał: [3])

O biédna! czegoż ja mam życzyć tobie?
Co wzbudzić w potęg czarnoksięskiém kole,
By świeżość wiosny w posępnéj żałobie
Nie marła jeszcze na twém drogiém czole?

I chciałby, powiada, „odbić czasu niewstrzymane fale“, ażeby nigdy koło niéj „pląsać“ nie zaczęły, ponieważ gdyby do tego, broń Boże, przyszło, kto wié, czyby jéj kochać nie przestał... Bo, niestety, taką już jest natura ludzka, mężczyzny zwłaszcza, że ubóstwiać potrafi tylko świeże i młode lice [4]). „Ach! to piekielna ironia, ironia pierwsza wśród wszystkich na ziemi, zamykająca między dwoma zmarszczkami nieskończoność uczuć serca ludzkiego!“ Tymczasem, odpychając od siebie owe przeczucia goryczy, z przyjemnością malował wierszem: jéj „oczy zmienne“, którym cierpienie lazurową nadawało barwę, a które się „z błękitnych nagle w czarne przeiskrzały“, jeżeli w pier-

---

[1]) Listy do Sołtana. Kissingen, 10 lipca 1836 r.
[2]) Listy do Gaszyńskiego. Kissingen, 12 czerwca 1836 r.
[3]) 24 czerwca.
[4]) Por. List do Sołtana. Graeffenberg, 25 Aug. 1836.

siach zawrzały „czary uniesienia“ [1]); jéj czoło „kędy ożywione myśli snuły się jedne po drugich, jak cienie“; jéj uśmiéch, który „mdlejąc“ zostawiał na twarzy „drobny ślad radości“, etc. I dlatego, zapewnia [2]), chętnie gotów się zrzec sławy i szczęścia, jeżeli mu one miały kiedykolwiek na ziemskiéj przewodniczyć drodze, byle mu tylko ona piękną pozostała dłużéj [3]).

Bo życie moje przeplatałem twojém,
Jak dwie złączone, niezmieszane rzeki,
Co płyną zgodnie różnofarbnym zdrojem;
I gdy ty zwiędniesz, ja zgasnę na wieki.

(*Dok. nast.*) *Ferdynand Hösick.*



---

[1]) Por. z tym opisem „zmiennych oczu“ pani Bobrowéj wiersz Słowackiego: „Do Ludwiki Bobrówny“ (starszéj córki pani Joanny) wiersz, w którym również podniesione są „w oczach cztery zmiany“:

Wtenczas ja powiem srodze rozkochany
I nawet w rymy to zamknę królewskie;
Że choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

[2]) Zob. Listy do Gaszyńskiego, str. 83, 84.

[3]) „Byś tylko dłużéj piękną mi została.



MŁODE POKOLENIE.

Jakim sposobem znaleźli się obok siebie, on, ubogi pracownik, ona, wykwintne dziecię zbytku? On, którego życie było ciężkim znojem od kolebki, ona, dla któréj wszystko było śmiechem i weselem? Stał przed nią zmieszany, z gorącym blaskiem w rozumnych oczach, z gorącym rumieńcem na śniadéj twarzy; ona, spokojna, obojętna, leżała z wdziękiem na wygodnym fotelu na biegunach i kołysząc się zwolna, patrzała nań sfinksowém spojrzeniem piwnych, o złotych odblyskach oczu, z półuśmieszkiem drażniącym na różowych wargach.

— Myślałem, powiedziano mi — tłómaczył się — że tu zastanę hrabiego.

— Ojciec przed chwilą poszedł do fabryki — odpowiedziała zniżonym głosem, nie zmieniając niedbałéj pozycyi i przypatrując się stojącemu przed nią mężczyznie trochę wyzywająco, trochę wzgardliwie, a trochę magnetyzując.

I rzecz dziwna! Pod tym zagadkowym wzrokiem, któryby zmieszał panicza, ubogi syn pracy wyprostował się, podniósł hardo głowę i patrzał na patrycyuszkę, nie spuszczając oczu, spojrzeniem trzeźwém i silném.

— Siadaj pan i spocznij — dodała niezachęcająco.

— Dziękuję pani — odparł krótko. — Chciałbym coprędzéj widzieć się z hrabią, by mu zdać sprawę z interesów.

— Ojciec za chwilę tu powróci. — A widząc, że młodzian chce odejść—chyba, że się pan mnie boisz— dodała, przechylając się cokolwiek ku niemu z pieszczotliwym wdziękiem.

Odpowiedział jéj spojrzeniem, w którém i miłość i namiętność,

i siła woli, cała skala uczuć gwałtownych, zabłysła jak snop płomieni z krateru wulkanu i tego, małego wzrostu człowieka, przemieniła w olbrzyma.

Dziewczyna, jakby olśniona, pochyliła głowę ku piersi, żywiéj oddychającéj, przykryła oczy długiemi czarnemi rzęsami, które rzucały cień na jéj twarz bladawą, tak gładką jak płaty królewskiéj lilii białéj i zarumieniła się barwą stulistnéj róży.

Lecz zmieszanie się trwało mgnienie oka. Podniosła powieki i głowę, twarz jéj powracała do zwykłéj bladości, widać było pod delikatnym naskórkiem, jak się krew cofała, niby morze od brzegu przy odpływie. Znów wzrok sfinksowy z zagadkowym uśmieszkiem utopiła w młodzieńcu, który stał przed nią zimny, spokojny, pan siebie. I mierzyli się tak spojrzeniem oboje. Rzekłbyś dwa drapieżce, lew i pantera, z których każde to się łasi, to przymila, to błyśnie ostremi zębami; czasem pantera łagodnie zadraśnie aż do krwi i cofa się gibka, śliczna, pieszczotliwa; czasem lew pomruknie lub uderzy łapą, bez owych sztucznych manewrów, lecz nie wywierając całéj siły i gniewu. I patrzeli na siebie w milczeniu. On brunet smagły, ogorzały, muskularny i silny, choć miernego wzrostu, szczupły, kształtny. Twarz rzymskiego typu, daleka od klasycznéj regularności, cokolwiek ostra konturem i wyrazem, była myślącą i energiczną. Nad pięknem, rozumnem okiem, głęboko pod kością czołową osadzoném, brew czarna zrastała się w jedną charakterystyczną linię, niby znak widomy niezłomnéj woli. Pod bujnym czarnym wąsem wargi purpurą młodéj krwi nieskażonéj zafarbowane, miękkie linią a surowe wyrazem, uderzały świeżością dziewiczą przy obliczu bladém, napiętnowaném walką, troską, myślą, całém życiem dzisiejszém, tak pełném i gorączkowém, tak porywającém wszystkich w wir uczuć, zdarzeń, idei tłumnych i różnorodnych. Po nad tą wyrazistą twarzą, nad temi mądremi oczyma a namiętnemi ustami, wznosiło się czoło tak spokojne i piękne, tak gładkie i białe, jak u olimpijskiego boga. Tylko na tém czole młodém więcéj było słodyczy, niż majestatu i pokusa brała położyć na niém rękę, popieścić włosy czarne, miękkie jak jedwab, krótko przycięte i układające się w naturalne śliczne półpierścienie.

Stoi przed nią w podróżnym stroju zimowym, w grubym, szarym płaszczu, w wysokich palonych butach, trzymając w małéj ręce, okrytéj łosiową rękawiczką, czarną barankową czapkę. I taki wyrobnik ubogi stał pewną stopą na śliskiéj posadzce wytwornego salonu, przed królową tego świata, do którego wstęp mu był wzbroniony stanowiskiem, urodzeniem, imieniem, słowem, chińskim murem, zbudowanym z drobniutkich kamyczków.

A ona, jasnowłosa, czarnooka, czarnobrewa, bladolica, wiotka, eteryczna, o filigranowych rysach, dziecięcéj rączce i stopie, śliczna, urocza, wypieszczona, delikatna, strojna, była jak te kwiaty egzotyczne, wyhodowane w cieplarni, których świetne barwy olśniewają, woń narkotyczna odurza, ale o których się pytasz: czy kryją w sobie zgniliznę nawozu, na którym wyrosły czy téż ją przetrawiły na życiodajne pierwiastki.

— Siadajże pan — przemówiła raz drugi tonem łaskawéj gospodyni—ojciec za kwadrans powróci i prędzéj się z nim pan tu spotkasz niż gdzieindziéj.

Do słów tych dodała spojrzenie łagodne, wraz z ujmującym uśmiechem.

Mężczyzna postąpił kilka kroków bez najmniejszego zakłopotania, choć nie był wcale salonowcem, lecz czuł swą wartość, niezależną od swéj prostéj burki i od jedwabnych szat i perskich kobierców.

— Ponieważ pani mnie upewnia, że się tu prędzéj spotkam z hrabią, więc zaczekam; ale proszę mi przebaczyć strój podróżny. Chciałem zakomunikować bez zwłoki ważne wiadomości.

— Czy pan wié, żeśmy tu mieli bal improwizowany, coś w rodzają kuligu?

— O niczém nie wiem. Przybyłem przed chwilą z odległéj podróży i nie rozmawiałem z nikim.

— Wybornieśmy się bawili—opowiadała — zapuszczając powłóczyste spojrzenie jak sondę w głąb duszy młodzieńca.

— Wszak u państwa nigdy się inaczéj nie bawią.

— Tym razem było jeszcze lepiéj. Ten najazd gości, całkiem niespodziewany, którzy téż przypadkowo się zjechali u ordynatów, wybierających się do nas z całą rodziną, przybyłą na święta; to zaimprowizowane krakowskie wesele, niekrępowanie się etykietą, trochę chaosu, trochę hałasu, wesołość o ton cały podniesiona, słowem wszystko się składało na to, by było raźniéj, serdeczniéj, bez źdźbła konwenansowego przymusu.

— Czy pani jesteś przeciwniczką konwenansów? — spytał z intencyą.

— Jak się panu zdaje? — odparła dziewczyna głosem, równie trudnym do określenia jak jéj wzrok i uśmiech.

— Mnie się nic nie zdaje i dlatego pytam.

Było coś między tymi ludźmi co rozmawiać im zwykłym sposobem nie dawało. Jak z uderzenia stali o krzemień, tak z ich słów najprostszych krzesały się iskry.

— Był książe Poraj.

— Byłem tego pewny.

— I hrabia Śreniawa.

— I tego byłem pewny.

— I, Apollo belwederski.

Tę nazwę rzuciła niby z wahaniem się, a ciekawém, ukradkowém spojrzeniem.

On słuchał litanii znanych mu imion z uśmiechem, choć twarz mu z lekka pobladła, i odparł swobodnie.

— I pan X i pan Y i pan Z. Słowem wszystkie planety i satelity planet.

— Tak —odpowiedziała przeciągle—ale pomimo tych pierwszorzędnych nawet planet i wcale świetnych satelitów (pozwoli pan, że się u niego zapożyczę w wyrażenie), brakowało mi... gwiazdki... małéj, lecz gwiazdki.

Z pod rzęs i powiek spuszczonych, rzuciła słodkie spojrzenie, ale twarz pozostała nieruchomą.

Purpurą powlokło się białe czoło i smagła twarz mężczyzny, lecz odpowiedział na poły wesoło, na poły poważnie:

— O szczęśliwi ludzie, którym tak nic nie brakuje, że się im aż gwiazd z nieba zachciéwa!

— A czy się ich panu nie zachciéwa nigdy?— spytała tak serdecznie, tak niemal tkliwie, że mężczyzna szepnął.

— Może!...

Popatrzała nań łagodnie i przeciągle. On milczał, topiąc w niéj wzrok płomienny i dysząc wzburzoną piersią.

Wtém ona, czy zmieszana milczeniem, czy téż jakąś skrytą myślą wiedziona, podniosła lewą rekę, wąziuchną, arystokratyczną i niby w roztargnieniu zaczęła prawą obracać kosztowny pierścień na palcu.

Mężczyzna zbladł strasznie na widok téj błyskotki.

Spojrzała mu prosto w oczy i zdawało się, że ta bezmierna boleść podziałała na nią, że radość i żal kolejno przemknęły po jéj twarzy. Ale tak to mignęło błyskawicznie, iż zaręczyć nie było można, czy to nie złudzenie, témbardziéj, że w zupełnie naturalny sposób zagadnęła:

— Jak się panu podróżowało?

— Skąd pani masz ten pierścień? — zapytał, zamiast odpowiedzi podchodząc ku niéj ze straszną bladością lica i bolesną grozą w oczach.

Dziewczyna spojrzała nań z najniewinniejszą minką.

— Ojciec mi go dał na wiązanie. Zapomniałeś pan, że onegdaj były moje urodziny.

Zbolała postać mężczyzny przeobraziła się nagle widocznie; nie-

wymownej słodyczy uśmiech ukazał się na ponsowych wargach, niezmierna czułość w oczach. Niktby nie przypuścił, że tyle uczuć miękkich i tkliwych było w tym surowym, zahartowanym człowieku.

— Czyż zapomniałem?...

— A jednak nie złożyłeś mi pan życzenia... — rzekła z łagodną wymówką.

— Tak jak chce zwyczaj — przerwał. — Nie cierpię oklepanych formułek.

— Czyżby to była czcza forma tylko dla pana? — spytała złośliwie.

— Nie zrozumieliśmy się — zaprotestował żywo; lecz widząc uśmieszek ironiczny, drażniący, przerwał tłómaczenie się i przeszedł w ton żartobliwo-drwiący.

— Ah, pani miałaś tyle i tak różnorodnych życzeń, żebym nawet nie wiedział co do nich dodać.

— Może masz pan racyę—zakonkludowała swoim przewlekłym, obojętnym głosikiem.—Czegoż-bo mi nie życzono!... Zgadnij pan!

— Nie umiem zgadywać.

— Spróbuj—nalegała, drażniąc go widocznie — zgadnąć, czego mi życzył dowcipny książę Gwido X.?

— Czego życzył pani? Nie wiem—odparł szorstko — ale wiem, czegoby życzył sobie.

— Naprzykład?

— Pani posagu.

Teraz dziewczyna uczuła się dotkniętą. Zarumieniła się gwałtownie i odrzuciła z najwzgardliwszém lekceważeniem.

— I pan byś go pragnął... gdybyś śmiał.

Mężczyzna porwał się straszny, jak burza.

— Kłamiesz. — Wiész, że cię kocham nie dla milionów twoich. Lecz dziś, gdy mnie, mężczyznie, co cię za obelgę żelazem ukarać nie mogę, taką krwawą rzucasz zniewagę, to ci powiadam, kokietko bez serca, żeś nie warta, by uczciwy człowiek cię kochał.

Słuchała go blada, bez ruchu i głosu, z szeroko otwartą źrenicą. On wyszedł, ciskając drzwi za sobą tak, jakby grobowe wieko rzucał na swą przeszłość,—ona z przerażeniem wpatrywała się przed siebie, a w całéj jéj istocie zawrzało chaotycznie. Nie mogła oprzytomnieć od razu.

Pantera lwu ustąpić musiała.

Była to jednak silna i sprężysta natura, która się gnębić nie daje, i jeśli się ugnie chwilowo pod wielkim naporem, to wnet się prostuje. Tak i ona, pomilczawszy chwilę w zdumieniu, że ktoś w ten

sposób pozwolił sobie ją skarcić, pokonała i zdziwienie i inne uczucia, energicznie wstrząsła piękną główką i snać powzięła jakieś postanowienie, bo myślące jéj oczy zabłysły, nozdrza się rozdęły, a wargi zacisnęły mocno.

W téj chwili dały się słyszéć kroki od drzwi na balkon wiodących.

Dziewczyna powróciła do swéj wykwintnéj, niedbałéj pozy, i, jak gdyby nic anormalnego nie zaszło, kołysała się powoli, na fotelu, z książką przed oczyma.

Wszedł hr. Radosz.

Był to słusznego wzrostu, średniego wieku piękny mężczyzna; poważny, dumny, połączenie dwóch przeciwnych sobie typów: rodowca i przemysłowca. Miał wyniosłą postawę, imponujące rysy oblicza i arystokratyczne ruchy wielkiego pana, ale sztywność postawy, maska chłodu w twarzy i w oczach przypominały przemysłowca i tworzyły oryginalną całość. Dwa te odrębne charaktery szlachcica i spekulanta, nie zmógłszy jeden drugiego, brały się często za bary, jak dwaj zapaśnicy, próbujący siły i kolejno się zwyciężały.

— Samaś? — spytał, nie widząc wychowawczyni swéj córki, pani Davill?

— Przed chwilą był p. Dulemba.

— Jakto? Już powrócił!

-- Zaraz po twém wyjściu do fabryki.

— Gdzież jest teraz?

— Prawdopodobnie poszedł do twego gabinetu.

Hrabia opuścił salon z żywością szlachcica.

W gabinecie, do poufnych a ważnych spraw przeznaczonym, umeblowanym z komfortem i wykwintnym smakiem bogacza, stał Dulemba z pliką papiérów.

— Jakie wieści? — spytał niespokojnie hrabia, witając milczącém podaniem ręki swego pomocnika.

— Nieszczególne.

— Prolongata?

— Odmówiona.

— Pan Gałecki?

— Zrzeka się dzierżawy.

— Częściowéj?

— Z całego klucza.

— *Bon*, proces. A rata?

— Zapłacić nie ma czém.

— Zrujnowany?

— Spaliło się wszystko ze szczętem.

— Z cukrowni?

— *Netto* 21,489 rs. 37 kop.

— *Diable!*... Interes z Chają?

— Bez procesu się nie skończy.

— Łotr!

— Najgorszego gatunku.

— Pożyczka u Grossberga?

— Twarde warunki.

— Jakie?

— Las w zastaw.

— Nigdy!

Rozmowę tę, prowadzoną monosylabami, dopełniało czytanie dokumentów i listów, które Dulemba wyjmował z podróżnéj torby i podawał hrabiemu, a ten przebiegał szybko wzrokiem, chmurząc się coraz bardziéj. W końcu ręka, w któréj trzymał papiéry, drżéć mu zaczęła nerwowo, cisnął je, zmiąwszy na stół i wzburzony zaczął szybkim, nierównym krokiem chodzić po pokoju.

Dulemba z zimną krwią wziął zmięte arkusze i wygładzając, układał według kategoryi.

Kilka minut trwało milczenie.

Hrabia się opanował i zatrzymując przed młodzieńczem przemówił życzliwie:

— Idź spocząć, panie Edwardzie. Dziękuję ci za pośpiech — wyciągnął ku niemu rękę—a z obiadem czekamy.

Ten przyjął podaną rękę, lecz się nie odwzajemnił uściskiem i rzekł:

— Chciałem téż uprzedzić hrabiego, że muszę dom jego opuścić.

— Jakto? dlaczego?—zawołał zdziwiony.

— Nie mogę dłużéj prowadzić interesów.

— Czyś znalazł korzystniejszą posadę?

— Hrabio!...

— Daruj!—zawołał, wyciągając doń powtórnie prawicę, — alem dziś strasznie zgryziony. Nie chciałem cię obrazić.

Tym razem młodzieniec uścisnął dłoń podaną i błysk cieplejszy mignął mu w oczach, lecz zgasł nagle.

Milczeli chwilę. Pierwszy Radosz przerwał ciszę, pytając:

— Czy stanowczo chcesz mię opuścić?

— Tak, hrabio.

— I dlaczego, jeśli wolno wiedzieć?

— Sprawy osobiste do tego mnie zmuszają.

— Co za niejasne określenie!

— Innego dać nie mogę.

Hrabia się rzucił podrażniony na fotel, sapiąc i szarpiąc szpakowate wąsy. Widać było, że, oprócz interesu, szczera przychylność dla rozumnego i zacnego pomocnika niepoślednią grała rolę, i że narów, nałóg, przywiązanie, a może samowola bogatego pana, który tém więcéj się napiéra, im trudniéj dostaje, wzięły górę nad przemysłowcem.

— *Quelle mouche vous pique, mon cher?*

— Czy hrabia myśli, żem tak drażliwy *à ces piqûres là?*

— Cóż-bo to jest?

— Okoliczności.

— Dajże pokój! *Nous sommes trop gens d'esprit,* byśmy się okolicznościami okłamywali.

— Ma hrabia racyę. Oto prawda. Opuścić chę, a powodu nie powiem.

Gniéw buchnął z piersi magnata i zawołał:

— Więc już wiész wszystko! I dlatego!...

— O niczém nie wiem.

— Słowo?

— Słowo!

— Więc to coś niepojętego!

— Ale o cóż idzie, niech mi hrabia powié!

— Ano!... Jestem zrujnowany!

— Jakto! — wykrzyknął ździwiony i przerażony Dulemba — wszak przed miesiącem, gdym wyjeżdżał...

— Było źle, a do miesiąca wszystko runęło. Wiész, że są wypłaty i jakie. Wiész, że ten łotr Reinecke, który przez zemstę osobistą do ruiny chce mnie przyprowadzić, wykupił wszystkie moje weksle i godziny zwłoki nie da, a tu wczoraj, pisze mi mój agent z Berlina, że firma Kraus et C-ie zawiesza wypłaty, a Zimmermann uciekł.

— To być nie może! To bogaty żyd i bankructwo udane.

— Być może, lecz w téj chwili moje ośmkroć przepada.

— Kiedy uciekł?

— Przed dwoma dniami.

— To go ścigać! Aresztować ruchomości i nieruchomości. Daj mi hrabia pełnomocnictwo i potrzebne papiéry, a jadę do X. ratować, co się da.

— Więc zostajesz?

— Naturalnie, gdy ruina grozi. Odejdę, gdy ją odwrócę.

Uścisnęli się w milczeniu za ręce.

— Idź się posilić, a ja tymczasem przygotuję dokumenty.

Zadzwonił i wchodzącemu słudze zadysponował.

— Śniadanie natychmiast dla p. Dulemby i starego węgrzyna.

— Dziękuję hrabiemu, lecz wina nie pijam. Za półtory godziny będę gotów.

Skłonił się i wyszedł, a hrabia zasiadł do pisania. Zaledwo jednak umoczył pióro, gdy się drzwi otwarły z łoskotem i piękna Ida wbiegła w eleganckiém sobolowém okryciu, zarumieniona i śliczniejsza, niż kiedy, w ciemnych barwach aksamitu i futer, które otulały ją miękko, a nie zakrywając delikatnéj kibici, pozwalały podziwać gibkość ruchów, wdzięk postaci, podnosiły swym brunatnym połyskiem świéżość cery i odcień popielato-blond włosów.

— Uf! co za śnieżyca, papo! Ledwośmy wyjechały za miasto temperatura obniżyła się nagle jeszcze o jakie dziesięć stopni. Wiatr, szron, mróz! Wracamy co koń wyskoczy, zziębnięte i głodne.

— Czy naprawdę taka burza?

— Huragan szalony!

— A!...

— Cóż-to?

— Mam ważny i pilny interes.

— To go odłożyć... Chodźmy na śniadanie. Kazałam podać wcześniéj, bom przeziębła i potrzebuję filiżanki gorącego bulionu!

— Nie czekajcie na mnie.

— Cóż znowu? Chodź!

— Nie, nie! Nie przyjdę i niech mi nie przeszkadzają.

Z dźwięku mowy poznała córka, że o coś niepowszedniego idzie i nie nalegała. Dopiéro po godzinie zebrali się wszyscy razem: hrabia, Ida i pani Dawill, wystrojona a brzydka.

— Cóż tam twój interes, papo, załatwiony?

— Posyłam właśnie...

— Jakto?!... *Par un temps à ne pas mettre un chien dehors!*

— To też poczciwy Dulemba...

— Znowu!

— To nieoszacowany człowiek! Złote serce, a genialna głowa.

— Fenomen!

— Cóż-bo masz przeciw niemu?

— Ja?!...

— To całkiem nam oddany chłopiec.

— *Tant que nous sommes millionnaires.*

— Oh, w tém to się mylisz!

— Daj Boże!

Milczeli chwilę.

— Cóż tam zrobił ten fenomen?

— Nic nadzwyczajnego, tylko pojedzie, *par ce temps à ne pas mettre un chien dehors*, załatwiać nasze interesy.

— A!...

Rozmowa się urwała. Ojciec wziął do ręki *Times*, a córka przerzucała *Revue des deux mondes.*

— Ta *Revue* staje się z każdym miesiącem nudniejsza, muszę sobie coś innego wyszukać w bibliotece — rzekła, wstając i wychodząc.

Znalazłszy się w swoim pokoju, drzwi na klucz zamknęła, potém stanęła przy oknie i przysłoniwszy się fałdzistą aksamitną firanką, wzrok niespokojny skierowała w dziedziniec.

Przed pawilonikiem, zajmowanym przez Dulembę, masztalerz trzymał konia za uzdę, a on sam schodził po stopniach kamiennych z ganku, w obcisłém futerku, w butach z ostrogami i pejczem w ręku.

— Oj, paniczu, straszna dziś wichura! niebezpiecznie jechać.

— Potrzeba!—odparł lakonicznie i ujął wierzchowca za cugle.

Koń zżymał się i chrapał. Młodzian skoczył nań sprężyście, nie tknąwszy strzemienia i ścisnął kolanami, a ujarzmiony rumak w gniewnych susach pomknął pod arkadę bramy.

— To mi zuch!— szepnął masztalerz, patrząc na jeźdźca, potém na widnokrąg, który się zachmurzał.—Jak nie zamarznie gdzie w drodze, to będzie żył sto lat.

Jakoż śnieżyca się wzmagała. Wicher dął z całą siłą, miotając kłęby szronu, zasypując drogi, zaciemniając widnokrąg, tnąc twarz, oślepiając wzrok. Ze złowrogim świstem, z białym tumanem śniegu, który myli oczy człowieka, a instynkt zwierzęcia, — srożył się straszny orkan północy.

Za oddalającym się i znikającym na skręcie ulicy jeźdźcem, wychyliła się przelękniona twarz młodéj kobiéty i dotknąwszy czołem zimnéj szyby, pozostała nieruchoma przez czas długi. Naraz ocknęła się z zadumy i zadzwoniła.

Weszła panna służebna.

— Leontyno, przeproś pana, że nie zejdę, lecz stąpiłam źle, wstępując na schody i tak mnie noga zabolała, że muszę się położyć.

Służebna się oddaliła, a ona, z figlarnym uśmiechem zrzuciwszy atłasowy trzewiczek i jedwabną pończoszkę, owinęła pośpiesznie mo-

krą batystową chusteczką nóżkę drobną, zaróżowioną po bokach, śliczną jak pieścidełko.

Wbiegła z tysiącznemi ubolewaniami pani Dawill, wszedł ojciec niespokojny, zaglądały służebne.

— Ależ, na Boga, nic się nie stało—upewniała Ida. — Źlem stąpiła tą nogą, którą wywichnęłam w przeszłym roku w górach i trochę zabolała. Okłady z zimnéj wody i parogodzinny spoczynek wyleczą mnie zupełnie.

— Może doktora?—pytał troskliwie ojciec.

— Nie! Bądź spokojny: najmniejszego nie ma niebezpieczeństwa. Idźcie państwo do salonu i nie troszczcie się o mnie.

— Ja zostanę przy tobie! — zawołała z teatralnym gestem pani Dawill.

— Przeciw temu stanowczo protestuję—odpowiedziała; — poczciwa Dawill tak się przejmuje memi sprawami, iż gotowa wmówić we mnie chorobę.

Ojciec usiadł przy jedynaczce i biorąc ją za rękę.

— Czy to mówisz dla uspokojenia mnie?

— Nie, drogi ojczulu — szepnęła, całując go; — jak cię kocham, nie ma nic groźnego. Posiedź koło mnie, jeśli chcesz, ale przypominam, żeśmy być mieli u X. i u N. Pojedź i zabierz sobie Dawill, bo mnie zamorduje swą troskliwością.

Uśmiechnął się.

— Kocha cię.

— Nie lubię krzykliwego kochania—odparła z grymaskiem.

Wkrótce stało się zadość jéj życzeniu. Została sama z konwią źródlanéj wody i misą lodu na okłady, ale zaledwo ucichły kroki ojca i wychowawczyni, zerwała się prędko z sofy, drzwi na klucz zamknęła i powróciwszy do okna, przez które wprzód patrzała, usiadła jak na czatach. Zmrok zapadał, noc nadchodziła — ona się nie ruszała. Słyszała powrót rodzica i przyjaciółki, pukanie ostrożne do drzwi, ciche słowa zapytań, lecz nie dała znaku życia. Sądzono, że usnęła i cisza pustynna zaległa pałac. Ona nie spała, tylko oparta o framugę okna, nieruchoma, drżąca, wypatrywała nieobecnego. Na dalekiéj wieży ratusza zégar wydzwonił północ. Z westchnieniem podobném do stłumionego ryku, czy jęku, załamała ręce nad głową. Źrenice jéj rozszerzone świeciły, jak ślepie drapieżnego zwierza, czatującego na zdobycz; wargi ścięte do krwi, drgały spazmatycznie, oddech syczący, szybki, zdradzał pierś falującą niespokojem szalonym. Znów zapukano ostrożnie do drzwi. Milczała. Zapukano powtórnie. Jeszcze milczała. Wtedy zawołano z trwogą:

— Ido! na Boga, otwórz! Czyś chora?...

Teraz dopiéro ten głos dźwięczący obawą podziałał na nią i udając, że się ze snu budzi.

— Kto tam?—spytała.

— Ojciec. Co ci jest dziecko najdroższe, czyś chora?

— Nie, nie, ojczulu kochany, zdrowam zupełnie. Zaczekaj, zaraz otworzę.

Otwarła, i wieszając się na szyi przepraszała, uspokajała, dopytywała się swobodnie o nowinki z miasta. Lecz zostawszy samą, znów powróciła ku oknu, oszalała trwogą, rozpaczą.

Raz obiła się o jéj uszy rozmowa służby.

— Cóż to, Piotrze, nie zamykacie bramy?

— Pan graf kazał czekać na pana Dulembę.

— To on dziś ma powrócić?...

— A dziś, jak żyw będzie.

— Śnieżyca?

— Oj, jaka!... Starzy ludzie nie pamiętają takiéj.

— I wiatr!

— Jak brzytwa ostry! Toć trzy kroki odemnie do bramy, a ino wyjdę i wrócę się, drżę jak w zimnicy.

— Boże! Boże! Boże! — ze zgrozą jękła postać niewieścia, obie ręce zatapiając w płowych włosach.

Czwartą godzinę dzwonił zégar wieżowy.

Ruch wszelki w mieście ustał tylko świst burzy drażnił ucho. Z daleka dało się słyszéć rżenie konia. Serce dziewczyny bić przestało. Rżenie się powtórzyło głośniejsze; arab się cieszył, poznając zagrodę, parskał raźnie i bił o bruk kopytami w przyśpieszonym biegu. Brama otwarta nie zatrzymała jeźdzca ni chwili i oto powracał dzielny, silny, jak bóg wichrów, osypany śniegiem, zlodowaciały a żywy, przeistoczony w blasku księżyca, który go fantastycznie oświecał, to przedzierając się, to kryjąc się za chmury.

Za chwilę krok się elastyczny męski rozległ na kamiennych stopniach peronu i ucichł nagle za ciężkiemi podwojami.

Ida rzuciła się na puchowe łoże, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Kilkanaście dni upłynęło od owéj nocy. W domu hr. Radosza wszystko szło dawnym trybem, tylko on sam stawał się, pomimo wysiłków, coraz posępniejszym, coraz więcéj zapadały mu policzki i oczy. Ida téż nieraz się chmurzyła, ściągała wąskie brwi i rzucała kolącém

słowem. Naraz spadł grom, a hrabia, choć przygotowany, tak go uczuł, tak się zmienił na licach, iż córka, spostrzegłszy go, zawołała niespokojnie.

— Ojcze, co ci jest?

— Głowa mnie boli.

— Ciebie-by ból głowy tak zmógł!...

— Może się zeń wywiąże co gorszego.

— Poślę po doktora.

— Nie trzeba.

Ujęła go za rękę. Była rozpaloną i drżącą.

— Połóż się zaraz, masz gorączkę. Posyłam po Dorna.

— Ależ mówię ci, że nie trzeba. Wyjść muszę.

— Gdyś chory.

Hrabia zamilkł, córka patrzała badawczo.

— Papo! ty coś ukrywasz?—spytała nagle.

— Śni ci się—odparł z dobrze udanym spokojem.

— Patrz mi w oczy.

Patrzył spokojnie i jasno.

— Cóż czytasz?—spytał z uśmiechem.

— Z oczu nic; lecz z pulsu i twarzy wszystko.

— Ach ty doktorze!

Pogładził ją po licu.

— Masz gorączkę?

— Katarową!

— Przemysłową!

— To mi dyagnoza!

— Trafniejsza, niż sądzisz. Jesteśmy zrujnowani.

— Co za myśl!—zaprotestował słowem, a zdradzając się, mimowoli krwawym rumieńcem i nagłą bladością.

Chciał się oddalić; ona zaparła sobą drzwi.

— Nie puszczę cię, aż mi wszystko powiesz.

Hrabia przystanął, patrząc na córkę, która nie spuszczała z niego wzroku. Badali siebie. Po jéj stronie była przewaga młodości ufnéj, wiary niezabitéj doświadczeniem, nadziei niestrutéj zawodami. W niéj była jeszcze niezużytkowana siła, w nim już zużyta, półwiekowa. Walka nierówna. Mężczyzna spuścił wzrok, przegrał.

— Straciliśmy?—spytała powtórnie.

— Wszystko.

— A dłużnicy?

— Zostaną zaspokojeni.

— Więc cóż mówisz, żeśmy wszystko stracili?

— Bo potrzeba będzie oddać nawet ten dom praojców, nawet te meble i cacka. Nam nic nie zostanie.

— Cześć.

— Masz słuszność... *Tout est perdu sauf l'honneur.*

Uścisnął ją, wzruszony jak kobiéta.

— A widzisz papo, żeśmy nie zrujnowani.

— Moja ty pociecho!

— Pamiętaj, że mój posag po matce do twego rozporządzenia.

Ze smutném milczeniem przyjął ofiarę i przygarnął do piersi odważną dziewczynę. Zrozumieli się bez słów, poczuwali się do solidarności w spełnieniu obowiązku.

— Idź spocząć ojczulku i nie frasuj się. Nie wszystko przepadło, gdy mamy czas. Dorobimy się jeszcze tego co nam potrzeba. Ale, a bal jutrzejszy?

— Odbędzie się.

— Dobrze!

Jakoż nazajutrz wieczorem pałac był rzęsiście oświetlony, pełen kwiatów, zieleni, służby. Powozy zajeżdżały nieustannie; goście strojni i świetni zapełniali salony, dwie wyborne orkiestry grały naprzemian; hr. Radosz uśmiechnięty, szarmancki, Ida strojna i wesoła, pani Dawill jeszcze brzydsza w balowéj toalecie, lecz wszyscy w złotym humorze „robili honory domu.“

Bawiono się wyśmienicie. Ida królowała, nie mogła nastarczyć tancerzom, a jednak raz znikła z sali niepostrzeżona.

Było to nad rankiem. Wesołość, ochota, doszły do kulminacyjnego punktu. Wtedy wysunęła się cichutko jak kotka, pobiegła do apartamentu ojca i ostrożnie storów podniósłszy spojrzała ku pawilonowi. W przeciwległém oknie jasno oświeconém pochylała się nad stosem papierów, zatopiona w zmudnéj i pilnéj pracy głowa o poważnych, rzymskich rysach, o pięknem czole otoczoném jedwabistemi włosami. Ida patrzała przyklęknąwszy, by podnosząc zbyt storów nie zdradzić swéj obecności. Niezmierna tkliwość jak blask otoczyła jéj oblicze a usta szepnęły serdecznie:

— Mój ty jedyny!

Kroki dały się słyszéć obok.

Zerwała się przestraszona. Czekała chwilę bez oddechu, zmieszana jak pensyonarka, złapana na gorącym uczynku jakiéjś psoty, lecz się wnet opamiętała, podniosła głowę z determinacyą i wróciła do sali balowéj.

Zbliżył się ku niéj piękny młodzian Apollinem przezwany, z ujmującą korną czcią, niby brat, niby ubóstwiający kochanek, a tak de-

likatny, tak rycerski, tak sympatyczny, iż zdawało się niepodobieństwem, by mógł ktokolwiek pozostać obojętnym dla téj uroczéj, pełnéj piękna wewnętrznego i zewnętrznego postaci.

Rozmawiając z nią, unikał pustych, salonowych frazesów i komplementów, tylko otaczał ją czcią religijną, aż ją podrażniło to bez zarzutu postępowanie, i patrząc nań kolącym wzrokiem, przerwała mu jakieś zdanie, chwytając za słowo:

— Więc pan lubi perfekcye?

— Nie umiém na to odpowiedziéć, bo perfekcyi tak nadzwyczaj mało, iż jeśli się kiedy jedną przypadkiem szczęśliwym spotka, to się ją wyłącznemi uczuciami obdarza; by zaś „lubić perfekcye“ trzeba by się z niemi oswoić, czyli co krok je znajdować.

— Co do mnie, ja bym nawet wyjątkowéj perfekcyi niczém innėm nie obdarzyła jak wyjątkowém nielubieniem.

— Dla czego?

— Mam do nich antypatyę niewytłómaczoną i niepokonaną.

— Jak to dobrze, iż w całém X. — oddarł z uśmiechem żywym a łagodnym — nie mamy ani jednéj „perfekcyi.“

Rośmiała się ułagodzona i zamilkła.

Tymczasem dzień biały wdzierał się przez firanki, story, zazdrostki, walcząc zwycięzko z światłem sztuczném.

Goście rozjeżdżali się śród gwaru, szeptu, śmiechu, tysiąca pochlebnych słówek. Hrabia z córką wytrwał na stanowisku. Oboje, jak prawdziwi bohatérowie konwenansów, nie zdradzili troski nurtującéj wewnątrz. Dopiéro, gdy ostatni powóz wytoczył się za bramę, gdy zostali sami, spadły maski z lic zmęczonych, znudzonych, choć opiérających się zwątpieniu i spojrzeli na siebie wymowniejszemi od słów oczyma.

— Giniemy walecznie — rzekła córka.

— Jak przystało na szlachtę.

— Nie damy się.

Mężczyzna westchnął.

— Nie damy się — powtórzyła. — Zrujnowani dziś, zaczniemy się odbudowywać jutro. Co teraz zamierzasz?

— Dziś czekam wypadków.

— Jakich?

— Że katastrofa nasza, dotąd ledwo kilku osobom znana, stanie się głośną.

— A wtedy?

— Wystąpią wierzyciele, rozpoczną się formalności sądowe, a że nie mam gotówki, więc oddam ruchomości i nieruchomości.

— Naturalnie.

— Ciebie radbym pojutrze z Dawill, wysłać do ciotki, do Fiume.

— Nie pojadę.

— Dla czego?

— Moje miejsce przy tobie.

— Dziecko drogie, to chwila nie dla kobiéty.

— Ojcze! kobiéta, towarzyszka doli mężczyzny jako żona, córka, matka, nie zna takiéj chwili, w któréj by jéj obecność przy jego boku była niewłaściwą.

— Cóż po kobiécie, naprzykład, na licytacyi?

— Gdyby ciebie, ojcze, nie było, tobym poszła pilnować interesów naszych; że jesteś, więc zostanę w domu, by cię pocieszać gdy powrócisz smutnym, rozrywać, gdy się uczujesz samotnym; i, by saméj nie tęsknić, nie niepokoić się o ciebie, potrzebuję być z tobą.

Objęła go i wygrała sprawę.

— Idź spocząć. Bóg z tobą dziecko poczciwe.

Znakiem krzyża czoło jéj pobłogosławił i pożegnał.

Odchodziła powoli, gdy niespodziewanie w drugim pokoju, spotkała na progu Dulembę.

Usunął się z drogi jak człowiek nieznający jéj wcale.

Spotkali się od owéj rozmowy, tak fatalnie zakończonéj po raz pierwszy sam na sam, oko w oko. Po twarzy dziewczyny przemknął blask różowy, zawahała się chwilę i zwracając się ku młodzieńcowi rzekła:

— Widzę jak bardzo pan się poświęca dla nas, — dla ojca mego, poprawiła się. Pozwól córce podziękować za rodzica.

Wyciągnęła doń rękę.

Spojrzał jéj prosto w twarz wzrokiem zimnym i twardym, bez cienia tego szacunku, który człowiek dobrze wychowany okazuje kobiécie i nie przyjął podanéj ręki.

— Podziękowanie pani zbyteczne. Pracuję nie dla niéj i nie dla jéj ojca, którego wysoko cenię, lecz dla tego, że nie lekceważę swego obowiązku i nie chcę samym sobą pogardzać.

Patrycyuszka sponsowiała. Dłoń jéj wyciągnięta przyjaźnie, cofnęła się szybko; w oczach zabłysła uraza, gniew, oburzenie, lecz usta uśmiechnęły się pogardliwie i rzuciły lekceważąco:

— *Il pleut des Catons.*

Upłynęło trochę czasu.

Ruina majątkowa hr. Radosza stała się głośną: mówiono o niéj

wiele. Jedni żałowali, drudzy potępiali, inni się uchylali od stosunków, inni się cieszyli upadkiem „bogacza wyzyskującego biedaków“ a nikt nie pośpieszył z pomocą.

Pewnego wiosennego ranku wszedł hrabia do pokoju córki i rzekł:

— Dziś mamy dom nasz opuścić.

— Jestem gotową.

— Parę bagatelek, pamiątek, zabrać można; reszta, wszystko co jakąkolwiek wartość posiada zostanie dla wierzycieli.

— Dobrze ojcze!

I w kilka godzin późniéj wsiadła piękna Ida po raz pierwszy w życiu do najętego powozu, z płaczącą p. Dawill, spokojna i nieodgadniona jak zawsze, z ojcem smutnym, choć z godnością cios znoszącym, by zamieszkać... w *chambres garnies*.

Apartament nie wielki, ładny był i wygodny, lecz pani Davill rozpłakana upadła na szezlong, wołając:

— Jak ja to przeżyję! Jak ja to przeżyję!

— Droga moja — odezwała się Ida zimno; — jeśli ojciec i ja żyjemy, toś ty wcale umiérać nie powinna.

— Ach Ido, ty nie masz serca!

— Nam teraz głowy nie serca potrzeba.

— Nie poznaję cię. Tyś straszna kobiéta!

— Dla tego, że rąk nie łamię, nie płaczę, nie jęczę, serca co chwila do rozmowy nie wtykam... Czy myślisz, że ci, którzy niém zaprawiają słowa swoje, więcéj go mają od innych?.. O jakże się mylisz!.. Człowiek na pewną tylko ilość uczucia zdobyć się może, podobnie jak pewną tylko liczbę lat żyć, pewną ilość ciężaru udźwignąć zdoła. Ci, którzy się nad swemi cierpieniami rozwodzą, skarby swych uczuć sławią, nie zbytek serca lecz pustkę głowy zdradzają. Kto myśléć, działać, badać niezdolny, daje ujście nerwom podrażnionym, czułostkowości, a choćby i czułości w sentymentalnéj gadaninie. Ogół się łapie na lép, jak muchy na miód, pora, by przejrzéć i przekonać się jaką to rzeczywistą ma wartość... Lecz dajmy temu rozumowaniu pokój, wybacz mi, moje za żywe wystąpienie.

— O droga moja! — zawołała pani Dawill zmieszana słowami wychowanki i jak zwykle ulegająca jéj woli.

Ida zamilkła i rozglądając się po nowém swém mieszkaniu, starała się z niém poznajomić. Nie wesoło jéj w duszy być musiało, choć się zbroiła w stoicyzm, bo wyraz goryczy przebiegał to przez oczy, to przez wargi. W końcu uciekła się do zagłuszenia siebie ruchem, czynnością gorączkową.

— Ubierz się, Dawill, i chodź ze mną.

— Jakto! dziś?.. Ty masz odwagę spojrzéć ludziom w oczy!?...

— Dla czegóżbym jéj nie miała?.. Czyśmy nie postąpili jak uczciwi ludzie? Czyśmy nie wyszli niemal jak żebracy z ojczystego gniazda, by żebrakami drugich nie zrobić?..

— Ale świat, świat!.. Co on powié!

— Nie troszczę się o to, gdy mam czyste sumienie.

— Ja cię nie poznaję!

— Ale to ci nie przeszkodzi towarzyszyć mi do miasta?

— Gdzie?

— Do jubilera.

— Ty, dziś, do jubilera!

— Ja, dziś, do jubilera — potwierdziła zniecierpliwiona.

— Czy można wiedziéć w jakim celu?

— Sprzedać brylanty.

— Ido, tracisz zmysły!

Patrycyuszka się uniosła.

— Czyż nie widzisz, żeśmy stracili wszystko i że trzeba na nowo dorabiać się bytu?.. Nie mamy w téj chwili nic, prócz moich po matce i babce precyozów. Gdy je sprzedam, kwota za nie, będzie dostateczną do rozpoczęcia nowego jakiegoś przedsiębiorstwa przemysłowego; pozwoli nam zdobyć niezależne stanowisko.

— Romansowe, niepraktyczne idee po nowomodnych książkach pochwytane. Mojém zdaniem, nie w swoją rzecz się mieszasz. W takiéj ekstra-ordynaryjnéj wycieczce ja ci towarzyszyć nie mogę i ciebie nie puszczę.

— Jeśli mi towarzyszyć nie chcesz, zmuszać cię nie będę, ale pójdę sama.

Z temi słowy opuściła pokój. Pani Dawill, rada nie rada musiała podążyć za swą samowolną wychowanką.

Dużo wody upłynęło, od dnia, w którym Ida sprzedawszy kosztowności, wymogła na ojcu prośbą i łzami, że naprzód wybaczył to samowolne rozporządzenie się a następnie ofiarę jéj przyjął. Mieszkają wprawdzie zawsze w najętym apartamencie i ograniczyli dawny tryb życia, ale się wszystko składa tak, że powrócić doń będzie można. Oto wchodzi stary hrabia z rozpromienioną twarzą a listami w ręku, mówiąc:

— Interesa nasze doskonały biorą obrót. Firma Kraus et Comp., która była zawiesiła wypłaty, obiecuje się uiścić. Okręty, które miała za stracone, przybyły wreszcie. W drodze, uszkodzone burzą, mu-

siały się zatrzymać dla naprawy, ztąd opóźnienie, listy zaś donoszące o tém zaginęły. Trzeba będzie pewne folgi co do terminów porobić, może nawet stracić procent, lecz kapitał odzyskamy, a to główne. W téj chwili téż odbieram list z Bukaresztu od Dulemby, że Zimmermann, podstępny bankrut, ujęty, przekonany o oszustwo, skazany na zapłatę nie tylko należności, lecz wszelkich strat, na jakie naraził swych wierzycieli, jest w stanie zadość uczynić prawu. Fabryka nasza, założona za cenę twoich brylantów rozwija się coraz pomyślniéj — i, drogie dziecko, mam nadzieję w Bogu, że powrócimy do ojczystego gniazda.

Sprawdziły się słowa hrabiego. W rok niespełna po téj rozmowie zastajemy go w dawnym domu, gdzieśmy go poznali; siedzi jak ongi w swoim gabinecie, jak ongi stoi Dulemba przy biurku, składa papiery, weksle, raporty.

— Teraz wszystko w porządku. Ma hrabia przekazy firmy Kraus et Comp. na kapitały złożone w banku towarzystwa kredytowego ziemskiego; tu są weksle Zimmermanna na dom Bleichrödera; tu zaliczka na maszyny, a tu kontrakt na dzierżawę Radoszyna z przyległościami.

— Górą nasza! — woła hrabia z radością, wyciągając prawicę do młodziana.

— Już ci nawet i nie dziękuję, bo za taką pracę, za tyle oddania się, słów nie ma. Pamiętaj tylko, żem twym dłużnikiem moralnie, do zgonu.

— Proszę hrabiego nie przeceniać méj działalności, — brzmi obojętna odpowiedź. — Zrobiłem to, co każdy uczciwy urzędnik by zrobił. A teraz pozwoli hrabia pożegnać siebie. Mówiłem przed dwoma laty, że zostanę do czasu, aż się interesa poprawią; dziś, gdy one są na pomyślnéj drodze, żegnam go!

— Co to znaczy?! — zakrzyknął magnat zdziwiony. — Czyś ty oszalał, czy ja?

— Żaden z nas — odparł, uśmiechając się mimowolnie — lecz pozwoli hrabia, że odejdę, dzisiejszym bowiem wieczornym pociągiem wyjeżdżam do Odesy, gdzie mi ofiarowano posadę.

Skłonił się powtórnie i znikł we drzwiach, zanim hrabia zdołał się zdobyć na odpowiedź.

Zdumiony, ogłuszony, pozostał chwilę bez ruchu i słowa, naraz zerwał się pośpiesznie i udał do córki.

Siedziała samotnie w niewielkim buduarze, zadumana głęboko, z elegancką robótką, z któréj się wysunęłą igła, z rozwartą książką,

któréj nie czytała. Na łoskot gwałtownie otwierających się drzwi drgnęła z nerwowym przestrachem.

— Czy wiesz? Ten szalony Dulemba porzuca nas!

— Więc?... — spytała przewlekłym, obojętnym tonem, choć pobladła bardzo.

— Ależ to być nie może! On, co był naszym przyjacielem, nie urzędnikiem, co jeden, w ciężkich chwilach, stał przy mnie wiernie jak brat, i swą energią rozumu pokonał zwycięzko tyle trudności, nie powinien odejść wtedy, gdy się nam powodzić zaczyna. To upokarzające dla nas!

— Papo — odezwała się Ida chłodno, z odzyskanym zupełnie spokojem — nigdy nie będziesz dobrym przemysłowcem, bo do interesu wkładasz serce.

Ostygł stary ojciec na widok zimnéj krwi swojéj młodéj córki. Ona się zwróciła ku książce, która spadła na posadzkę, on popatrzał na nią przez chwilę i nie rzekłszy słowa, powrócił do siebie.

Teraz dopiéro zerwała się Ida sprężystym ruchem zranionéj pantery i jak w obłędzie chwyciła się za głowę. Nieruchoma zrazu, nagle zaczęła chodzić gwałtownym krokiem po swéj komnatce, gryząc wargi i ważąc coś w umyśle. Trwało to parę minut. Zdecydowała się szybko i otwarłszy drzwi ogrodowe skierowała się ku pawilonowi.

Stary sługa podniósł się zdumiony, widząc swą młodą panią w tém miejscu. Ona spoglądała śmiało.

— Czy jest p. Dulemba u siebie?

— Jest, J. W. hrabianko. Czy poprosić?

— Nie trzeba. Zaczekaj tu na mnie Wiktorze.

Przyśpieszonym krokiem wstąpiła na schody i zatrzymała się u drzwi na pierwszém piętrze, na których błyszcząca, stalowa tabliczka uwiadamiała, że to mieszkanie dyrektora. Pomimo swéj energii i silnego postanowienia, zawahała się gdy trzeba było nacisnąć sprężynę od dzwonka. Ręka podniesiona opadła, i zaledwo po pauzie odważyła się zapukać. Cisza odpowiedziała. Z bijącém sercem zapukała raz drugi. Dały się słyszéć kroki i ukazał się na progu Dulemba.

Jakkolwiek umiał panować nad sobą, przecież osłupiał ujrzawszy Idę. Ona weszła zamykając drzwi za sobą, spojrzała zastrachanym trochę wzrokiem w surowe a blade lice młodziana i milczała, nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Sprzeczne wrażenia ozwały się jednocześnie, wewnętrzna jednak siła jakaś parła ją do

czynu, druga hamowała. Pierwsza kazała jéj podnieść czoło, druga, spuścić oczy, a serce pukało jakby ostrzegając...

— Czy co zaszło? Czy hrabia mnie potrzebuje? — spytał Dulemba z lodowatą grzecznością.

Czy wtém pytaniu zawziętość słusznéj urazy, chęć pokazania, że tylko interes trzyma ich pod jednym dachem, czy téż... ułatwienie rozmowy? Dziewczyna odparła stanowczo choć głosem tamowanym gwałtowném biciem serca.

— Nic!... tylko... ojciec mi powiedział... że... pan nas opuszcza...

Mężczyzna milczał.

— Czy to nieodwołalne postanowienie? — spytała cicho z niedającą się opisać obawą i prośbą.

— Tak, pani!

— O panie Edwardzie—kończyła stłumionym głosem—wyznaję, żem niesłusznie go skrzywdziła...

— Proszę, nie mówmy o tém — zawołał gwałtownie.

— Pan nie chce zapomnieć, a ja... a mnie... mnie... — głos się jéj rwał, plątały się wyrazy, dopowiedziała reszty wilgotném spojrzeniem.

Mężczyzna patrzał na nią wzrokiem zmiękczonym, pełnym miłości i żalu.

Spostrzegła, że wygrywa sprawę.

— Czy mi pan przebacza? — szepnęła śmieléj, wyciągając obie ręce.

Pochwycił je w milczeniu, pochylił hardą głowę, by je całować gorąco.

Rezolutna panna rumieniła się i bladła, drżąc ze wzruszenia, jak nieśmiałe, pod bokiem matki wychowane, wiejskie dziewczątko; mężczyzna szeptał korne słowa miłości. Długi uścisk i łzy w oczach obojgu uświęciły zgodę.

Pierwsza Ida otrząsła się, a raczéj zapanowała nad sercem i odezwała się.

— Chodźmy do ojca.

Trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy, zeszli razem.

Stary Wiktor, jeszcze bardziéj zdumiony na widok młodéj pary, zbliżonéj do siebie, podniósł się z rozszerzoną źrenicą, lecz w milczeniu, jak przystało, otworzył przed nimi podwoje.

Hrabia chodził w swoim apartamencie widocznie markotny i gniewny, gdy Ida, bez oznajmienia się, podniosła portyerę.

— Cóżeś mówił papo — rzekła swobodnie na pozór—że pan Dulemba wyjeżdża?... Sam właśnie przychodzi ci powiedzieć, że zostaje.

— Przecież!...—zawołał hrabia z radością.

— Tak, przychodzę prosić cię hrabio, byś mi pozwolił zostać... swym synem.

Magnat się cofnął, ale córka rzuciła się mu na szyję, i nie dając przyjść do słowa, szeptała coś na ucho, całując tkliwie policzek, aż stary ojciec uległ.

— Błogosławisz, papo, nieprawdaż? — kończyła, klękając wraz z młodzianem.

— Błogosławię — rzekł, kładąc ręce na pochylonych głowach. Bierzesz Edwardzie co mam najdroższego, musisz więc zostać przy mnie.

— Cóż pani na to? — odezwał się tegoż dnia półgłosem stary hrabia Radosz do pani Davill, gdy oboje wieczorem siedzieli przy lampie, w jednym rogu obszernego salonu, a młodzi w drugim, pod kląbem zwrotnikowych krzewin, prowadzili jedną z tych rozmów, których czaru nie odzwierciedli najpotężniejszy talent poety.

— A cóż hrabio—odparła stara ochmistrzyni, poprawiając okularów — musimy ustępować młodym, taka kolej rzeczy!... Myśmy mieli nasze idee i przeprowadzaliśmy je naszemi sposobami; oni mają swoje i przeprowadzają je swojemi. Po nich przyjdą inni i znów w inny sposób działać będą. Główna rzecz, by zasady pozostały zacne.

Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.

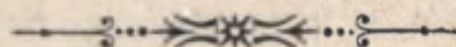




ZMYSŁY I WRAŻENIA ZMYSŁOWE

U ZWIERZĄT NIŻSZYCH,

w świetle nowszych badań.



Każdy, kto zastanawiał się głębiéj nad otaczającemi nas tworami żyjącemi, niejednokrotnie zadawał sobie zapewne pytanie, jak przedstawia się świat zewnętrzny zmysłom zwierząt, a zwłaszcza zwierząt niższych? Czy barwy są dla nich barwami, słyszane przez nas dźwięki -- dźwiękami, czy widzą one postaci i ruchy przedmiotów tak, jak my je odczuwamy i t. d. i t. d.?

Zmysły i ich czynności u zwierząt niższych były w ostatnich zwłaszcza czasach przedmiotem badań ze strony licznych bardzo uczonych, a dokonano już na tém polu dosyć wiele, pomimo, iż metody badań przedstawiają tu pod niejednym względem nadzwyczajne trudności. O ile chodzi o budowę anatomiczną zakończeń nerwowych oraz o rozmaite części dodatkowe organów zmysłowych, pośredniczące w zetknięciu się zakończeń nerwów z bodźcami świata zewnętrznego — dane, przez naukę zdobyte, są pewniejsze i bardziéj ustalone; rzecz się atoli komplikuje, gdy chodzi o kwestyą czynności zmysłów, a głównie o naturę wrażeń zmysłowych, otrzymywanych przez zwierzęta niższe. O jakości wszelkiego wrażenia sądzimy na podstawie naszych wrażeń subiektywnych; naszą skalę czucia, t. j. czucia, właściwego ustrojowi ludzkiemu, stosujemy nieraz ryczałtowo do czynności zmysłowo-czuciowych zwierząt, narażeni będąc tym sposobem na wielkie błędy; tylko nadzwyczajna ostrożność w wyprowadzaniu wniosków

z obserwacyi i w sądzeniu *per analogiam* pozwala nam właściwie oceniać czynności zmysłowe zwierząt, jakkolwiek zawsze prawie zostajemy tu tylko w sferze hypotez, nieraz atoli bardzo prawdopodobnych. Dwie są drogi, za pośrednictwem których poznajemy czynności fizyologiczne zmysłów zwierzęcych i oceniamy naturę ich wrażeń zmysłowych. A mianowicie, najprzód opieramy się na danych morfologicznych, t. j. dotyczących budowy narządów. Wychodzimy tu z zasady, że podobnym czynnościom towarzyszy podobna budowa i *vice versa*, że wszelka zmiana w czynnościach fizyologicznych odbija się téż wyraźnie na stosunkach morfologicznych. Tak np. w uchu ludzkiém, za pomocą którego otrzymujemy wrażenia słuchowe, znajduje się woreczek błoniasty o ściankach elastycznych, zdolnych do wykazywania drgań; w woreczku tym mieści się płyn szczególny, a w nim — zawieszone, wapienne części twarde, t. z. kamyki słuchowe czyli otolity; wreszcie — zakończenia nerwu słuchowego w postaci komórek, opatrzonych sztywnemi włoskami, skierowanemi do jamy woreczka i pozostającemi w związku z owemi kamykami. Wiemy, że organ taki służy do odbierania wrażeń słuchowych i że drgania dźwiękowe powietrza udzielają się ściankom pęcherzyka i płynowi w nim zawartemu oraz wstrząsają kamykami słuchowemi, które drażniąc przylegające do nich, włoskowate zakończenia nerwu, wywołują w nas wrażenia dźwiękowe, wrażenia bardzo swoiste, zupełnie niepodobne do przyczyny je wywołującéj, a mianowicie np. do drgań struny lub błony bębna oraz do fal głosowych powietrza. Otóż, gdy teraz u pewnych zwierząt niższych np. u mięczaków znajdziemy organ pęcherzykowaty, wypełniony cieczą, zawierającą kamyk słuchowy, który wyprowadzony z równowagi, uderza o włoski komórek, będących zakończeniami nerwu — będziemy mogli na podstawie analogii w budowie, wnioskować o podobieństwie czynności, a więc i o podobieństwie wrażeń zmysłowych; dochodzimy więc do przypuszczenia, wielce prawdopodobnego, iż za pomocą organów wzmiankowanych dane zwierzęta niższe otrzymują wrażenia słuchowe. To samo dotyczy np. narządów wzrokowych. Zasadniczemi częściami składowemi oka ludzkiego są: środki, łamiące światło (np. soczewka, ciało szkliste), daléj barwnik ciemny, pochłaniający promienie świetlne, wreszcie zakończenia nerwowe. Wszystkie zatém organy u szeregu zwierząt niższych, złożone z pewnych ciał, łamiących światło, zawierające ciemne barwniki oraz osobliwe zakończenia nerwowe i wreszcie umieszczone, podobnie jak oko wyższych zwierząt, na powierzchni ciała, tak aby promienie światła były dla nich dostępne, uważamy przez analogią

w budowie za organy widzenia, za narządy, za pomocą których zwierzęta otrzymują wrażenia wzrokowe.

Inna droga polega na bezpośredniém, doświadczalném rozwiązywaniu kwestyi. Wychodzimy tu mianowicie z zasady, iż wszelki bodziec zewnętrzny, dostatecznie silnie działający na zmysły, wywołuje odpowiednią reakcyą organizmu, objawiającą się pewnym ruchem. Na téj podstawie z faktu, iż zwierzę pod wpływem danego bodźca wykonywa ruch, wnioskujemy, że odbiéra ono wrażenie tego bodźca, a jeśli pewnego rodzaju podrażnienie, np. dźwiękowe lub świetlne, wywołuje ową reakcyą wtedy tylko, gdy działa na pewien określony zmysł, możemy z tego wnosić, na jakiéj kategoryi bodźce wrażliwy jest dany zmysł. Należy tu naturalnie stosować metodę wyłączania pewnych przyczyn i obserwowania wtedy zmian w skutkach. Przykład wyjaśni rzecz tę bliżéj. Dajmy na to, że mamy przed sobą jakiego skorupiaka, na którego pletwie ogonowéj mieści się zmysł zagadkowego dla nas znaczenia. Gdy rzucamy na skorupiaka wiązkę silnego światła, skorupiak nasz skręca natychmiast na bok, wykonywa słowem pewien ruch, oczywiście więc reaguje na światło; gdy obok akwaryum, w którém mieści się nasz skorupiak, wywołamy nagle jaki dźwięk donośny, zauważymy, iż zwierzę drga ciałem, nie pozostanie głuchém na dźwięk ten i t. d. Teraz pokryjmy oczy skorupiaka warstwą lakieru, nie przepuszczającego światła; zwierzę przestanie reagować na promienie świetlne, co nas utwierdzi w przypuszczeniu, iż narządy, dla innych względów uważane przez nas za oczy (z powodu swoistéj budowy swojéj), są niemi rzeczywiście. Jeśli zaś po odcięciu pletwy ogonowéj, mieszczącéj wspomniany zmysł zagadkowy, zauważymy, iż zwierzę nie przestaje reagować na światło, nie odczuwa atoli dźwięków, t. j. nie reaguje ruchem ciała na bodźce dźwiękowe, nagle w bliskości jego wywoływane, będziemy natenczas z wielkiém bardzo prawdopodobieństwem utrzymywali, iż ów organ zagadkowy jest zmysłem słuchu. Podobną drogą analizy moglibyśmy także odnaleźć siedlisko np. zmysłu węchowego lub smakowego, używając innych bodźców. Zjawia się tu atoli pewna trudność, wynikająca z zasady t. zw. specyficznéj energii nerwów. Ta ostatnia polega na tém, iż dany nerw, np. wzrokowy lub słuchowy, bez względu na jakość bodźca, drażniącego jego zakończenie, doprowadza do świadomości naszéj wrażenia pewnego tylko specyficznego rodzaju, np. wzrokowy — świetlne, słuchowy — dźwiękowe i t. p. Każdy zapewne doświadczył na sobie samym, że silne uderzenie w oko, wywołuje w nas wrażenie świetlne; ludzie, którym przy operacyach gałki ocznéj przecinano nerw wzrokowy, widzieli w chwili

przecięcia nerwu „morze ognia;“ mechaniczne podrażnienie (przecięcie) włókien nerwu wzrokowego objawia się więc tu dla człowieka pod postacią subiektywnego, potężnego wrażenia świetlnego. To samo tyczy się np. nerwu słuchowego; rozmaite subiektywne, ułudne wrażenia dźwiękowe, jak np. znane powszechnie „dzwonienie“ w uszach, szum w uszach i t. p. mają przyczynę swoją w pewnych chwilowych zboczeniach w krążeniu wewnątrz ucha, w kataralnym stanie przewodów, pozostających w wzwiązku z organem słuchu, w nagromadzeniu się zbytecznem pewnych wydzielin w tychże i t. p.; wszelkie te zboczenia wywierają pośrednio wpływ pewien na zakończenia nerwu słuchowego, a w nas wywołują pewne subiektywne wrażenia dźwiękowe. W obec faktu, że po usunięciu zakończeń nerwowych (wraz z usunięciem siatkówki) pozostały odcinek nerwu wzrokowego, drażniony mechanicznie, wywołuje wrażenia świetlne (poczucia błysków, iskier i t. p.), w obec faktu dalej, iż po amputacyi nogi i po usunięciu zakończeń dotykowych, odcinki nerwów w nodze, drażnione, wywołują w nas różne wrażenia dotykowe, pochodzące jakby z saméj nogi, pomimo, iż ta już nie istnieje i w obec wielu innych faktów podobnych, fizyologowie doszli do wniosku, że specyficzny charakter wrażeń zmysłowych może nie być zależnym od swoistej natury zakończeń nerwowych, lecz wprost od tego, iż pewne komórki mózgowe, połączone przypuśćmy z włóknami nerwu wzrokowego, dają nam jedynie tylko świadomość światła, bez względu na to w jakikolwiek sposób podrażnione zostaną włókna tegoż nerwu, czyli, że wszelkiego rodzaju pobudzenia danego nerwu wywołują w protoplazmie komórek ośrodkowych, z nim połączonych, pewne specyficzne ruchy molekularne, warunkujące pewne określone stany świadomości. Do ciekawego tego przedmiotu, a mianowicie do filogenezy energii specyficznej powrócimy jeszcze niżej. Wielce jest prawdopodobnem, że i u zwierząt niższych istnieje taka energia specyficzna wrażeń zmysłowych. Otóż jeśli tak jest w saméj rzeczy, natenczas przy ocenianiu jakości wrażeń, otrzymywanych przez pewne zmysły zwierząt niższych, narażeni bylibyśmy na pomyłki, posługując się wyłącznie drugą z opisanych tu metod. Przykład najlepiéj to nam wyjaśni. Przypuśćmy, że badamy jakiś zagadkowy dla nas zmysł, który w rzeczywistości jest np. zmysłem słuchowym; otóż, jeśli wszelkie mechaniczne (nie dźwiękowe) podrażnienia, np. wstrząśnienia wody, w któréj zwierzę żyje, zwiększone ciśnienie, dotyk bezpośredni i t. p., wywoływać będą efekt ruchowy (naturalnie przy wyłączeniu możliwości działania tychże bodźców na inne organy zmysłowe), natenczas przypuszczać będziemy, że dany organ jest zmysłem dotyku, ponieważ bodźce, wywołujące w nas wra-

żenia dotykowe, a na organ ten działające, sprawiają widoczny efekt, reakcyę, objawiającą się ruchem. W rzeczywistości atoli, wszystkie te bodźce mechaniczne mogły na dany organ, jako na słuchowy, działać w sposób specyficzny, wywoływać mianowicie zawsze pewne subiektywne wrażenia dźwiękowe, które my, sądząc tylko z natury działających i oczywiście odczuwanych przez zwierzę bodźców, uważamy w danym wypadku błędnie za wrażenia dotykowe. Przy wnioskowaniu należy więc być bardzo ostrożnym i posiłkować się zawsze, o ile można, i metodą morfologiczną i czysto eksperymentalną.

Fakt istnienia specyficznéj energii zmysłów jest dla nas i z innego względu niezmiernie ważny. Ponieważ mianowicie różnego rodzaju bodźce, np. elektryczne, mechaniczne, świetlne, wywołują w pewnym zmyśle, np. w oku, jednego tylko rodzaju wrażenia, też same zaś bodźce, nie zmieniając natury swojéj, sprawiają w innym zmyśle zupełnie nowe i odmienne formy wrażeń, wynika więc z tego, że świat zewnętrzny wydaje się nam takim, jakim go widzimy, słyszymy i t. d., tylko dlatego, iż taką a nie inną jest nasza organizacya zmysłowo-nerwowa. Stąd znów daléj wynika oczywiście, że zwierzęta niższe, którym brak pewnych zmysłów, zbliżonych do naszych, a które posiadają natomiast pewne zmysły inaczéj zbudowane, inaczéj funkcyonujące, niż nasze, połączone z pewnemi specyalnemi grupami komórek nerwowych w ośrodkach, i odznaczające się jakąś specyficzną energią, otrzymywać mogą szeregi wrażeń zupełnie odmiennéj natury, aniżeli wszelkie wrażenia, przez nas odbiérane, pomimo iż ta sama suma bodźców zewnętrznych oddziaływa zarówno na ich ustrój, jak i na organizm istot wyższych. O naturze tych wrażeń nie mamy i prawdopodobnie nigdy nie będziemy mieli pojęcia, tak samo, jak człowiek, od urodzenia pozbawiony organów wzrokowych, nie zdoła wyrobić sobie za pomocą słuchu, dotyku, powonienia, smaku i t. p., najlżejszego chociażby pojęcia o naturze wrażeń świetlnych. Z drugiéj atoli strony prawdopodobném jest, że między naturą wrażeń, otrzymywanych przez różnego rodzaju zmysły ustrojów wyższych, większa zachodzi różnica jakościowa, aniżeli pomiędzy zmysłami téj saméj, lub zbliżonéj kategoryi u ustrojów wyższych z jednéj strony, u niższych zaś organizmów z drugiéj, czyli innemi słowy, że pomiędzy pewnemi zagadkowemi zmysłami niższych zwierząt, a którymkolwiekbądź ze znanych zmysłów ustrojów wyższych, mniejsza zachodzi różnica co do natury wrażeń, za pomocą zmysłów tych otrzymywanych, aniżeli pomiędzy jakiemibądź odmiennemi zmysłami zwierząt wyższych. Do takiego przypuszczenia upoważnia nas, jak sądzę, ta ważna okoliczność, iż wszystkie zmysły zwierzęce

rozwinęły się pod wpływem ciągłego i bezustannego działania warunków i bodźców zewnętrznych na ustroje, z czego znów wynika, że określone grupy bodźców zewnętrznych, jak np. ruch cząsteczek eteru, ruch drgający fal dźwiękowych powietrza, stykanie się powierzchni ciała zwierzęcego z substancyami płynnemi i lotnemi i t. p., które to bodźce działały bezustannie w ciągu rozwoju rodowego wszystkich zwierząt na protoplazmę ich komórek, wywołać musiały pojawienie się pewnych odpowiednich grup narządów zmysłowych, przedstawiających w szeregach rozwoju swego filogenetycznego (rodowego) raczéj różnice ilościowe, niż jakościowe. To samo stwierdza także morfologia, wykazująca w budowie różnych grup organów zmysłowych u ustrojów niższych, w porównaniu z wyższemi więcéj różnic natury ilościowéj, aniżeli jakościowéj, o czém czytelnik przekona się z dalszego ciągu pracy niniejszéj.

Pogląd ten wyświetla nam również do pewnego stopnia genezę energii specyficznéj zmysłów, jaką znajdujemy u organizmów wyższych, a która istnieje, bardzo prawdopodobnie i u niższych, jak to już zaznaczyliśmy poprzednio.

A mianowicie, jeśli dane zmysły powstały pod wpływem warunków i bodźców zewnętrznych, oraz kształtowały się i doskonaliły bezustannie pod działaniem tychże, protoplazma ich zakończeń nerwowych przystosowała się do pewnéj swoistéj funkcyi, czyli, jak przypuszczamy, do pewnego swoistego ruchu cząsteczkowego. Musimy przypuścić, że np. drgania eteru, udzielające się zakończeniom nerwowym w organach wzrokowych, wywoływać w nich zaczęły w szeregu rodowym pewne specyficzne formy ruchów cząsteczkowych, podobnie jak np. drgania dźwiękowe powietrza, udzielające się zakończeniom nerwowym ucha, zaczęły w miarę rodowego doskonalenia się organu tego, wywoływać pewne specyficzne ruchy w protoplazmie odpowiednich zakończeń nerwowych. Słowem, w miarę jak się różnicowały i doskonaliły pod wpływem bodźców zewnętrznych pewne zmysły, różnicowały się również i wyodrębniały pewne specyficzne formy drgań cząsteczkowych w protoplazmie zakończeń nerwowych. Drgania te przenosiły się po włóknach nerwowych do komórek ośrodkowych, wywołując w tych ostatnich analogiczne rodzaje drgań. Słowem, pewne komórki mózgowe, połączone przez włókna z zakończeniami np. nerwu wzrokowego, pozostającemi bezustannie pod wpływem światła, przystosowały się do pewnéj swoistéj czynności, wywołującéj subiektywne wrażenia świetlne; działo się to przez długi szereg pokoleń i długi łańcuch gatunków, a drogą dziedziczności ta specyficzna zdolność plazmy danych komórek mózgowych do podlega-

nia pewnym swoistym ruchom molekularnym, potęgowała się coraz bardziéj i bardziéj. Plazma pewnych grup komórek ośrodkowych nabrała, że tak powiemy, pewnéj szczególnéj wprawy do swoistych drgań, tak że te ostatnie, wywoływane pierwiastkowo tylko przez pewne bodźce specyficzne, np. świetlne, pojawiać się zaczęły wreszcie, ilekroć razy cząsteczki wyprowadzane zostały z równowagi, słowem, wszelkie bodźce silniejsze stawać się mogły powodem owych drgań swoistych wywołujących pewne specyalne stany świadomości. Tą drogą wyrodzić się mogła filogenetycznie energia specyficzna zmysłów.

Morfologia dostarcza ważnych dowodów na to, iż zmysły zwierzęce są w znacznéj mierze wytworem bodźców zewnętrznych, które na ustroje oddziaływały. A mianowicie, u zwierząt najniższych wszelkie wrażliwe ciałka zmysłowe mieszczą się wprost na powierzchni ustroju, niczém nie są pokryte, niczém zasłonięte, a tym sposobem wystawione są na bezpośrednie działanie bodźców zewnętrznych; w miarę, jak posuwamy się coraz wyżéj po drabinie ustrojów, zakończenia nerwów czuciowych oddalając się od powierzchni ciała, zajmują głębsze okolice, otoczone zostają przez narządy ochraniające je i zabezpieczające, przyczém pojawiają się różne ważne części dodatkowe, których celem jest jaknajodpowiedniejsze i jaknajdokładniejsze doprowadzenie bodźców zewnętrznych do owych głębiéj ukrytych zakończeń nerwów zmysłowych. Te fazy rozwoju filogenetycznego powtarzają się również w rozwoju osobnikowym narządów zmysłowych, Każdy ustrój wyżéj uorganizowanych zwierząt wielokomórkowych przedstawia w pewném stadyum rozwojowém zarodek, utworzony z trzech warstw komórek, z t. zw. trzech listków zarodkowych: zewnętrznego, środkowego i wewnętrznego. Otóż z listka zewnętrznego, czyli powierzchownego, powstaje nietylko skóra, ale także rozwijają się z niego wszelkie zakończenia zmysłowe i nawet cały układ nerwowy.

Pierwsze objawy wrażliwości zmysłowo-nerwowéj znajdujemy już u jestestw, zajmujących najniższy szczebel rozwoju rodowego, a mianowicie u tworów jednokomórkowych, np. u t. zw. korzenionogów, do których należą między innemi pospolite w wodach naszych ameby. Protoplazmie tych komórek właściwą jest w wysokim stopniu wrażliwość na bodźce zewnętrzne (*irritabilitas*), które to bodźce stanowią impulsy ruchowe. Na rozmaite bodźce zewnętrzne ameba odpowiada skurczem plazmy, ruchem, silniejszym lub słabszym, zależnie od jakości i siły bodźca, przyczém najogólniejsze, zasadnicze prawa wrażliwości jéj są te same, co i u ustrojów najwyższych. I tak przedewszystkiém koniecznėm jest pewne *minimum* bodźca do wywo-

łania efektu ruchowego; przy zbyt słabém podrażnieniu mechaniczném, termiczném, świetlném, chemiczném i t. d., protoplazma nie reaguje na bodziec, nie kurczy się pod jego wpływem; dopiéro gdy natężenie bodźca przechodzi pewną granicę minimalną, t. zw. próg wrażliwości (*Reizschwelle* fizyologów niemieckich), plazma reagować zaczyna na dany bodziec. Druga cecha wrażliwości protoplazmy polega na tém, że przyzwyczaja się ona do bodźców, bezustannie lub przynajmniéj bardzo długo na nią działających, — słowem, wrażliwość jéj uledz może stępieniu, i stan ten trwa dopóty, dopóki bodziec nie przestanie działać na pewien czas, dłuższy lub krótszy, podczas którego wrażliwość protoplazmy, że tak powiem, odrabia się czyli powraca do pierwotnego stanu. Są liczne ustroje jednokomórkowe, które za najlżejszém wstrząśnieniem stolika mikroskopowego (gdzie je rozpatrujemy) kurczą energicznie ciało swoje; ustroje takie odznaczają się więc oczywiście wielką wrażliwością na bodźce mechaniczne (wstrząśnienia, ucisk i t. p.). Gdy atoli przez dłuższy czas trzymać je będziemy w kropli wody, umieszczonéj na stoliku mikroskopowym, bezustannie podlegającym wstrząśnieniom, ustroje nasze przyzwyczają się wreszcie do bodźców tych i przestaną na nie reagować; gdy atoli po pewnym czasie spokoju kropla wody ulegnie ponownemu wstrząśnieniu, ustroje odpowiedzą znów na nie energicznym skurczem ciała, który przeminie po ustaniu działającego bodźca.

Trzecia wreszcie ogólna cecha wrażliwości protoplazmy polega na tém, że im większym jest bezwzględnie bodziec, w danéj chwili działający, tém większą musi być różnica pomiędzy nim, a bodźcem silniejszym, aby różnica wrażenia mogła być odczutą przez ustrój. Wyobraźmy sobie, że na amebę, pełzającą po szkiełku stolika mikroskopowego, wywieramy lekkie bardzo ciśnienie, równe np. 5; jeśli uprzednio ameba znajdowała się pod ciśnieniem, równém dajmy na to 1, to ta różnica w ciśnieniu, równająca się w danym wypadku 4, zostanie odczuta przez plazmę i ameba odpowié na nią skurczem swego ciała. Gdy jednak ameba nasza podlega początkowo ciśnieniu bezwzględnie większemu, niż poprzednio, a mianowicie np. równemu 5, to powiększenie tegoż ciśnienia o 4, nie wystarczy już do wywołania takiego samego efektu, jak poprzednio, lecz ciśnienie spotęgować należy znacznie więcéj, tak aby różnica w bodźcach w ostatnim wypadku przewyższała znacznie różnicę bodźców w pierwszym. Rozpatrywana tu cecha wrażliwości była przedmiotem wielu bardzo, niezmiernie interesujących badań ze względu na zwierzęta wyższe, a zwłaszcza na ustrój ludzki. Starano się mianowicie wyrazić za pomocą wzoru matematycznego stosunek między wzrastającemi bodźca-

mi, a wzrostem wrażeń odpowiednich (Weber i Fechner). Fechner mianowicie doszedł do wniosku, że przyrost wrażliwości proporcyonalny jest do przyrostu bodźca, podzielonego przez bezwzględną wielkość bodźca, z czego znów wynika, że wrażenia pozostają w takim stosunku do bodźców, jak logarytmy do ich liczb. Dokładniéj sformułowaną została ta zależność za pomocą następującego wzoru:

$$\gamma = \varkappa\ (\log.\ \beta - \log.\ \epsilon) = \varkappa.\ \log.\ \frac{\beta}{\epsilon}$$

gdzie β oznacza wielkość bodźca, γ — odpowiednią wielkość wrażenia, $\varkappa$ — jest wielkością stałą, ϵ — oznacza t. zw. wartość progu wrażliwości, t. j. wielkość najniższego, odczuć się dającego wrażenia, przekraczającego zero. Przeciwko téj formule t. zw. psychofizycznego prawa Webera i Fechnera podnoszono w ostatnich czasach liczne zarzuty, w co jednak nie możemy tu wchodzić (Trotter, Hering, Delboeuf, Plateau i inni); rzeczywiście, możliwość zupełnie dokładnego matematycznego wyrażenia stosunku energii bodźców do energii wrażeń jest wątpliwa, a przytoczyliśmy powyższy wzór, jako przykład, jedynie w tym celu, by pokazać, jak dalece zapuszcza się umysł ludzki w odnośne badania objawów wrażliwości i na jak ścisłéj drodze pragnie rozwiązać skomplikowane stosunki tych objawów.

Rozpatrzywszy pokrótce ogólne cechy wrażliwości, przystąpmy teraz do przeglądu ważniejszych narządów i czynności zmysłowych w szeregu zwierząt niższych.

Wogóle, w skład każdego organu zmysłowego wchodzą części główne, zasadnicze, któremi są zakończenia nerwowe i włókna nerwowe, łączące te zakończenia z komórkami nerwowemi ośrodków, oraz części dodatkowe, drugorzędne, służące do tego, by jaknajdokładniéj umożliwić dostęp pewnego rodzaju bodźców swoistych do zakończeń danego nerwu zmysłowego. Cały w ogólności przyrząd zmysłowo-nerwowy można sobie w postaci najprostszéj uzmysłowić jako trzy komórki, połączone włóknami: komórkę zmysłową, włókno, łączące ją z komórką nerwową, włókno wychodzące z komórki nerwowéj i łączące ją z komórką mięśniową. Ogniwo takie tłómaczy nam fizyologiczną działalność przyrządu zmysłowo-nerwowego w najpierwotniejszym jego stanie, a mianowicie t. zw. odruchy. Bodziec zewnętrzny działa na komórkę zmysłową, stąd przenosi się to podrażnienie po włóknie (czuciowém) do komórki nerwowéj, w któréj wywołuje pewne pobudzenia ruchowe, przenoszące się znów po włóknie (ruchowém) do komórki mięśniowéj i wywołujące skurcz téjże. U zwierząt najniższych zmysły są téż w saméj rzeczy wyrażone przez pojedyńcze komórki zmysłowe, rozmieszczone w różnych okolicach powierzchni

ciała. U organizmów wyższych komórki zmysłowe są nietylko bardziéj zróżnicowane, t. j. przystosowane do odbiérania wrażeń różnorodniejszych, ale prócz tego skupiają się w pewnych określonych miejscach ciała, t. j. w organach zmysłowych, włókna zaś czuciowe, łączące komórki każdego z tych skupień z komórkami nerwowemi ośrodków, biegną razem obok siebie w postaci jednego pęczka włókien, czyli nerwu. Tym sposobem powstają zakończenia nerwowe w zmyśle (np. w siatkówce oka), nerwy zmysłowe, doprowadzające bodźce do komórek ośrodkowych i nerwy ruchowe, które są pęczkami włókien nerwowych, łączących ośrodki z mięśniami i przewodzących pobudzenia ruchowe od ośrodków do mięśni.

Zaczniemy od zmysłu dotykowego, który możnaby nazwać najprostszym ze wszystkich, jakkolwiek u człowieka i zwierząt wyższych zmysł ten jest wielce nieokreślony i nazwą tą oznaczamy tu kilka różnych zupełnie narządów zmysłowych, rozmieszczonych na skórze; wielka rozmaitość zakończeń nerwowych w skórze człowieka i wogóle kręgowców pozwala przypuszczać, iż skóra jest siedliskiem kilku różnych zmysłów specyficznych, jak np. służących do odbiérania wrażeń cieplnych, wrażeń ciśnienia, wrażeń bólowych i t. d., a przemawiają za tém w wysokim stopniu eksperymentalne badania w tym kierunku Blixa [1]), Goldschneidera [2]) i innych.

Zdolność odbiérania wrażeń dotykowych posiadają już najniższe ustroje, a mianowicie pierwotniaki. U ameby i innych korzenionogów protoplazma, składająca ciało tych ustrojów jednokomórkowych, zróżnicowana jest na warstwę zewnętrzną, bardziéj jednorodną i wewnętrzną ziarnistą; warstwa zewnętrzna, mająca zdolność energicznego wypuszczania wyrostków, za pomocą których istota porusza się i chwyta stałe cząstki pokarmu, odznacza się prawdopodobnie nieco większą wrażliwością ogólną, a więc wrażliwszą jest również na dotyk, niż wewnętrzna; przy najlżejszym nacisku, nakłuciu i t. p. ameba wciąga przedewszystkiém wypustki swego ciała. U innych pierwotniaków, np. u wymoczków, komórka, składająca ustrój, otoczona jest z zewnątrz błonką, zachowuje przeto mniéj lub więcéj określoną postać, a na powierzchni opatrzona jest włoskami protoplazmatycznemi, wykonywającemi szybkie ruchy—migawkami czyli rzęsami. Przy poruszaniu się w wodzie wymoczek dotyka otaczających

---

[1]) Blix, „Experimentale Beiträge z. Lösung d. Frage über die specifische Energie der Hautnerven". Zeitschrift f. Biologie, 1885.

[2]) Goldschneider, „Die specifische Energie der Temperaturnerven", oraz „Die specifische Energie der Gefühlsnerven der Haut." Monatschrifte f. prakt. Dermatologie, 1884 i później.

przedmiotów rzęsami, a nie ma wątpliwości, że owe włoski zewnętrzne są wrażliwsze na dotyk obcych ciał, niż pozostałe części ustroju wymoczka.

Przechodząc do istot wielokomórkowych, spostrzegamy zmysł dotyku wysoko rozwinięty u jamochłonnych: u polipów, korali, meduz i t. p. Każdy, kto miał sposobność obserwowania polipów lub korali w akwaryum, zauważył niejednokrotnie, jak przy najlżejszém wstrząśnieniu wody, lub przy dotknięciu zwierząt jakim obcym przedmiotem, kurczą one ciało swoje, a przedewszystkiém wciągają długie ramiona, czyli czułki, otaczające ich otwór gębowy. Fakt ten dowodzi oczywiście obecności wielce delikatnego czucia w skórze. Osobliwie czułemi na dotyk są wspomniane ramiona i tu téż rzeczywiście znajdujemy najwięcéj zakończeń nerwowych, które i ze względu na ich stosunki morfologiczne uważać mamy prawo za narządy zmysłu dotykowego. W skórze jamochłonnych, a mianowicie pośród warstwy komórek, składających tę ostatnią, znajdujemy pojedyńcze komórki, połączone włóknem z komórkami nerwowemi i zakończone długim włoskiem dotykowym. Oprócz tego, w skórze tych zwierząt znajdują się innego jeszcze rodzaju narządy dotykowe, zwane organami parzącymi, czyli żgawkami. Stanowią one przykład nader prostego przyrządu zmysłowego, który służy zwierzęciu do pewnych specyalnych celów, pozostających w ścisłym związku ze sposobem życia tegoż. A mianowicie, każda żgawka jest jedną komórką nabłonkową, opatrzoną na wolnéj, zewnętrznéj swojéj powierzchni nader czułym włoskiem dotykowym (t. zw. *cnidocil*); wewnątrz komórki mieści się woreczek, wypełniony jadową cieczą i wydłużający się w długą, nitkowatą rureczkę, spiralnie skręconą wewnątrz woreczka, do którego jest ona wpuklona (niekiedy znajdujemy innego rodzaju urządzenie); komórka żgawki łączy się zwykle za pośrednictwem włókna z leżącą głębiéj komórką nerwową. Jeśli obok zwierzęcia przepływa jaka inna istota, dotykająca włosków żgawki i drażniąca te ostatnie, podrażnienie to przenosi się po włóknie do komórki nerwowéj, a na drodze odruchowéj powstać może w komórce téj pobudzenie ruchowe, przenoszące się powrotnie po témże włóknie do żgawki i wywołujące skurcz jéj plazmy; wskutek zaś tego skurczu i nacisku na pęcherzyk, nitkowata rureczka wypukla się, zostaje ze znaczną siłą wyrzucona z pęcherzyka i godzi, niby zatruta strzała, w ciało istoty, która podrażniła włosek dotykowy żgawki. W tym więc wypadku wzmiankowane organy dotykowe są przystosowane do pewnego specyalnego celu; odbiérane bowiem za ich pomocą bodźce wywołują odruchy, ma-

jące na celu obronę zwierzęcia, lub pokonywanie słabszych istot, służących mu za pokarm.

U szkarłupni, do których należą, jak wiadomo, gwiazdy morskie, jeżowce, lilijowce i strzykwy, znajdujemy również pewne zmysły dotykowe, przystosowane do specyalnych celów. Tak np. wiadomo, że szkarłupnie poruszają się po powierzchni różnych przedmiotów podwodnych za pomocą licznych, mięsistych i elastycznych wyrostków na spodniéj stronie promieni — t. zw. nóżek. Nóżki te opatrzone są na wierzchołku przyssawką; zwierzę wydłuża w pewnym kierunku nóżki; poczém przyssawki nóżek przytwierdzają się do obcych przedmiotów. Gdy następnie każda z nóżek energicznie się kurczy, pociągają one za sobą całe ciało szkarłupnia; w taki sposób pełzają np. gwiazdy morskie lub inne szkarłupnie po ściankach akwaryów i wogóle po powierzchni wszelkich przedmiotów obcych. Otóż nóżki te odznaczają się wielką wrażliwością na dotyk; wystarcza w najlżejszy sposób podrażnić je jakim obcym przedmiotem, aby natychmiast wciągnęły się i skurczyły. Nóżki te są więc także niewątpliwie siedliskiem zmysłu dotyku, a w ostatnich czasach wykryto w nich rzeczywiście złożone sploty nerwów i zakończenia tychże, — za pomocą nóżek tych szkarłupnie dowiadują się prawdopodobnie o naturze powierzchni tych przedmiotów, po których pełzają lub mają pełzać. Jeszcze osobliwsze narządy dotykowe szkarłupni przedstawiają t. zw. pedicellarye; są to drobne kleszczykowate organy, umieszczone w różnych miejscach na skórze i spoczywające na dłuższych lub krótszych łodyżkach. Kleszczyki te, opatrzone na wewnętrznéj swéj powierzchni zakończeniami nerwowemi (Hamann), są wielce wrażliwe na dotyk obcych przedmiotów, a pod wpływem tychże zamykają się, chwytając przedmiot, przypadkowo pomiędzy kleszczyki wpadający. W ten sposób przytrzymywać one mogą różne drobne zwierzęta; oprócz tego zaś, jak zauważył Al. Agassiz, chwytają one ziarnka piasku, kamyki i t. p., i przerzucając je jedne drugim (t. j. z jednych kleszczyków przedmioty te wpadają do drugich), doprowadzają różne te ciałka aż do skraju ciała, gdzie wydalają już je nazewnątrz. Tym sposobem organy wzmiankowe służą szkarłupniom między innemi do oczyszczania własnego ciała, do wydalania z powierzchni tegoż wszelkich obcych cząstek, o których obecności i naturze powiadamianém zostaje zwierzę za pośrednictwem komórek dotykowych tychże organów.

W grupie robaków i mięczaków znajdujemy w rozmaitych okolicach ciała zakończenia nerwowe, które tak ze względu na własności swe morfologiczne, jakotéż cechy fizyologiczne, są niewątpliwie zmysłami dotykowemi. Tak np. u robaków obrączkowych powierzchnia

skóry pokryta jest szczecinkami dotykowemi lub rzęsami, które rozmieszczone są albo bardziéj równomiernie, albo też skupione są w pewnych tylko okolicach ciała, zwłaszcza zaś na głowie. Częstokroć szczecinki takie tworzą małe grupy i umieszczone są wtedy w głębokich jamkach, lub też na wierzchołku brodawek. U mięczaków cała powierzchnia skóry jest wysoce wrażliwa na dotyk; nieraz zapewne czytelnik miał sposobność zauważyć, jak nasze ślimaki ogrodowe za najlżejszém dotknięciem wciągają się wgłąb muszli, albo też jak wrażliwemi są na dotyk małże (mięczaki dwuskorupowe), które podrażnione, ukrywają się wgłąb muszli i obie połowy téjże tak szczelnie zamykają, że niepodobna ich uchylić. Otóż, jak pokazały badania wielu uczonych (Flemming, Thiele i Jourdan), w jednych wypadkach, a mianowicie np. u ślimaków, zmysł dotyku rozmieszczony jest mniéj lub więcéj równomiernie na całéj powierzchni skóry [1], kiedyindziéj znów, np. u małżów, mieści się głównie na brzegu płaszcza, t. j. fałdu skóry, okrywającego zwierzę. U niektórych ślimaków nocnych (*Onchidium*) opisano (Semper) na skórze lekkie wyniosłości, w których pod zgrubiałą błonką znajdują się osobliwe zakończenia nerwowe, uważane również za jakieś szczególne zmysły dotykowe.

W typie stawonogów, do których należą np. skorupiaki, pająki, owady, skóra pokryta jest z zewnątrz twardą, grubszą lub cieńszą powłoką chitynową, która tworzy pancerze raków, twarde pokrywy skrzydeł chrząszczy i t. p. Możnaby więc przypuszczać, że zwierzęta, powleczone na powierzchni tak twardą warstwą, odznaczają się słabym rozwojem zmysłu dotykowego. Fakta atoli pokazują, że tak nie jest. Jakkolwiek bowiem skóra stawonogów pokryta jest chityną, opatrzona jest jednak licznemi, mniéj lub więcéj sztywnemi włoskami i szczecinkami, które albo nawskroś przebijają powłokę chitynową i przenikają do miękiéj części skóry, gdzie wstępują w związek z nerwem, albo też u ich nasady powłoka chitynowa jest bardzo cienka, a dochodzące do tych cienkich miejsc zakończenia nerwowe, mogą być tym sposobem drażnione, naciskane przez nasadę poruszającego się włoska. Tą więc drogą różne włoski i szczecinki, w które tak obfituje ciało owadów, pająków lub raków, są pośrednikami w przenoszeniu bodźców dotykowych (a zarówno też słuchowych, węchowych i t. p.) ze świata zewnętrznego ku zakończeniom nerwowym, ukrytym pod chitynową powłoką skóry [2].

---

[1]) E. Jourdan, „Die Sinne und Sinnesorgane der niederen Thiere“: przekład W. Marschalla, 1891 r.

[2]) J. Lubbock, „Die Sinne und das geistige Leben der Thiere, insbesondere der Insekten“; przekład Marschalla, 1889 r

Ze wszystkich stawonogów pająki odznaczają się najbardziéj rozwiniętym zmysłem dotyku. Znakomicie scharakteryzował te stosunki badacz szwajcarski Forel [1]), który wielkie położył zasługi na polu poznania zmysłów stawonogów. Oto, co sądzi ten dzielny zoolog o zmyśle dotykowym pająków:

„Przypuszczam—powiada on,—że ci wszyscy, którzy przypisują pająkom doskonały słuch, są w błędzie. Zmieszano z tém zdolność odczuwania prostych wstrząśnień mechanicznych. Przy badaniu pająków, podobnie jak przy obserwowaniu stawonogów wogóle, należy starannie baczyć na to, by ochraniać je od tchu spostrzegacza, przez zasłanianie ręką nozdrzy lub ust. Jeśli z największą ostrożnością unikać będziemy wstrząśnienia powietrza, oraz ścian pokoju przez powolne otwieranie i zamykanie drzwi, oraz jeśli ostrożnie poruszać się będziemy, natenczas uda nam się w pokoju, pełnym pająków, wytworzyć muzykę piekielną, a zwierzęta nie zwrócą na nią żadnéj uwagi. Ale należy się spokojnie zachowywać i nie wywoływać większego wstrząśnienia powietrza przez zbyt silny ruch instrumentu muzycznego...“ Zoolog szwajcarski przytacza daléj liczne dowody bezpośrednie, pokazujące, że rzeczywiście wrażliwość na dotykowe bodźce mechaniczne jest u pająków w nadzwyczajnym stopniu rozwinięta. Przyjrzyjmy się tylko — mówi Forel — jak pająk buduje sieć swoją. Oto spoczywa na gałęzi drzewa i z brodawek przędnych wypuszcza delikatną nić pajęczyny, dosięgającą kilku metrów długości; nić ta kołysze się zlekka pod wpływem wiatru. Pająk spuszcza się po nici, zawiesza się na jéj końcu w powietrzu i wydziela nową znów nitkę boczną; nagle kurczy się, chwyta koniec nici bocznéj nóżkami swemi i ciągnie ją, póki się nić nie wypręży. W pierwszéj chwili nie wiemy, dlaczego pająk zaczął ściągać nić boczną. Przyjrzawszy się atoli bliżéj jego pracy, spostrzeżemy niebawem, że dolny koniec nici bocznéj, w powietrzu bujającéj, zetknął się z jakimś obcym przedmiotem, np. z gałęzią innego drzewa, o kilka metrów oddaloną; pomimo więc, iż nić jest wielce cienka i delikatna i że dosięga kilku metrów długości, a prócz tego kołysze się nieco wskutek działania wiatru, pająk uczuwa, gdy koniec nici styka się z obcym przedmiotem, w téj chwili bowiem zaczyna natychmiast ściągać nitkę i wypręża ją; po téj pierwszéj nici pająk może już swobodnie przebiegać z gałęzi na gałęź sąsiedniego drzewa i przeprowadzać liczne inne nici pajęczyny. Jakże więc delikatnym być musi dotyk pająka, jak czułemi jego za-

---

[1]) „Recueil zoologique suisse“, t. IV, n. 2.

kończenia nerwowe w nóżkach, któremi przytrzymuje nić pajęczyny, wypuszczanéj z brodawek przędnych.

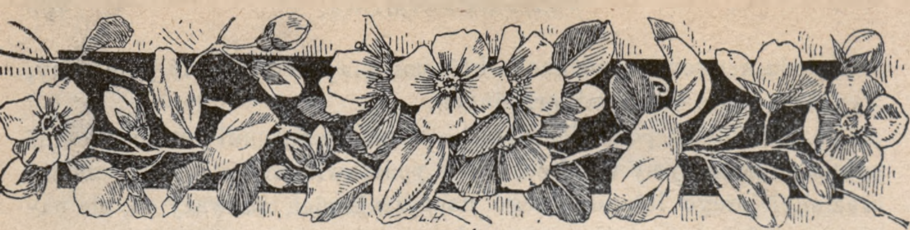
„Rzućmy — powiada Forel — rozmaite gatunki owadów w sieć pająka, a zobaczymy wkrótce, jak na podstawie jakości wstrząśnienia, oraz silniejszego lub słabszego naprężenia nici, zauważy on, nie patrząc na zdobycz swoją, czy owady owe są wielkie, czy małe, czy powolne, czy zwinne, i jak dalece odczuwa on wszystkie ich ruchy. Zdawało mi się, że pająk mógł odróżnić błonkoskrzydłe od much, gdy bowiem na pierwsze napadł nadzwyczaj powściągliwie i ostrożnie, na ostatnie rzucał się bez wszelkiéj obawy — czy błonkoskrzydłe są powolniejsze aniżeli równie ciężkie muchy, czy téż ruchy ich skrzydeł oraz reszty ciała różnią się bardzo od ruchów tychże u much, tego rozstrzygnąć nie mogłem.“

Pająk nie tylko odczuwa w ogólności najlżejsze wstrząśnienia sieci, ale rozpoznaje także kierunek, skąd dane wstrząśnienie pochodzi i bieży natychmiast w stronę, skąd drgania powstają. Przekonano się, że pająki widzą bardzo niedokładnie, a zresztą pracują jednakowo dobrze i w dzień i w nocy. Wyżéj przytoczone oraz liczne inne jeszcze fakta dowodzą zatém ostatecznie, iż pająki posiadają w wysokim stopniu rozwinięty zmysł dotyku, że czucie ich w tym kierunku osiąga nadzwyczajny stopień doskonałości i przewyższa niepomiernie zdolność dotykową u zwierząt wyższych i u człowieka.

Dotyk rozwinięty jest także dosyć silnie u owadów, naturalnie w stopniu bardzo różnym, zależnie od grubości warstwy chityny, wydzielonéj przez nabłonek skóry; w wielu miejscach skóra pozbawioną jest nawet zupełnie zdolności dotykowéj; głównemi narządami dotyku są tu, jak powiedzieliśmy wyżéj, włoski i szczecinki chitynowe, w które ciało owadów, a zwłaszcza różki, głaszczki i kończyny wielce obfitują. Bardzo jest prawdopodobném, że owady rozpoznają za pomocą swego zmysłu dotykowego pewne własności ciał, o których my dowiadujemy się za pomocą innych zmysłów i że nawet „poznawać one mogą pewne właściwości, dotyczące istoty otaczających ich przedmiotów i mające ważne znaczenie dla bytu ich, a których natura jest dla nas zupełnie obcą i ciemną“ (Jourdan).

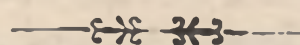
D. n. *Dr. Józef Nusbaum.*





DWA PARLAMENTY ANGIELSKIE

WCZORAJSZY I JUTRZEJSZY.



Cały mechanizm państwowy Wielkiéj Brytaniiześrodkowuje się, jak wiadomo, w jego parlamencie, w którym izba lordów reprezentuje oligarchię, a izba gmin całość narodu. Przewaga téj ostatniéj z biegiem czasu i postępami demokracyi staje się coraz większą i na niéj wyłącznie interes opinii publicznéj się skupia. Odnowienie jéj, odbywające się mniéj więcéj w sześcioletnich odstępach, jest tedy zawsze w życiu społecznem angielskiém wypadkiem nadzwyczajnéj doniosłości: kierunek polityki zagranicznéj, a przedewszystkiém charakter reform prawodawczych, zależy od ewentualnego jéj składu i od większości tego lub owego z dwóch stronnictw, na które się naród rozpada. Zawsze interesujące, przesilenie to posiadało tym razem wyjątkowe, dramatyczne znaczenie. Na żadnym zaprawdę teatrze nie odgrywał się nigdy zawikłańszy dramat, jak w pałacu Westminsterskim, a czarne wody Tamizy, podmywające jego tarasy i krużganki, nie są mętniejsze od intrygi, która jego węzeł stanowiła; nigdzie téż nie było genialniejszych aktorów, bardziéj rozgorączkowanéj trupy i żywiéj współczujących widzów. Interes nie słabnął aż do ostatniéj chwili, bo nie było wiadomém, jak się sztuka rozwinie i która z dwóch koalicyi, o zwycięstwo współzawodniczących, takowe otrzyma. Wielka Brytania z natężoną uwagą, a Europa krytycznie spoglądały na skomplikowaną akcyę. Obecnie zasłona spadła: międzyakt krótki wprawdzie, ale pozwoli się widzom rozejrzéć dokoła i zdać sobie sprawę z perypecyi, które stoją jeszcze w odwodzie. Wiemy już wprawdzie, że runął rząd torysów, podtrzymywany od lat sześciu przez grupę deputowanych, nazywających się liberal-

nymi, ale zawzięcie sprzeciwiających się liberalizmowi, wiemy, że na miejscu lorda Salisbury stanie nestor polityków angielskich, Gladstone, *the great old man*, i że dla whigów i dla Irlandczyków wybiła godzina odwetu. Lecz dopiéro goły to fakt. Wielostronne jego znaczenie, owoce, jakie wydać może, będzie można ocenić i przewidzieć, gdy się przypomni dzieje ostatniego parlamentu i naszkicuje jego charakterystykę.

Izba gmin, wybrana zimą 1885 roku, liczyła 335 liberalnych członków, a 249 torysów. Ci ostatni dlatego jedynie znajdowali się u władzy, że 86 irlandzkich członków stało po ich stronie w oczekiwaniu ustępstw i samorządu, któremi ich lord Salisbury za pośrednictwem swego kolegi lorda Carnarvon do siebie przyciągał. Gladstone, przewodniczący silnéj liczebnie i dobrze uorganizowanéj opozycyi, zrozumiał zaraz przy początku sesyi, że głównem zadaniem jéj być musi rozwiązanie zagadnienia irlandzkiego i zaproponował gabinetowi porozumienie się w téj sprawie, stając nie na gruncie stronnictw, ale na ogólnie narodowym. Ale lord Salisbury, gdy mu przyszło wywiązać się z przyjętych zobowiązań, nie czuł się albo dość silnym, albo dość przedsiębiorczym i zamiast iść naprzód, cofał się widocznie. Gdy w mowie od tronu zapowiedział natomiast energiczne prawa represyjne przeciwko Irlandyi, cały zastęp stronnictwa narodowego irlandzkiego pod dowództwem Parnell'a opuścił go natychmiast i ministeryum runęło.

W lutym 1886 r., gdy Gladstone u steru gabinetu liberalnego znalazł się przed parlamentem, był on, z natury rzeczy, uosobieniem polityki przyjacielskiego porozumienia się z Irlandyą. Własne doświadczenie udowodniło mu, że gwałtami i uciskiem kraju tego się nie poskromi i nie przejedna, a umysł jego zawsze otwarty dla idei postępowych, zaprawny szerokim i szlachetnym idealizmem, zrozumiał, że jedynie przez stanowcze zerwanie z dotychczasową polityką względem Irlandyi, przez usamowolnienie jéj, znajdujące swe szranki w całości mocarstwa, kwestya raz na zawsze rozwiązaną zostanie. Ale nie zdał sobie sprawy z tego, że ogół narodu nie przechodzi tak logicznie i tak stanowczo, jak on sam przez stadya krystalizacyi i dziwił się, napotykając w pośród swych liberalnych towarzyszy najprzód pewien bierny opór, a następnie u niektórych wyraźną opozycyę. Tak wybitne osobistości, jak lord Hartington i sir Henryk James, nie chcieli wejść do gabinetu, nie znając szczegółowo jego planów samorządu irlandzkiego, a gdy przedłożone one zostały członkom ministeryum, dwóch ministrów, p. Travelyan i p. Chamberlain, pośpieszyli z niego wystąpić. Bil Gladstona nie był jeszcze stawiany izbie gmin, a już

groził secesyą, schyzmą w łonie stronnictwa liberalnego. A gdy nakoniec w kwietniu pierwszy minister wyłuszczył swe projekty, można powiedzieć, że nietylko parlament, ale cała Wielka Brytania osłupiała. Tylko wytrawni politycy byli w stanie zrozumieć, że w projektach swych o samorządzie dla Irlandyi i jéj parlamencie miejscowym, Gladstone nie naraził ani całości monarchii na żadne niebezpieczeństwo, ani jéj finansów i materyalnego stanowiska nie dotykał. Ale natomiast każdy najpowierzchowniejszy umysł widział ogrom uczynionych ustępstw i drżał przed skutkami, które wywołać one mogą. Nie dziw tedy, że opinia została oszołomioną, wykolejoną. Bil o samorządzie Irlandyi coraz gwałtowniéj wystawiany był przez torysów, jako zdążający do rozczłonkowania jedności państwowéj, a bil ekonomiczny o uwłaszczeniu czynszowników, jako łupież dokonana na wielkiéj własności. Źle stłumiona niechęć religijna do katolików, uprzedzenia rasy anglo-saksońskiéj do celtyckiéj, zaognione interesy plutokracyi i przywileje gruntowe arystokracyi, a przedewszystkiém zaciekłość stronnictwa zachowawczego, które w razie tryumfu tych projektów przewidywało swój upadek na długie lata: oto czynniki, które podały sobie ręce i przeciwdziałały im energicznie. Całe usiłowania torysów skierowane były do ostatecznego przeciągnięcia na swoją stronę tych członków stronnictwa liberalnego, którzy nie mieli odwagi iść w ślady Gladstona. Powiodły się im te starania i przy drugim odczycie bilu o samorządzie Irlandyi, Gladstone znalazł się w mniejszości 30 głosów.

Czytelnicy przypominają sobie pewnie bieg następnych wypadków, najprzód rozwiązanie parlamentu, następnie rozpisanie natychmiastowe nowych wyborów, gorącą kampanią wyborczą Gladstona i szereg zdumiewających, patetycznych mów jego w Midlothian. Pod względem czysto oratorskim pozostaną one pamiętnemi w historyi. Wszystko, co święty zapał dla sprawiedliwości i swobody jest tylko w stanie uczynić, zrobioném było przez niego i jego sztab generalny. Irlandya z wytężoném uchem słuchała zbawczego głosu i zdawało się jéj senną złudą raczéj, niż rzeczywistością, że całe wielkie stronnictwo angielskie, połowa mocarstwa conajmniéj oświadczała się za jéj swobodą i z wczorajszego ciemiężyciela przeistaczała się w brata. Ale opinia publiczna nie była jeszcze bynajmniéj ustaloną i masy, świéżo przez Gladstona do praw politycznych przypuszczone, nie były w stanie wytworzyć sobie o położeniu jasnego sądu. Torysi przywłaszczyli sobie patryotyczną nazwę unionistów, przedstawiali się za obrońców jedności i niepodzielności kraju, a napiętnowali Gladstona i jego stronników ohydną nazwą separatystów. Gdyby byli oznajmili

jednocześnie, że ich polityka względem Irlandyi zamierza być polityką ciemięstwa, gwałtów, prześladowań, byliby bezwątpienia wywołali reakcyę przeciwko sobie; lecz, jak łatwo zrozumieć, ukryli swoje plany, a na wszystkie tony powtarzali, że kraj ma się oświadczyć nie za swobodą dla Irlandyi, albo jéj uciskiem, ale po prostu za dwoma systematami reform, awanturniczym i rewolucyjnym, albo też umiarkowanym i praktycznym. W ciągu całego peryodu wyborczego, z którego wyszedł ostatni parlament, społeczeństwo miało przed sobą nie wybór pomiędzy torysami a Gladstonem, ale pomiędzy nim a grupą liberalną, gromadzącą się około lorda Hartingtona i p. Chamberlain'a. Ten ostatni sam głęboko wierzył, że stanie jako rozjemca i głowa odrodzonego stronnictwa postępowego. Przy takiém powikłaniu interesów osobistych, widoków stronniczych i abstrakcyjnych zasad, niedokładnie zrozumianych, nie można się było dziwić, że stronnictwo liberalne poniosło klęskę. Stronników Gladstona było wybranych 194 i 85 Irlandczyków, torysów zaś i liberalnych unionistów wybrano 391, dając koalicyi dwóch ostatnich większość 112 głosów. Nie czekając nawet na ostateczny wynik wyborów, gdy się stało widoczném, że nie ma po swéj stronie przeważającéj opinii kraju, Gladstone złożył urząd. Królowa, zanim się jeszcze nowy parlament zebrał na sesyę, powierzyła utworzenie nowego gabinetu lordowi Salisbury, niwecząc od razu złudzenia liberalnych odszczepieńców, którzy tuszyli sobie, że pod egidą p. Józefa Chamberlain'a będą kierowali nawą państwową. Po niejakiém wahaniu się, Salisbury utworzył gabinet zachowawczy, do którego żaden z liberalnych unionistów wejść się nie odważył. Ograniczali się do podtrzymywania go swemi głosami, bez których ani 24 godzin u władzy utrzymaćby się nie był potrafił. Dzięki téj koalicyi, tryumf torysów stał się tedy całkowity, a tém był im pożądańszy, że nie spodziewany: z nieznacznéj mniejszości, jaką byli w styczniu 1886 r., stali się w sześć miesięcy późniéj, w lipcu, pokaźną większością.

Taką była przegrywka do kadencyi parlamentarnéj, rozpoczętéj w lipcu 1886 r., a zakończonéj w czerwcu r. b. To sześciolecie, które tylko co się zakończyło, będzie pamiętne w publiczném życiu angielskiém, a parlament dwunasty obecnego panowania nie zostawi po sobie w narodowych rocznikach pochlebnego wspomnienia. Ci, którzy mu zarzucają przeniewierzanie się zasadom, fałsze i wiarołomstwo, grzeszą melodramatycznością języka, ale nie ma wątpliwości, że od początku do końca rząd, który téj izby był przedstawicielem i organem, poszedł w innym kierunku i uczynił zupełnie co innego, aniżeli w programie swym zapowiedział. Przed wyborami nie było mowy

o prześladowaniu Irlandyi, o gromieniu jéj drakońskiemi prawami, o wyjęciu jéj z pod normalnych, a postawienie pod wyjątkowemi. Nawet w pierwszych miesiącach po utworzeniu gabinetu, najwybitniejszy z jego członków, lord Randolph Churchill, nie przestawał oświadczać, że jest niezłomnym zamiarem rządu nadać Irlandyi szerokie prawa samorządu prowincyonalnego i traktować ją zupełnie podług tych samych prawideł i zasad, jak trzy inne składowe części zjednoczonych królestw. Zdawała się taka linia wytyczna tém naturalniejsza, że wprawdzie *Home Rule* podług planu Gladstona, z odrębnym parlamentem irlandzkim w Dublinie, odrzucony został przy wyborach, ale polityka wszelkich możliwych ustępstw i zobopólnego porozumienia powszechnie popartą i ostatecznie przyjętą została.

Lecz gdy się tylko rząd na nowém stanowisku uczuł silniejszym, i gdy się przeświadczył, że lewe skrzydło jego sprzymierzeńców, zostające pod dowództwem margrabiego Hartingtona i p. Józefa Chamberlain'a nie będzie polityki jego krzyżowało, natychmiast zmienił swój szyk bojowy. Jądro kwestyi leżało w polityce tych deputowanych, liberalnych z nazwy. Gdyby byli obstawali odważnie i uczciwie przy zasadach, których aż do ostatniéj chwili byli orędownikami, lord Salisbury nie byłby się poważył traktować Irlandczyków, jak „dzikich Hotentotów“ i oświadczać, że „dwadzieścia lat systematycznego ucisku zniweczy ich zachcianki do swobody“. Ale owi apostaci z nadzwyczajnym zapałem, jak się to dziać zwykło, śpieszyli palić swoje wczorajsze bożyszcza. Lord Hartington, jako pan z panów, miał rodzaj politowania i pogardy dla hałaśliwych i źle wychowanych Irlandczyków, a p. Chamberlain, czujący potęgę swéj inteligencyi, mścił się z niepojętą zawziętością na Irlandczykach za to, że się jego osobiste wyrachowania nie powiodły i że stronnictwo liberalne nie ogłosiło go za swego wodza. Nie zażądali miejsc w gabinecie od lorda Salisbury i zachowując pozory bezstronnego i bezinteresownego stanowiska, przychodzili mu z pomocą w każdéj krytycznéj chwili, osłaniając wszystkie zamachy na Irlandyę płaszczem owego liberalizmu i owéj demokracyi radykalnéj, za których reprezentantów uznawani być pragnęli. Z ubolewaniami na ustach, ze skargami na los okrutny cały ten zastęp pseudo-liberalny przyklaskiwał mordom w Michelstown, ewikcyom, rozwiązywaniu stowarzyszeń irlandzkich, uwięzieniu połowy deputowanych, oskarżeniu Parnella o udział w morderstwach i t. d. Historyczna odpowiedzialność na nich ciążyć będzie po wszystkie czasy.

Za świeżą jest historya ostatnich lat, abyśmy w jéj szczegóły

wchodzić potrzebowali. Dość będzie przypomniéć stanowcze jéj momenta. Najprzód lord Randolph Churchill, nie mogąc brać odpowiedzialności za politykę, która zadawała kłam wszystkim zobowiązaniom i obietnicom, usuwa się z gabinetu. Po chwilowym popłochu, lord Salisbury powierza ministeryum irlandzkie swemu własnemu siostrzeńcowi, panu Arturowi Balfour. Pięć lat, które spędził od téj chwili na pierwszorzędnych stanowiskach, przyczyniły się ogromnie do uformowania jego charakteru politycznego, do poskromienia wojowniczego animuszu, do wyleczenia z sarkastycznego cynizmu. Ale gdy wyperfumowany ten młodzieniec esteta i sceptyczny filozof objął rządy Irlandyi, był to dopiéro jego nowicyat i zapał, z którym rzucił się do biczowania pięciomilionowego narodu, zdawał się niepowściągniony. Słynny jego rozkaz do dyrektora policyi, polecający „strzelać do ludu“, został wprowadzony w czyn; dozór i szpiegostwo wzniosło się do wysokości zasadniczych instytucyi; sądy przysięgłych zostały zniesione, na miejsce zwykłych trybunałów ustanowiono wyjątkowe, złożone z osobistości niedających żadnych rękojmi bezstronności; więźniowie polityczni traktowani jak zbrodniarze, prześladowanie proletaryatu wiejskiego posunięte do stopnia nigdy dotąd nieznanego: oto system administracyi, która wykonywała bile, uchwalone przez parlament, a znane pod nazwą *Criminal Law Amendment Bill* i *Coercion Bill*. Gdy p. Balfour rozwiązuje ligę narodową irlandzką, patryoci irlandzcy przeciwstawiają mu natychmiast drugą o innéj nazwie, ale takiéj saméj organizacyi; gdy rząd odrzuca proponowane przez Parnella ustępstwa dla zrujnowanych czynszowników, Irlandczycy odpowiadają na to okrucieństwo przez równie okrutny *Plan of Campaign*. Ale walka nie ograniczała się do takich homerycznych zapasów; nie pogardzała osobistemi prześladowaniami przeciwników. Jednocześnie z przedstawieniem przez rząd *Ceorcion Bill*'u, oddany mu dziennik *Times* rozpoczyna ogłoszenie pamfletów *Parnellism and Crime*, gdzie pomieszczał rzekome listy Parnella poduszczające do morderstw. Napróżno Parnell w izbie gmin protestuje przeciwko fałszywemu oskarżeniu: przez rok cały on i jego stronnictwo zostaje pod tym zarzutem. Wiadomo, że nareszcie rząd został zmuszony do ustanowienia komisyi śledczéj, że ją mianował sam i że jéj atrybucye rozszerzył stosownie do swego interesu i swych celów. Mimo téj stronniczéj organizacyi, komisya śledcza wykryła, że *Times* zakupił sfałszowane listy i cała sztucznie przeciwko irlandzkim patryotom wzniesiona machina runęła, okrywając śmiesznością jednych, hańbą drugich, a przygotowując dla Parnell'a istotną apoteozę. Wprawdzie w niecałe dwa lata udało się nieprzejednanym jego wrogom pod-

sadzić pod niego inną minę i nie mogąc zniweczyć go jako męża publicznego, zdruzgotać go jako człowieka prywatnego: lecz ta zakulisowa strona działalności pominięta być tu może. Zaćmienie gwiazdy Parnell'a tak samo jak śmierć jego, która nastąpiła niebawem, nie odjęły sprawie irlandzkiéj jéj żywotności.

Nie przestała ona stać ciągle na porządku dziennym parlamentu, ale w ostatnich dwóch latach zmieniła się jéj fizyognomia. Wyrok komisyi śledczéj w sprawie sfałszowanych listów uważać można za chwilę przełomu a uczciwość osobista Anglików tak jawnie wypowiedziała swe oburzenie na popełnione nadużycia, że sfery rządowe wogóle, a p. Balfour w szczególności zrozumiał, iż taktykę zmienić wypada. Naraz powiał wiatr łagodniejszy, a organy ministeryalne zaczęły na wyprzodki oddawać hołd jego rozumnéj polityce, dzięki któréj Irlandya uspokojona i jéj opór przeciwko prawu złamany został. Nie dwudziestu lat potrzeba było do tego, jak groził lord Salisbury, trzy wystarczyły panu Balfour'owi. Uczyniono niejakie ulgi umierającym z głodu Irlandczykom, rozpoczęto roboty publiczne, a w parlamencie rząd przedłożył bill o wykupie czynszowników, projekt zawikłany, pozbawiony nietylko jasnych zasad, ale nawet mniéj korzystny dla skarbu narodowego, aniżeli wszystkie dawniejsze akty wykupu. Bill ten nie zadawalniał Irlandczyków, nie rozstrzygał kwestyi drobnéj własności gruntowéj, a jedynie miał na celu z jednéj strony wykazać dobrą wolę rządu względem kraju traktowanego z nieubłaganą surowością, a z drugiéj poprawić majątkowe interesa wielkich właścicieli angielskich, którzy radzi byli pozbyć się swych posiadłości ziemskich w Irlandyi. Udało się naturalnie rządowi bill swój przeprowadzić, ale obecnie po upływie dwóch lat wszyscy kompetentni sędziowie wyrażają zdanie, że okazał się zupełnie bezskutecznym i że sprawa wykupu czynszowników nie postąpiła ani o krok jeden naprzód.

Zbierając całą politykę ostatniego parlamentu względem sprawy irlandzkiéj w jedną całość, musimy potępić ją bezwzględnie. Zacząć od złamania najsolenniejszych obietnic, od wyparcia się ich cynicznego, rozszaléć się w gwałtach i prześladowaniach, następnie szczycić się zwycięstwem, które nie miało miejsca, i pojednaniem, którego nie ma śladu, a nakoniec przedsiębrać środki prawodawcze, pozbawione wszelkiéj wartości i praktycznego znaczenia: oto charakter téj działalności, która na ostatniéj sesyi miała być zapieczętowana pamiętnym projektem o reformie administracyi prowincyonalnéj. Nie można się dziwić, że opozycya całego zastępu Irlandczyków nie osłabła ani na chwilę i że gdy parlament rozwiązany został, torysi i ich so-

jusznicy z góry wiedzieć mogli, że w walce wyborczéj znajdą naród irlandzki, stojący przeciwko nim a wyciągający bratnią dłoń do tego stronnictwa angielskiego, które bez przerwy ich sprawy było orędownikiem.

Wszelako, jeśli w przedmiocie kwestyi irlandzkiéj liberalni dysydenci zostawili torysom wszelką swobodę działania i solidaryzowali się nawet z najbardziéj reakcyjnemi ich przedsięwzięciami, to natomiast na innych punktach prawodawczéj działalności udało się im otrzymać od zachowawczego stronnictwa ustępstwa, których bezwątpienia przeceniać nie ma powodu, ale które lekceważyć byłoby także niesprawiedliwością. P. Chamberlain nie przestaje utrzymywać, że zachowawcze ministeryum lorda Salisbury przeprowadziło reformy nie tylko postępowe ale krańcowo-demokratyczne, na które inaczéj dziesiątki lat trzeba by było czekać. Jeśli etykietą zadowolnić się mamy, to istotnie tak rzeczy stoją. Parlament ostatni wprowadził naprzód w życie reformę administracyi prowincyonalnéj po hrabstwach Anglii, Walii i Szkocyi, opierającą się na radach wyborczych: złamały one raz na zawsze przywileje arystokracyi gruntowéj i zastąpiły je wyborami opartemi na szerszéj podstawie demokratycznéj. Następnie wprowadził do szkółek elementarnych zasadę bezpłatności. Trzecią i ostatnią reformą postępową było utworzenie drobnéj własności gruntowéj w Anglii. Ale gdy się bliżéj przyjrzy każdemu z tych nowych praw, niebawem dojdzie się do wniosku, że w gruncie rzeczy daleko mniéj dają aniżeli zapowiadać się zdawały. Opozycya liberalna utrzymuje, że koalicya ministeryalna sfałszowała po prostu rozmaite punkta ich postępowego programatu i gorzko jéj to faryzeuszostwo wyrzuca. Postronni widzowie, nie mamy powodu iść w naszych zarzutach tak daleko. Jesteśmy silnie przeświadczeni, że w każdéj reformie postępowéj, jakkolwiek niedokładnéj, złożone jest jądro dalszego rozwoju, że zatém osiągniętych zdobyczy lekceważyć nie ma potrzeby. W najgorszym razie można powiedzieć, że wszystkie owe reformy są połowiczne i że uderzają w nich wielostronne braki. I tak do atrybucyi rad prowincyonalnych nie należy ani kwestya praw o biednych, ani kwestya szkolna, ani kwestya policyi miejscowéj, ani nakoniec kwestya szynków, tak wielką wagę posiadająca w narodowém życiu. Bil o bezpłatności szkółek elementarnych nie daje władzom municypalnym szkolnym (*School Board*) żadnéj kontroli nad materyalną i pedagogiczną stroną szkółek pobierających subsydya ze strony skarbu, i trzeba go będzie poddać wielu gruntownym zmianom, zanim rzekomemu celowi swemu odpowie. Co się tycze bilu o drobnéj własności gruntowéj (*Small Holdings Act*), to zaimprowizowany został

w ostatniéj chwili przez rząd, w celu przeciwdziałania agitacyi pomiędzy ludnością rolniczą, rozpoczętéj przez stronnictwo liberalne. Jest to słaby i nieznaczący krok na drodze skupu czynszowników, do którego Anglia dojść będzie musiała prędzéj czy późniéj. Ażeby nabywanie drobnéj własności gruntowéj ułatwić, powierzono słusznie pośrednictwo radom prowincyonalnym, lecz jednocześnie najeżono tę, całkiem dobrowolną a bynajmniéj nie obowiązującą operacyę tylu formalnościami i zastrzeżeniami, że nie zanosi się bynajmniéj na to, aby wydała jakikolwiek rezultat praktyczny.

Gdybyśmy nie żywili obawy przekroczenia zakreślonego sobie obrębu, to wciągnęlibyśmy do obrazu działalności ostatniego parlamentu etaty skarbowe p. Goschen'a, daleko mniéj świetne aniżeli się tego spodziewać miało prawo wśród głębokiego pokoju i dobrego w ogóle stanu przemysłu i handlu, oraz znaczne powiększenie wydatków na marynarkę wojenną: dodano do niéj siedmdziesiąt nowych okrętów wojennych. Można jednak te decyzye parlamentu oraz wiele innych, drobniejszych, zostawić na stronie i powiedziéć, że żadne ze stronnictw biorących udział w życiu politycznéin nie było zadowolone z toku spraw publicznych. Jeśli opozycya uskarżała się na pogwałcenie zasad, uważanych przez nią za nienaruszalne i za systematyczne, tendencyjne wykoślawienie innych, to leżało w naturze rzeczy; ale i torysi uskarżali się na politykę rządu, czyniącego więcéj ustępstw duchowi czasu, aniżeli to im się zdawało koniecznéin i przewidywali katastrofy końcowe. Co się zaś tyczé stronnictwa liberalnych dysydentów, to nadrabiało ono wprawdzie miną i przypisywało sobie zasługę całego postępowego prawodawstwa, ale w gruncie czuło, że pozycya jego staje się z każdym dniem trudniejsza i że nadejść musi koniecznie nieprzyjemna chwila zerwania z dwójznaczną pozycyą i oświadczenia stanowczego po jakiéj stronie stanie w przyszłości.

Nawet podczas sesyi parlamentarnych życie polityczne narodu nie zamyka się w ich ramach, lecz objawia się na meetingach rozmaitych stowarzyszeń w nieprzerwanym szeregu mów i adresów wystosowanych do narodu przez osobistości wybitne wszystkich stronnictw. Każde z zagadnień, zanim przedłożone zostanie decyzyi parlamentarnéj, rozbierane jest wszechstronnie we wszystkich organach prasy, na tysiącach mównic i puls narodu może być każdodziennie śledzony. Z wyborów dodatkowych, jakie się w ciągu owéj sześcioletniéj kadencyi zdarzyły, można było wnioskować, że opinia publiczna, oszołomiona w epoce wyborów 1886 r., zaczyna się ustalać, wyjaśniać, i odwracając się od rządu i ministeryalnego obozu, który ją zawiódł, zwraca się do stronnictwa liberalnego. Niestrudzona działalność samego Gladstona,

nie złamanego ani wiekiem, ani chorobą, ani stratą syna, rozwijającego strategiczne zdolności wyjątkowe, pokazującego się względnym i wyrozumiałym dla osób ale niezłomnym dla zasad, przyczyniła się też nie mało do nadania otuchy opozycyi. Dopóki taki wódz prowadzić ją będzie do walki, czuła, że mieć będzie po swéj stronie korzyści, których przeciwnikom brakowało. Ci ostatni nie ukrywali zresztą swéj rachuby na śmierć Gladstona i stało się elementarnym pewnikiem, że trzeba będzie nowe wybory przewlekać, dopóty, dopóki on oczu nie zamknie. Entuzyazm, jaki wyjątkowa ta osobistość wywoływała u jednéj połowy narodu, znajdował naturalną przeciwwagę w nienawiści, jaką budził u drugiéj. Ale i tutaj nie należy brać rzeczy ryczałtowo. Mógł zapalczywy trybun neo-toryzmu, lord Randolph Churchill, publicznie lżyć Gladstona, albo pedancki profesor Diecy pisywać do przeglądów artykuły wyrażające niecierpliwość, że taki starzec ducha nie wyzionął, ale wszystkie wyższe osobistości narodowe, bądź dawniéj liberalne, jak książe Argyll, lord Tennyson albo John Bright, tylko na punkcie kwestyi irlandzkiéj z nim poróżnione, bądź do uczciwych, tradycyonalnych warstw szczero-angielskiego toryzmu należące, są w gruncie ducha czcicielami Gladstona, są dumni z jego geniuszu i choć mu oponują, rozumieją doskonale, że taki, jak on mąż stanu, jest chlubą i zaszczytem wszech-narodu i że więcéj czyni dla sławy i wielkości angielskiéj w obec ludzkości i dziejów, aniżeli tuziny i setki innych. Przewidywali oni, że skoro żyje, to los zgotuje mu jeszcze wieczorną, tryumfalną apoteozę.

Przychylne wiatry dęły wciąż w żagle liberalnego stronnictwa i udało się mu w szeregu dodatkowych wyborów sprowadzić większość ministeryalną z początkowych 118 głosów do końcowych 68-iu. Niektóre z tych przegranych bitew miały dla torysów znaczenie prawdziwéj klęski; szczególniéj zaś wyborcy pastwili się nad liberalnymi dysydentami. Podwajało to wszystko animusz opozycyi. Każde zebranie coroczne narodowéj federacyi liberalnéj wykazywało postępy w organizacyi whigów, a agitacya, prowadzona na wszystkich punktach kraju, trzymała opinię i sympatyę współwyznawców w nieustannéj czujności. W generalnym sztabie otaczającym Gladstona rozdzielono role: kiedy on sam nie przestawał powtarzać, że pierwszą sprawą do załatwienia jest irlandzka i że dopóki ona stać będzie na drodze, do rozstrzygnięcia innych nie przyjdzie; jego pomocnicy, sir William Harcourt, John Morley, lord Rosebery, sir Jerzy Travelyan, lord Spencer, sir Karol Russel i inni przemawiali za całym szeregiem postępowych reform. Program ich został w jesieni zeszłego roku sformułowany ostatecznie na walnym wiecu w Newcastle i udo-

wodnił, że stronnictwo liberalne zakreśliło sobie istotnie niezmierzone pole. Zanim spełnić zamiary te zdoła, nie jeden, ale kilka dziesiątków lat upłynąć musi; ale sama ta obfitość materyału świadczy, że czuje się do wykonania zdolném. Znajdujemy tu tedy oprócz samorządu dla Irlandyi, rozdział kościoła od państwa w Walii i w Szkocyi, szeroką anatomię Londynu, uwłaszczenie czynszowników, reformę podatkową, szkolną, reformę parlamentarną, polegającą na zniesieniu przywileju kilkokrotnego głosowania właścicieli nieruchomości, skrócenie kadencyi na honoraryach dla deputowanych i nakoniec cały szereg reform dla ulepszenia materyalnego bytu i sanitarnych warunków klasy robotniczéj, zarówno po miastach jak po wsiach. Zebranie w Newcastle szczególniéj pod tym ostatnim względem zasługuje na uwagę. Kwestya reform wiejskich z powodu zachowawczych tendencyi arystokracyi gruntowéj leżała dotąd odłogiem, a stan wieśniaków był nadzwyczaj zacofany. Po raz pierwszy stronnictwo liberalne poczuło się w obowiązku wzięcia téj sprawy w swe ręce. Z jednéj strony uznało konieczność wytworzenia w jaknajszerszych rozmiarach drobnéj, włościańskiéj własności, z drugiéj wskazało potrzebę organizacyi rad wyborczych w każdéj gminie, któreby to rady stanowiły o miejscowych potrzebach i sposobach ich załatwienia. Ruch około téj kwestyi emancypacyi wieśniaczéj nie ustał a jako jego pierwsze następstwo odbył się w Londynie w grudniu roku zeszłego zjazd delegatów wieśniaczych. Drwiło stronnictwo torysów z téj nagłéj sympatyi whigów względem Jack'a Hodge, jak nazywają powszechnie w Anglii wieśniaka; ale pośpieszyli, jak powiedzianém było wyżéj, ubezwładnić tę agitacyę przez przedłożenie bilu o drobnéj własności gruntowéj. Półśrodek ten do żadnego rezultatu nie doprowadził, a jeżeli przy wyborach ostatnich stronnictwo liberalne otrzymało właśnie w okręgach wieśniaczych wybitną większość, i potrafiło w ten sposób zneutralizować reakcyjne głosy miast, to zwycięstwo swoje zawdzięcza w znacznéj części owemu poniewieranemu dotąd Jackowi Hodge.

Im bardziéj zbliżała się chwila zwykłego rozwiązania parlamentu, tém trudniejszém stawało się położenie znajdującéj się u steru koalicyi. P. Balfour po dopełnieniu pacyfikacyi Irlandyi zdał sprawy tego wydziału w ręce innego kolegi a sam zajął przewodniczące stanowisko leadera izby, na którém się jego istotne zdolności polityczne ujawniły, zapowiadając w nim przyszłego zwierzchnika stronnictwa zachowawczego. Lecz ostatni jego akt jako irlandzkiego ministra skończył się nadzwyczajném *fiasco*. Jak czytelnicy sobie przypominają, koalicya torysowska obiecywała zawsze nadanie Irlandyi takich samych swo-

bód administracyjnych, jakie posiadają dwa inne królewstwa w formie rad hrabstw (*County Counsels*). W przededniu wyborów nie chciała być oskarżoną o wiarołomstwo a niepodobna także było zasłaniać się dłużéj stanem nieporządków, skoro ich, podług własnego zdania ministrów, nie było już wcale. Wystąpił tedy p. Balfour z bilem o reformie administracyjnéj Irlandyi, ale nie tylko, że projekt ten nie stawiał Irlandyi na tym samym poziomie co Anglię i Szkocyę, lecz czynił z proponowanych dla niéj rad prowincyonalnych istotną karykaturę. Odejmowano im wszystkie atrybucye, obwarowano takiemi ścieśnieniami i wystawiono na tak ubliżające poniżenia, że deputowani irlandzcy i orędownicy ich sprawy przyjęli ten potworny projekt z szyderczém pośmiewiskiem i zmusilili ministeryum do pośpiesznego wycofania takowego. Była to dla gabinetu klęska tém boleśniejsza, że przychodziła w ostatniéj chwili, gdy już się stało widoczném, że sprawa irlandzka będzie zajmowała pierwsze, rozstrzygające miejsce podczas kampanii wyborczéj. W braku innego, lepszego środka odpornego, wzięła się koalicya ministeryalna do przeciwstawienia katolickiéj Irlandyi, dążącéj do samorządu, téj północnéj jéj części, w któréj przemagającą liczbę mieszkańców stanowią protestanccy oranżyści. Lord Salisbury nie zawahał się sam cisnąć zapalnéj głowni i zapowiedzieć, że protestancki Ulster zbuntuje się przeciwko wyemancypowanéj reszcie kraju, że się nie podda tyranii papizmu. Zwołany był w Belfaście wielki wiec owych lojalnych Irlandczyków protestanckich i manifestacyi rozgłosu nie brakło. Ale pora krucyat i wojen religijnych minęła już na zachodzie raz na zawsze, i nie udało się organizatorom roznamiętnić katolików przeciwko protestantom i rozdwoić Irlandyi. Ostatnie fale téj niepotrzebnie wywołanéj zawieruchy konały, gdy parlament rozwiązany został w dniu 28 czerwca.

Otwarcie kampanii wyborczéj nie czekało na urzędowe jéj ustanowienie. Wygrana, o którą chodziło, była zbyt ważna, ażeby można było jakiekolwiek czynniki pomocnicze lekceważyć. Dwaj przywódzcy, Gladstone i lord Salisbury, pośpieszyli ogłosić swoje manifesty do narodu: ten ostatni zrywając zuchwale z tradycyą, która członkom izby lordów nie dozwala się mieszać do wyborów gmin. W manifeście Gladstona zauważyć było można dwa punkta, których doniosłe następstwa dalszy przebieg wypadków dostatecznie ujawnił: oświadczył się za zniesieniem monopolu kościoła państwowego w Walii i w Szkocyi i przeciwko prawnemu ograniczeniu godzin pracy do ośmiu, jak się tego domagały socyalistyczne organizacye robotników. Widoczném było, że Gladstone jest niezłomnie przeświadczony o popularności

emancypacyi irlandzkiéj, skoro zamierzał nią samą pociągnąć masy do urn wyborczych; widocznéni było, iż wierzył w swoje zwycięstwo, skoro rzucił rękawicę w ostatniéj chwili potężnemu stronnictwu kościelnemu w Szkocyi i całéj masie robotniczéj, kierowanéj przez agitatorów socyaliatycznych. Że był to postępek zuchwały, wiemy już z rezultatu wyborów a tę pomyłkę w taktyce wytłómaczyć sobie można tym optymizmem, jakim ukołysała się opozycya, obliczająca swą większość ewentualną na jakie sto głosów. Lord Salisbury w swym manifeście nie sformułował żadnego programatu co do przyszłości, powołując się jedynie na już dokonane reformy; wyłącznie się zwrócił do Irlandyi i emancypacyę jéj przedstawiał jako nieunikniony wstęp do zerwania jedności monarchii. Wśród chaosu najrozmaitszych odezw i okólników wyborczych, wśród mów jakich półtora tysiąca kandydatów, trudno się było zoryentować; stało się przecież widocznéni, że dawne rozgraniczenia i różnice partyi zatarły się zupełnie, że owa Anglia tradycyonalna, gdzie torysi stali za przywilejami korony a whigowie za możnowładztwem wielkich rodzin, należy już do niepowrotnéj przeszłości, że demokratyczne prądy zawładnęły całém społeczeństwem, bo zarówno torysi jak whigowie, odwołując się do owéj masy 6,161,456 obywateli, posiadających prawo głosowania, zapowiadali im jedne reformy radykalniejsze od drugich. Na tym gruncie panowała jednozgodność: różnice rozpoczynały się i uwydatniały, gdy się przystępowało do kwestyi samorządu Irlandyi. Zauważyć należy, że liberalni unioniści nie zmienili swéj pozycyi i że z energią rozpaczy rzucili się do walki, paląc za sobą mosty, napastując nieubłaganie swych dawnych towarzyszy, ciskając zatrutemi strzałami na Gladstona. Jakiekolwiek mieć można opinie co do osobistośni p. Chamberlain'a, należy przyznać, że rozwinął niestrudzoną działalność: zwycięstwo ministeryalnego hufca miało być dla niego nietylko usprawiedliwieniem apostazyi, któréj dokonał, ale urzeczywistnieniem ambitnych zamiarów, jakie żywił; porażka nie zostawiała mu innéj alternatywy jak kapitulacyę przed liberalném stronnictwem upokarzającą dla jego pychy, albo bezsilne szamotanie się wśród obozu zachowawców, niedowierzających mu pomimo sześcioletniéj wiernéj im służby.

Wybory parlamentarne w Wielkiéj Brytanii nie pozwalają odrazu dojść do rezultatów, gdyż ciągną się przez trzy tygodnie blisko i pozycya każdéj z dwóch skoalizowanych partyi zmieniała się często, podnosząc lub obniżając widoki i nadzieje. Od pierwszéj chwili jednak było widocznéni, że cały naród zdawał sobie sprawę z doniosło-

ści wyborów, że przed urnami stanie daleko znaczniejsza ilość głosów, aniżeli dawniéj. Wszystkie struny naprężone były do najwyższego stopnia. W pierwszym tygodniu głosowały miasta, w drugim okręgi wiejskie. Fizyognomia wyborów angielskich była opisywana często i nie ma potrzeby skreślać ich rysów ponownie: wszystkie zwykłe żywioły brały w niéj udział spotęgowany, a w miastach, szczególniéj zaś w samym Londynie, stworzyły całość, barwy, ruchu i gwaru pełną. Największe wytężenie stronnictw skierowane było naturalnie na sam Londyn, ową twierdzę interesów zachowawczych. Wśród 62 deputowanych, których stolica wybiéra, było w ostatnim parlamencie zaledwie 11 liberalnych a 51 ministeryalnych. Wprawdzie od owych wyborów zaszła kapitalna zmiana w ustroju Londynu przez organizacyę hrabstwa londyńskiego. Opisaliśmy tutaj niedawno [1]) nową municypalność, walki, jakie staczać musiała z rządem i stronnictwem zachowawczém o rozszerzenie swych atrybucyi i walne zwycięstwo postępowo-radykalnego skrzydła przy wyborach municypalnych w marcu r. b. Takie usposobienie stolicy dawało stronnictwu liberalnemu widoki tryumfu i w parlamentarnych. Nadzieje te nie zawiodły go istotnie: liczba jego stronników podskoczyła z 11 do 25 a liczba ministeryalnego zastępu spadła z 51 do 37. Gdyby i inne miasta wyraziły były swe opinie z tą samą energią, najświetniejsze przewidywania Gladstończyków byłyby się urzeczywistniły. Ale stało się przeciwnie. Wielkie miasta, jak Liverpool, Birmingham, Sheffield i wiele innych, nie opuściły zachowawców; przeciwnie nieraz dały im niespodziewaną ilość głosów. Wpływ p. Chamberlain'a w Birminghamie, gdzie jest rodzajem satrapy, okazał się tak potężnym jak dawniéj. Koniec końcem, udało się liberalnym wszystkiego pochwycić 19 nowych okręgów wyborczych w miastach. Już te rezultaty pierwszego tygodnia udowodniły, że stronnictwo liberalne zwycięży, ale nie było wątpliwości, że zwycięzcy i zwyciężeni znajdować się będą w niewielkim od siebie odstępie. W drugim tygodniu, liberalne tendencye hrabstw ujawniły się wybitniéj nawet, aniżeli przypuszczać było można, gdy się uwzględniało ogromny wpływ, jaki znajduje się w ręku wielkich posiadaczy ziemskich i pastorów z nimi skojarzonych: dodawszy wybory wiejskie do miejskich, stronnictwo liberalne ze stojącymi obok niego Irlandczykami, posiadać będzie w nowym parlamencie większość 42 głosów. Cyfra to daleka od téj, o jakiéj gorące głowy marzyły; ale jeżeli nie zapomnimy, że p.

[1]) Patrz „Ateneum“ za maj r. b.

Schnadhorst, sekretarz narodowéj federacyi liberalnéj, a zatém osobistość najlepiéj ukwalifikowana do ocenienia istotnych sił swego stronnictwa, urzędowo oznajmił przed wyborami, iż większość jego da się obliczyć na 30 głosów, to się znajduje wobec wysoce zadawalniającego rezultatu. Kiedy liberalna większość w Szkocyi wynosi 30, w Walii 26, a w Irlandyi 57, w Anglii stronnictwo zachowawcze posiada po swojéj stronie większość 71 głosów. Od dalszych postępów i zdobyczy w téj ostatniéj zależéć będzie przyszłość liberalnego stronnictwa.

Parlament, który się zebrał na nową kadencyę w dniu 4 sierpnia, obejmować będzie z jednéj strony 314 członków stronnictwa, które się dotychczas nazywało unionistami, a rozpada się ono na 268 torysów i 46 liberalnych dysydentów, a z drugiéj większość liberalną, składającą się z 275 liberalnych i 82 deputowanych irlandzkich. Ci ostatni dzielą się pomiędzy sobą na dwie frakcye dotąd niepogodzone: 73 nacyonalistów i 9 parnelistów; w pośród liberalnych członków wyróżnić jeszcze można kilku przedstawicieli, wyłącznie robotniczego stronnictwa. Większość, jaką Gladstone i jego ministeryalni koledzy rozporządzać będą, chociaż wynosi tylko 42 głosów, będzie wystarczającą do powołania i utrzymania go u steru władzy. Wiele dawniéjszych gabinetów posiadały mniejsze jeszcze. Przy obecném ugrupowaniu stronnictw można być przygotowanym, że w przyszłości większość głosów i przewaga jednéj partyi nad drugą stanie się jeszcze mniéj wybitną.

Jak łatwo zrozumiéć było można, rezultat wyborów wywołał najsprzeczniejsze głosy. Unioniści, którym władza wymknęła się, okazali bardzo naturalne rozjątrzenie. Objawiło się ono złośliwém naigrawaniem nad zawodem, jakiego doznali ich przeciwnicy otrzymawszy skromną większość głosów, nad różnicą pomiędzy wczorajszemi przechwałkami a dzisiejszém upokorzeniem. Daléj szły komentarze nad niewystarczającym charakterem téj większości, nad różnolicowością składających ją czynników, nad upokarzającém jéj pochodzeniem nie z inteligencyi miast, ale z przesądów i ciasnoty pojęć wieśniaków. Nie brakowało też odgróżek, że się ta większość rozchwieje natychmiast, że parneliści poswarzą się z nacyonalistami, deputowani robotniczy z gladstończykami, że ministeryum nie ma obowiązku usuwać się, ale przeciwnie, wydać nową niezwłocznie odezwę do lepiéj oświeconego narodu. Stronnictwo liberalne nie było także w gruncie rzeczy tak zadowolone, jak utrzymywało. Zdobyło wprawdzie większość, ale nie taką, jaką sobie obiecywało, a w następstwie

tego stanu rzeczy zrozumiało, że napotka trudności w przeprowadzeniu swéj polityki.

Tak głęboko jest jednak wśród społeczeństwa angielskiego zakorzeniony szacunek dla instytucyi parlamentarnych i wyroku wydanego przez większość, że wszystko powraca do normalnego stanu prędzéj, aniżeli po zaciętości walki wyborczéj przypuszczać byłoby można. Stronnictwo zachowawcze uznało się za pobite: upiór irlandzki, którym groziło narodowi i ten samorząd, który miał doprowadzić do rozczłonkowania monarchii, nie wystarczyły do zabezpieczenia mu większości. Obowiązkiem opozycyi zachowawczéj w nowym parlamencie będzie zmniejszyć rozmiary niebezpieczeństw i katastrof, na które kraj jest teraz wystawiony. Lord Salisbury oświadczył w swych organach, że otworzy parlament i w razie jeżeli się ten przeciwko niemu oświadczy, ustąpi niezwłocznie przed tym, który jego zaufanie posiadać będzie.

Krótki tedy czas dzieli Wielką Brytanię od wielkiéj przez swe następstwa ewolucyi politycznéj. Epoka chaotycznego zamętu nie skończyła się bynajmniéj, weszła ona jedynie w nową fazę. Stronnictwo postępowe nie wygrało jeszcze partyi, ale posunęło się naprzód na szachownicy i zabrało przeciwnikowi kilka pierwszorzędnych figur. Rezultat będzie zawisły od sposobu, w jaki się akcya przyszła zawiąże i rozwinie.

Stronnictwo liberalne zagrożone jest niebezpieczeństwami zewnętrznemi i wewnętrznemi: te drugie są nawet znacznie większe od pierwszych. Opozycya torysów jest do przewidzenia. Oświadczyli oni, że się przed żadną jéj manifestacyą nie cofną. Zaczną od przeciwstawienia tym mistrzom, którzy podług konstytucyi są zobowiązani ponownie stawać przed wyborcami po objęciu urzędu, — swoich kandydatów. Ponieważ p. Gladstone stracił w swym okręgu wyborczym kilka tysięcy głosów wskutek agitacyi kościoła państwowego, zagrożonego utratą swego przywileju, ponieważ p. John Morley, pierwszy z pomocników Gladstona, także stracił znaczną ilość głosów, stawiwszy czoło socyalistycznym wymaganiom robotnika w Newcastle, zatém mają nadzieję albo ich wyprzéć, albo przynajmniéj osłabić. Obstrukcyonizm rozpostrze się szeroko w izbie, w nadziei, że siły 83 letniego Gladstona nie będą wstanie podołać mozolnéj pracy, która go czeka. Każdy bil, każdy projekt, który przedłożony będzie przez nowy gabinet, napotka silną, nieprzejednaną krytykę, a armia zachowawcza prowadzona do boju przez tak utalentowanego *leadera*, jak p. Balfour, przez lorda Randolphe Churchill, który do czynnego życia

publicznego powrócić pragnie i przez p. Chamberlain'a ostrego jak brzytwa, nie będzie przeciwnikiem do pogardzenia. Całe usiłowanie obozu zachowawczego skierowane będzie do jak najprędszego rozwiązania izby i do zreformowania wyroku, wydanego przez naród.

Wszystkie te niebezpieczeństwa jak powiedzieliśmy, przewidują się z góry i nie zdołają przestraszyć tak biegłego i tak doświadczonego stratega parlamentarnego, jakim jest p. Gladstone. Z wewnątrz, z jego własnego obozu, przyjdą mu inne. Irlandczycy pokładają zupełną ufność w uczynione przezeń obietnice, ale będą go przynaglać do natychmiastowego ich spełnienia. Sam p. Gladstone niczego bardziéj nie pragnie, jak uwieńczyć swój długi zawód publiczny załatwieniem téj sprawy, i wié dobrze, że nie należy mu odkładać jéj do dni dalekich, bo ograniczoną ma ich przed sobą liczbę. Lecz inni przywódzcy obozu liberalnego, ci, którzy obok emancypacyi Irlandyi ciągle na wyborczym programacie przedstawiali rozliczne reformy polityczne, religijne, municypalne, ekonomiczne, socyalne, sformułowane w Newcastle, nie tracą przyszłości z oczu i zdają sobie sprawę, że jest ich obowiązkiem przygotować ją zawczasu i położyć jéj podwaliny. W tym celu uważają za właściwe nie ograniczać się do bilów irlandzkich, ale jednocześnie przedłożyć izbie cały szereg projektów, zmieniających prawo wyborcze, formalności krępujące takowe, w taki sposób, ażeby izba, w razie szybkiego jéj rozwiązania, mogła być wybrana podług nowéj ustawy, zapewniającéj większe widoki powodzenia masie demokratycznéj. Oprócz tego jest jasném, że należy natychmiast dać zadośćuczynienie municypalnym aspiracyom Londynu, którego liberalizm utorował drogę obecnemu stanowi rzeczy, że ludność wiejska czeka na spełnienie uczynionych jéj obietnic, że kwestya kościelna w Walii, a nawet w Szkocyi zwlekaną być nie może, że nakoniec stronnictwo czysto robotnicze, chociaż w izbie nieliczne, rozporządza tylu milionami głosów wśród narodu i że należy rozpatrzéć, jakie ustępstwa i w jakim stosunku uczynić mu wypada. Wszystkie te wymagania są słuszne; ale jakiekolwiek z nich otrzymałoby pierwszeństwo, Irlandczycy mogliby uważać się za poszkodowanych i protestować. Utrzymać tę koalicyę w karbach karności, zakreślić jéj plan działania wspólny i na wsze strony zadawalniający: oto zadanie, które czeka pierwszego ministra i które dla każdych innych, prócz jego, bark, wydawaćby się mogło za ciężkiém.

Losy przyszłego parlamentu są tedy najzupełniéj zagadkowe. Nie ma wątpliwości, że dalsza dezorganizacya starych stronnictw, a wytwarzanie się powolne nowych odbywać się będzie, i że Gladstone

jest uosobieniem ostatniego typu czysto politycznego męża stanu. Podniesione przezeń problemata rozwiązane będą, rozwiązane być muszą w niedalekiéj przyszłości, w duchu stanowczo postępowym i demoratycznym. Ale wtedy, przekształcenie ekonomiczno-socyalne, którego się politycznie i religijnie wyemancypowane społeczeństwo domagać będzie, narzuci się nieodwołalnie przewodniczącym mężom stanu. Jedynie w przewidywaniu trudności owych nie należy przeceniać dzisiejszych. Anglia za jakie ćwierć wieku radykalnie odmienną będzie od współczesnéj. Wielkość roli Gladstona polega na tém, że szedł z biegiem czasu, razem z nim się rozwijał i uprzątając jedne potężne zawady po drugich, ułatwił swym następcom zadanie społeczne.

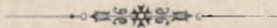
N. T.





ZŁOTO CZY PAPIÉR?

(Dr. Józef Milewski. — W sprawie reformy waluty w Austro-Węgrzech).



„Cóż to jest? złoto? żółte i świecące
Kosztowne złoto?..
Toć odrobina tego zmienić zdolna
Czarne na białe, szpetne na urodne.
A złe na dobre, podłe na szlachetne,
Starość na młodość, tchórza na rycerza,
Na co to, bogi? To zdolne odciągnąć
Kapłanów waszych od waszych ołtarzy...
Złoty niewolnik ten wiąże i zrywa
Ludzkie przysięgi, przeklętych poświęca,
Każe ubóstwiać hydną trędowatość,
Złodziejom daje godność i pokłony,
Na senatorskiéj ławie ich osadza,
Płaczącą wdowę w nowe stadło wiedzie,
Przeklęty prochu, świata wszetecznico,
Ziarno niezgody między narodami!..“

eżeli Szekspir, żyjący w samém zaraniu kapitalistycznéj doby, tak wymowne słowa kładzie w usta Tymona Ateńczyka, dla odmalowania potęgi złotego kruszcu, to cóż dziwnego, że kwestya reformy monetarnéj austryackiéj dziś, w chwili wszechmocnego panowania kapitalizmu poruszyła cały świat cywilizowany? Naturalnie w Austryi od chwili, gdy rząd poważnie obiecał do reformy przystąpić, a więc od marca 1889 roku, nie schodzi ona z porządku dziennego, zarówno w prasie, w pismach naukowych, stowarzyszeniach kupieckich, jak i w parlamencie. Pomimo to, jak zwykle

w Austryi, kwestya reformy odleżyć się musiała przez dwa lata blisko, zanim oba rządy zdecydowały się na ostateczne jéj rozstrzygnięcie. W roku bieżącym reforma przybrała charakter naglącéj sprawy i przez parę miesięcy zrobiono więcéj, niż w ciągu trzech lat ubiegłych, a niebawem, jak zapowiadają pisma codzienne, rozwiązaną zostanie ostatecznie.

Bardzo ważnym momentem w akcyi przygotowawczéj były marcowe posiedzenia dwóch ankiet walutowych austryackiéj i węgierskiéj, które gruntownie wyjaśniły teoretyczne podstawy kwestyi, oraz warunki przeprowadzenia reformy. Czynny udział brali w ankiecie austryackiéj posłowie i uczeni polscy Milewski i Pilat. Mając na oku przeważnie interes Galicyi, która, jak zobaczymy późniéj, bezpośredniéj korzyści z reformy nie odniesie, a raczéj obarczona zostanie nowemi podatkami na spłacenie pożyczki, przedstawiciele tego kraju zająć musieli tylko teoretyczne i bezstronne stanowisko. Dowodem tego jest nawet zgodność ich poglądów z przekonaniami teoretyków Saxa i Mengera. To teoretyczne stanowisko jest jednym więcéj powodem, aby broszurze Milewskiego baczniejszą poświęcić uwagę, niż innym wydawnictwom, które oczywiście zamierzona reforma wywołać musiała. Nie potrzebujemy tu dodawać, że głos ziomka, jakkolwiek nie specyalnie galicyjskie, ale ogólno-austryackie stosunki rozbiéra, na większą od innych zasługuje uwagę. Od streszczenia broszury zaczynamy téż pracę niniejszą, któréj celem jest wyjaśnić sprawę reformy walutowéj w Austro-Węgrzech.

Broszura d-ra Milewskiego szczupła pod względem rozmiarów, ale bardzo doniosłéj treści, właściwie da się podzielić na dwie części.

W pierwszéj autor uzasadnia teoretycznie konieczność przejścia do bimetalizmu i to nie dla jednéj Austryi, lecz dla wszystkich państw Europy, w drugiéj podaje projekt częściowéj i stopniowéj zamiany obiegu papiérowych pieniędzy na walutę metaliczną.

Austro-Węgry zmienić powinny dotychczasową walutę papiérową, z powodu, że podlega ona wahaniom, zależnie od ogólnéj konjunktury politycznéj, dziś mianowicie walczą z obawą stopniowego drożenia waluty w miarę polepszania się ogólnych stosunków polityczno-ekonomicznych monarchii. Drugą pobudką do reformy jest utrudnienie stosunków z zagranicą, gdyż nie ma stałych norm, ani dla zmiany pieniędzy, ani dla zniżki, czy zwyżki pieniędzy zagranicznych. Przytém pożądaném jest prawo bicia pieniędzy na rachunek prywatny i położenie tamy emisyi papiérowych pieniędzy przez państwo.

Skarb państwa może dziś podjąć reformę waluty, gdyż niedobór,

z którym tak długo miał do walczenia, dzięki byłemu ministrowi, dr. Dunajewskiemu, usunięty został; nie widzi jednak dr. M. wyjątkowych korzyści, jakie chwila obecna dla przeprowadzenia reformy jakoby przedstawia.

Każde państwo, mające na celu reformę téj doniosłości, przygotować się powinno, że wyniknąć mogą trudności ekonomiczne z naruszenia obiegu monetarnego zagranicy, z którego sumy potrzebne wziąć musi. Obok trudności ekonomicznych baczyć należy na zawikłania prawne, w skutek których wypłaty, nominalnie równe, staną się różnemi realnie. Starając się o usunięcie tych trudności, jednocześnie dążyć trzeba do jednostki pieniężnéj o możliwie stałéj wartości; Austro-Węgry przeto dążyć muszą do obrania dla swéj waluty kruszcu najmniéj zależnego od fluktuacyi podaży i popytu, a używanego przez państwa, z któremi łączą je stałe stosunki handlowe. Chodziło tu przedewszystkiém o Niemcy, Włochy, Szwajcaryą, a powszechne niemal zdanie stwierdza konieczność przejścia do waluty złotéj.

Dr. M. w przejściu do złota, widzi groźbę niestałości stosunków monetarnych dla Austryi, a przedewszystkiém zdrożenie pieniędzy, które wywołać by musiało ogólną zniżkę cen na towary, pracę, a przedewszystkiém na srebro. Opiérając się na zdaniach najlepszych teoretyków jak Goschen, Giffen, geolog Suess, uczony nasz dowodzi, że produkcya złota, która tak bardzo zmniejszyła się w ostatnich latach dwudziestu, w najlepszym razie daje na cele monetarne nadwyżkę 150 do 200 milionów franków rocznie. Tymczasem obieg samych not rządowych austro-węgierskich wynosi przeszło 375 milionów guldenów (a więc licząc franka za $\frac{1}{2}$ guldena 750 mil. franków). Zresztą produkcya złota nie może nawet wystarczyć na zaspokojenie potrzeb tych krajów, które już mają złotą walutę. W izbie włoskiéj podnoszono w ostatnich tygodniach projekt przejścia do waluty srebrnéj, bo Włochy złota utrzymać nie mogą, w Anglii uznano rezerwę złota za niedostateczną. Skoro więc na rynku złotym w osobie Austryi nowy stanie konkurent, podrożenie tego metalu jest niemal pewném.

Austrya wprawdzie, przeprowadzając konwersyą, wziąć może wzgląd ten pod uwagę, zaszkodzi on przecież niechybnie państwom, mającym już złotą walutę. Dla Austryi zaś powstaje ważna kwestya, czy zdobywszy kruszec złoty dla przeprowadzenia reformy, utrzymać takowy potrafi, czy w obec ogólnego podrożenia i zapotrzebowania tego metalu nie odpłynie on tam, gdzie lepiéj zań płacić będą?

Przejście Austryi do waluty złotéj potwierdza tezę bimetalistów, że złota waluta samym faktem swego istnienia coraz daléj

rozszerzać się, a złoto podrażać musi. Najlepszym tego dowodem jest ciągłe wzrastanie stosunku złota do srebra. Koniecznością niemal jest przeto ogólne przejście do bimetalizmu. Austrya w reformie swéj zainaugurować go nie jest w stanie, ale odwoławszy się do jakiejś konferencyi międzynarodowéj, dużo wpłynąćby mogła na zwrócenie sprawy w tym kierunku. Głos jéj témbardziéj by tu zaważył, że przejście Austryi do waluty złotéj widzianém jest niechętnie przez inne mocarstwa, obawiające się podniesienia cen na złoto.

Dowodem tego było chłodne przyjęcie, jakiego doznał dyrektor banku wiedeńskiego w Londynie, dokąd udał się w sprawie reformy.

Co począć zatém w téj sprawie?

Praktyczna ta rada jest najważniejszym momentem w broszurze dr. M. jakkolwiek za mało daje wskazówek praktycznych, aby ją za coś więcéj, jak za myśl i życzenie uważać można było. Przyznając, że Austro-Węgry nie mogą się wyodrębniać przez przyjęcie bimetalizmu wśród państw, z któremi łączą je stosunki handlowe, dr. M. radzi przyjęcie waluty ułomnéj. Pomysł ten nie jest w ogóle nowym, bo większość państw, mających nominalnie walutę złotą, faktycznie pozostawia obieg znacznéj sumy srebra dla wypłat wewnętrznych; tak jest np. w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. Dla Austryi dr. M. radby złotą monetę zaprowadzić dla wypłat w handlu zewnętrznym. Obieg monetarny wewnątrz kraju i nadal opiérać się może na srebrze i papiérze. W obec tego w kwestyi wprowadzenia waluty złotéj uczynić należy tylko tyle, ile jest ściśle koniecznem, a więc znieść niewymienność not rządowych i biletów bankowych, otwierając mennice dla bicia złota na rachunek prywatny. W taki sposób Austrya otrzyma dostateczną ilość złota dla wypłat zagranicznych, a monetą obiegową pozostanie w dalszym ciągu srebro, noty rządowe i banknoty. Rząd uniknie niepotrzebnych wydatków i nie będzie zmuszony do sprzedaży srebra, dla któréj moment dzisiejszy zupełnie jest nieodpowiedni.

Tak prowadzona reforma waluty rozłożyłaby się na niezmiernie długi przeciąg czasu. Czy momenty polityczne nie stanęłyby tu na przeszkodzie, tego dr. M. nie przesądza. Argumentacya jego uwzględnia tylko czynniki ekonomiczne, a te—mianowicie równowaga w budżecie państwa i korzystne bilanse handlowe — czynią dziś przeprowadzenie reformy możliwém, jakkolwiek nie wykluczają dalszych zaburzeń. Za przykład służyć mogą Włochy, gdzie waluta ustalona jeszcze w r. 1865 przystąpieniem do unii łacińskiéj, nie uchroniła kraju przed odpływem złota. Włochy jednak nie pomyślały o równowa-

dze budżetowéj przed zaprowadzeniem reformy, zresztą miały walutę podwójną, mogą więc raczéj być potwierdzeniem, aniżeli zaprzeczeniem teoryi monometalistów.

Stroną dodatnią projektu d-ra M., któremu podobne stawiali zresztą teoretycy bimetaliści, prof. Menger i znany praktyk dyrektor Taussig, byłoby uniknięcie pożyczki złotéj. Pożyczka ta w każdym razie dość znaczną być musi, skoro samych not rządowych obiega w Austro-Węgrzech przeszło 375 milionów guldenów, a więc obarczy nowym podatkiem ludność państwa i tak już wielkie dźwigającą ciężary. Wobec zaś różnic w stopniu rozwoju krajów austryackich zreformowanie waluty bardzo różnéj jest dla nich doniosłości, a kto wié, czy na razie przyniesie krajom przeważnie rolniczym, jak np. Galicya, jakąkolwiek korzyść.

Dr. M. jest wprawdzie innego zdania, uważając, że reforma przeprowadzana według projektu, jaki podaje, a więc bez zaciągania pożyczki, tylko przy ciągłym i powolnym skupie złota, zaofiarowanego przez osoby prywatne, korzystnie wpłynąćby mogła na interesy nietylko monarchii, ale i Galicyi. Królestwo, jak powiada, nie będzie bezpośrednio skutkami téj reformy dotknięte, może nawet zyskać rodzaj premii wywozowéj w razie podrożenia złota.

Reformę, która tak powoli zastępowałaby papiér pieniężny złotem, trudno uważać za możliwą.

Projekt stopniowego zastępowania not rządowych złotem, napływającém dobrowolnie od osób prywatnych, mógłby być bardzo praktycznym w czasach zapewnionego pokoju europejskiego. Ale dr. M. pomija zupełnie polityczną stronę, która w rzeczywistości zapominać o sobie nie pozwala. Historya monetarna Austryi w naszém stuleciu [1]), będąca aż do r. 1878-go jednym szeregiem niepowodzeń i fałszywych kroków, jest dowodem, że państwo reform monetarnych na długi przeciąg czasu rozkładać nie może, zwłaszcza jeżeli tak, jak w Austryi, należy doń tyle różnorodnych i niezadowolonych żywiołów.

Podniosę tu tylko najważniejsze momenty z dziejów austryackiego guldena, dla uwydatnienia zależności kwestyi monetarnéj od każdoczesnéj sytuacyi politycznéj. Gdy na początku 1848 r. poprawa

---

[1]) Bardzo dokładne przedstawienie historyi pieniędzy papiérowych znajdzie czytelnik w wydawnictwie min. finansów: „Denkschrift über das Papiergeldwesen in Oesterreich-Ungarn. vom J. 1848—1890“. Historya guldena przedstawia téż z wielkim talentem L. Stein w swojéj „Finanzwissenschaft“, t. IV, str. 163 i nast.

stosunków monetarnych monarchii zdawała się być zapewnioną przez zastąpienie not rządowych (t. zw. *Anticipationsscheine*) biletami bankowemi, przyczém państwo zaciągało dług względem banku, nadeszły wypadki marcowe i zaufanie publiczności do pieniędzy papierowych nagle upadło. Zjawisko to było całkiem naturalne, gdyż rząd nie ogłaszał treści umowy swéj z bankiem narodowym, a jakkolwiek papiér obiegający pokryty był w jednéj trzeciéj przez srebro, metal uwiązł w banku, który szukał w nim dla swego długu pewności. Pożyczki państwa wzrastały, a już w następnym roku rozpoczęto emisye pieniędzy papierowych już nictylko guldenów, lecz nawet monety zdawkowéj. Naturalnie, połączone to było z dewaluacyą ciągłą guldena i upadającém wciąż zaufaniem do papierów państwowych, które tylko przy pomocy banku udawało się narzucić publiczności.

Skarb postanowił nareszcie w r. 1854 położyć koniec tym smutnym stosunkom monetarnym, zaprzestając emisyi biletów państwowych z kursem przymusowym, oraz ogłaszając wymienność not obiegających. Dla uskutecznienia téj zamiany państwo zaciągnęło narodową (a więc wewnętrzną) pożyczkę 500 milionów guldenów. Przy pomocy téj pożyczki spłacony miał być również dług zaciągnięty w banku.

Wojna wschodnia zwraca uwagę rządu na wypadki polityki zewnętrznéj, a jednocześnie absorbuje całą sumę pożyczki narodowéj na zwiększone wydatki. Reforma pieniężna podjętą być przeto musiała na nowo i rzeczywiście przystąpiono do niéj już w końcu 1855 r. Reforma zaszła tak daleko, że znaczna część długu została bankowi spłaconą, a Austrya związała się traktatem monetarnym ze związkiem celnym niemieckim w 1857 r. Jednóm z najważniejszych postanowień traktatu było zobowiązanie, że żadne z państw związkowych nie ma prawa wydawać not rządowych z kursem przymusowym, obiegające zaś pieniądze wymienione być mają w ciągu lat dwóch. Z tego czasu pozostały też owe srebrne talary związkowe, o kursie 1 ½ guldena, których dziś jeszcze obiega w Niemczech około 25 milionów, i które wobec przejścia do złotéj waluty pod uwagę przyjętemi być muszą.

Gdy już bank rozpoczynał wypłaty w metalu, a weksle doszły prawie do normalnego kursu, rozpoczyna się wojna włoska; cała budowa upada; a już w kwietniu 1859 r. bank zaprzestał wypłat w metalu. Ażio na srebro dosięgło wówczas 53%. Pogorszenie położenia w następnym okresie wyraża się gwałtownym wzrostem długu, zaciągniętego w banku przez państwo. Dług ten ze 153 milionów w roku 1858-ym wzrasta do 300 już w następnym. Ilość not rządowych

zwiększała się nieustannie, a stosunek pieniędzy papierowych do ich podstawy metalicznéj równał się w 1859 r. 1 : 5.8, ażio na srebro było przeto łatwém do wytłómaczenia.

Nie można zaprzeczyć, że pomimo tylu niepowodzeń rząd austryacki nieznużonym był w ciągłych usiłowaniach, dotyczących poprawy stosunków monetarnych. Działo się to naturalnie głównie dla odzyskania kredytu i podreparowania ciężko naruszonéj równowagi w budżecie. Już w 1860 r. minister finansów, Plener (ojciec dotychczasowego przywódzcy parlamentarnéj lewicy niemieckiéj), proponuje środki reformy, któreby zachwiane zaufanie rządowi przywrócić mogły. Niewymienność not rządowych została zniesioną, a z bankiem zawarta umowa według wzoru aktu Peela (z 1844 r.). Ilość not bankowych nie miała przekraczać 200 milionów, cała przewyżka téj sumy oparta być musiała na metalicznéj podstawie.

Reformy te przyczyniły się niezwłocznie do podniesienia kursu papierowego guldena; ażio na srebro spadło w 1866 r. na 1.75%. Aliści fatalizm jakiś prześladował reformy, bo, jak wiadomo czytelnikom, w tym samym roku, kiedy gulden papierowy dochodził już niemal do wartości srebrnego, nastąpiła nowa katastrofa wojenna, która tym razem pogrzebała projekty reform monetarnych prawie na ćwierć stulecia. Stosunki były tém trudniejsze, że w celu przeprowadzenia reformy podatki wyśrubowano do ostatecznych granic, a wskutek zdrożenia pieniędzy obniżyły się ceny. Gdy wskutek zachmurzenia horyzontu politycznego wywóz towarów się zmniejszył, zły stan interesów odbił się na rolnictwie zarówno, jak na przemyśle. Handel, rzemiosła odczuwały dotkliwie stagnacyą, a niektóre gałęzi przemysłu, jak np. żelazna, zupełną groziły ruiną. Upadek mnóstwa przedsiębiorstw, bankructwa, licytacye świadczyły o rozmiarach klęski.

Przytoczyliśmy ten obraz, wyjęty z raportu ministra finansów z 1866 r. [1]), gdyż może on się i dziś powtórzyć, jeżeli reforma z dostateczną ostrożnością przeprowadzoną nie zostanie;—a teraz wróćmy do dalszych dziejów pieniądza.

Czy należy winić rząd austryacki, że aż dotąd odkładał załatwienie kwestyi walutowéj, jak obwiniają np. wiedeńskie sfery przemysłowo-handlowe? Odpowiadamy na to stanowczo: nie.

Poprzednie zbyt sangwinicznie przedsiębrane nieszczęśliwe próby przekonać chyba musiały, że przy reformie waluty oprócz obmyślenia i przeprowadzenia pożyczki, pomocy banku, oraz innych fiskalnych środków względy natury socyalnéj, politycznéj i finansowéj mieć nale-

[1]) Cyt. w „Volkswirthschaftliche Wochenschrift“ z marca 1892 r.

ży na uwadze, że trzeba ją przedsięwziąć wówczas dopiéro, kiedy dokonaną być może w krótkim stosunkowo terminie, aby rozpoczętą i ukończoną była wśród tych samych warunków polityczno-ekonomicznych. Gdyby i tym razem katastrofa wojenna przerwać miała rokowania walutowe, uwierzyćby chyba można, że los prześladuje tę sprawę. Jak dotąd, przewidywanym jest czas trzyletni dla przeprowadzenia akcyi.

Do pomyślnego wykonania reformy potrzebny jest tedy przedewszystkiém pokój europejski, a więc w dalszym ciągu takie zaufanie do austryackiego guldena, jakiém on się cieszy w téj chwili, a raczéj jakiego używa już od 1878 roku. Że zaś ręczyć nie można, czy nasz dzisiejszy system zbrojnego pokoju i nadal trwać może, że wojna ogólno-europejska, pomimo pokojowych zapewnień monarchów, jest jednak ciągle przewidywaną,—trudno, aby Austrya, która prawdopodobnie będzie téj wojny uczestniczką, rozkładała znów reformę monetarną na długie lata. Sposób przeprowadzenia, zalecony przez d-ra M., doprowadziłby albo do rezultatu zupełnie nieoczekiwanego przez autora: ogólnego zapotrzebowania wymienności not, albo téż trwałby lata całe. Pierwszy wypadek przewidziéć się daje w razie zachwiania pokoju europejskiego i kredytu państwa, a zakończyłby się zapewne zawieszeniem wypłat i dewaluacyą guldena, jak się to już zdarzyło w latach 1848, 1855, 1859 i 1866.

Z konieczności wyprowadzić trzeba ten wniosek z tak licznych, a tak niedawno minionych doświadczeń. Obok not rządowych, dewaluacyi ulegały zwykle noty bankowe, aby zrozumiéć dlaczego powtórzyłoby się to i w przyszłości, przypatrzmy się dzisiejszym stosunkom pieniężnym monarchii.

Gdy po r. 1866-ym ukształtowała się dualistyczna monarchia austro-węgierska, która trwa dotąd, bank narodowy, dawniej wspólny dla krajów po obu brzegach Litawy, pozostał nim również faktycznie i nadal, ale prawnie stosunki te uregulowane zostały dopiéro w 12 lat późniéj. Dziś istnieje w Austro-Węgrzech zupełna centralizacya bankowa, a mianowicie dawniejszy bank narodowy, zwany dziś austro-węgierskim kieruje wszelkiemi operacyami kredytowemi i finansowemi tak Austryi, jak i Węgier. Wszelkie zobowiązania, jakie państwo ma względem banku, spadają na obie części monarchii, w 70-ciu procentach na Austryą, a w 30-tu na Węgry. Tak samo rzecz się ma z biletami bankowemi, które mają niemieckie i węgierskie napisy. Bank austryacko-węgierski zawiaduje większością instytucyi bankowych w Przed- i Zalitawii, zarządzając w taki sposób

104-ma bankami w Austryi i 83-ma w Węgrzech. I emisya not bankowych jest równieżześrodkowana w ręku téj instytucyi.

Obok not bankowych obiegają noty rządowe; a obie kategorye biletów, o istnieniu których publiczność, stojąca zdala od spraw finansowych, dowiedziała się zapewne dopiéro teraz, z dyskusyi nad reformą waluty, jednakowe mają prawa. Bank przyjmuje noty rządowe, w zamian zaś i jego emisye mają przywiléj kursu przymusowego i niewymienności. Różnica polega tu głównie na tém, że noty rządowe, opiérając się na sile podatkowéj państwa, nie są zrównoważone przez zapas metalowy, bankowe zaś noty muszą być w $^2/_5$ pokryte przez zapasy bankowe w złocie lub srebrze, reszta zaś opiéra się na innych papierach kredytowych. Jeżeli część banknotów, nie mających równowartości metalowéj, przekroczy 900 milionów guldenów, to bank opłaca państwu od przewyżki podatek cztery od sta. Właściwie więc noty bankowe lepiéj są ufundowane niźli rządowe, w obiegu przecież nie ma między niemi różnicy [1].

Wspomnieliśmy już, że w tym samym r. 1878 znikło ażio na srebro, a to wskutek zaniechania bicia monet srebrnych na rachunek prywatny. Zakaz ten, o którym pamiętać należy, że nie został wydany w formie prawa, ale zwykłego rozporządzenia, które w każdéj chwili zawieszone być może, wywołany był nadmiarem importowanego, a zarazem wybijanego srebra, wskutek wzrastającéj nagle produkcyi tego metalu. I tak, kiedy w 1872—1876 r. wywóz monarchii wykazał przewyżkę 51 milionów nad importem, od 1877 r. import stale przewyższa eksport, a przewyżka ta w dwóch pierwszych miesiącach 1877 r. (zakaz nastąpił w marcu) dochodzi do 36.3 milionów guldenów. Równolegle ze wzrostem przewyżki wzrasta ilość wybijanego srebra. Aż do 1876 r. wynosiła ona 8$^1/_2$ mil. guldenów, w 1879 r. dochodzi do 64.4 milionów [2]. W taki sposób bez żadnego udziału rządu ustaliła się równia kursu, a w chwili wydania zakazu papiér stał już nawet wyżéj od metalu.

Przerwanie dalszego bicia srebrnych monet było bardzo doniosłym faktem dla austryackiego rynku pieniężnego. Gdyby waluta austryacka faktycznie była srebrną, jak nią jest nominalnie, ulegaćby dziś musiała wszystkim fluktuacyom tego metalu, tak jak rupia indyjska, a gulden byłby dziś wart tylko 75 krajcarów = 1.87 franka, gdy tymczasem oscyluje koło 2.1 franków, zależąc tylko od stosunku za-

---

[1]) „Handwörterbuch der Staatswissenschaften", t. II, str. 104.

[2]) C. Menger, „Valutaregelung in Oesterreich-Ungarn". Jahrb. f. Nat. u. Stat., zesz. IV, 1892 r.

potrzebowania znaków obiegowych do ich ilości. Jak wogóle sztuczną jest cała budowa stosunków monetarnych Austryi, tak również dziwném, że gulden srebrny ma wartość zamienną, wyższą od istotnéj. Decydującym jest papiér, który małą ilość srebra (w obiegu koło 40,000 guld.) pociąga za sobą.

Przywrócenie waluty metalicznéj polegać musi przedewszystkiém na skupie not rządowych, które obiegać dziś mogą w sumie 312 do 412 milionów guldenów; późniéj zaś dopiéro nastąpiłaby zamiana srebrnéj monety na złotą. Dla téj drugiéj operacyi chwila obecna bardzo jest niekorzystna z powodu niskich cen srebra. Co do pierwszéj, to, jak słusznie zaznaczył dr. M., możliwą ona jest dzięki równowadze, a nawet przewyżkom budżetowym. Pomimo to, pożyczka zaciążyć może zwłaszcza w tych krajach Austryi, które i tak w stosunku do zamożności przeciążone są podatkami.

Monarchia jednak zmuszoną prawie została do pomyślenia o reformie waluty i to mniéj przez żądania austryackiéj, jak węgierskiéj swéj połowy. Dziwném się to zdawać może, bo jeszcze lat temu parę Węgry wzdragały się przystąpić do reformy, nie chcąc ponieść i owych 30% kosztów, jakie na nie słusznie przypadają. A jednak tak było i być inaczéj nie mogło.

Reforma waluty jest przedewszystkiém reformą społeczną, jakkolwiek uchodziła dotąd za wyłącznie finansową, sprowadza bowiem zmianę wartości, a więc zdrożenie lub stanienie pieniądza. Weźmy pierwszy przypadek — pieniądz jest droższy: znaczy to, że za pewną sumę pieniędzy otrzymam w towarach równowartość wyższą, niż poprzednie, czyli że ta sama ilość pieniędzy więcéj dziś znaczy, niż dawniéj. Fakt ten na każdéj klasie społecznéj odbić się musi w odmienny sposób. Rolnicy, nie mogąc w krótkim przeciągu czasu powiększyć ilości swych produktów, otrzymują mniejszy dochód, a przytém kredyt ich długoterminowy, a więc wypłaty z dawniejszych pochodzące czasów, obecnie zdrożeje, dług wzrośnie. Jeżeli rolnictwo produkowało dla rynków zagranicznych, to zyskiwać tylko mogło na tanim pieniądzu w kraju, tańszy pieniądz krajowy stanowił dla nich rodzaj premii wywozowéj.

Przy zamianie waluty papierowéj na metaliczną przypuścić można zmniejszenie się ilości znaków obiegowych, a więc zdrożenie pieniądza, kto wié, czy tego zdrożenia nie uwydatni jeszcze silniéj zdrożenie metalu (złota), zapotrzebowanego na bicie nowéj monety. Z czasem rynek pieniężny przystosuje się prawdopodobnie do zmniejszonéj ilości środków wymiany, dając więcéj miejsca gospodarce kredytowéj. Na razie przecież pieniądz droższym będzie. Te zatém kraje Austro-

Węgier, gdzie przeważa produkcya rolna, poniosą straty, korzyści zaś, jakie daje równowaga stosunków monetarnych, nie istnieją dla nich prawie. Rolnik bowiem nie handluje papierami wartościowemi, nie eskontuje weksli, a nawet mało towarów sprowadza z zagranicy. Przy wywozie zaś swoich produktów straci dawne zyski z zamiany pieniędzy metalicznych złotych na papiér, który w stosunku do złota wykazywał ażio. Stąd naturalném jest, jeżeli takie kraje jak Galicya, jak do ostatnich czasów Węgry przeważnie rolnicze, na które spaść musi ciężar pożyczki, obok strat innych, przenoszą niepewność stosunków monetarnych i możebność ewentualnéj dewaluacyi papiéru.

Całkiem inaczéj reforma monetarna oddziała na klasy przemysłowo-handlowe. Zdrożenie pieniędzy nie wpłynie na kredyt téj warstwy i nie będzie przyczyną większego obdłużenia, bo kredyt tu zwykle krótkoterminowy, pożyczki zaciągają się na weksel, lub téż właściciel pieniędzy staje się wspólnikiem, akcyonaryuszem, stowarzyszonym i t. p. Właściciel weksli, zwłaszcza jeżeli prowadzi obroty handlowe na rynkach zagranicznych, zyskać tylko może na ujednostajnieniu stosunków monetarnych własnego kraju z zagranicznemi. Jako akcyonaryusz w wielkiém przedsiębiorstwie, otrzyma poprzednią sumę zysków, jeżeli wobec obniżenia cen na towary rozszerzy skalę produkcyi. Co zaś do uregulowania stosunków pieniężnych, ułatwiającego stosunki z zagranicą, to tylko korzystném ono być może dla wielkiego kapitału, czy będzie on własnością jednostki, czy zbiorową.

Naturalnie, drobny wytwórca lub kramarz korzyści tych nie odczuje. Dla niego stosunek z zagranicą jeżeli istnieje, to tylko pośrednio. W kraju zaś trudniéj mu będzie dostać pieniędzy, trudniéj współzawodniczyć z wielkim kapitałem, dla którego droga wyrównaną została. Reforma waluty sprowadzi przeto gorsze warunki bytu dla drobnych kapitałów, a przez to przyspieszy ichześrodkowywanie się w ręku firm, rozporządzających wielkiemi.

Rozmaite panują mniemania, co do wpływu, jaki zdrożenie pieniędzy wywrzéć musi na położenie klasy robotniczéj. Gdyby tak zwane „żelazne prawo płac“ Lassalle'a działało istotnie z niepowstrzymaną siłą prawa natury, partye robotnicze opiéraćby się musiały wszelkim reformom, które sprowadzić mogą podrożenie pieniędzy. Ale silna organizacya klasy robotniczéj zapobiedz potrafi spadaniu płac do poziomu niezbędnych środków utrzymania, owszem, wyzyskać może podwyżkę płac, którą spowodowało podrożenie pieniądza. I w takim razie nawet spodziéwać się można, że przedsię-

biorcy wobec podrożonéj siły roboczéj postarają się o techniczne ulepszenia i zmniejszą ilość rąk zajętych.

Jakkolwiek dziś organizacya partyi robotniczéj uczyniła w Austryi ogromny krok naprzód, nawet dla jéj dalszego rozwoju armia rezerwowa robotników bez pracy, nie mówiąc już o nędzy i cierpieniach jednostek, bardzo groźną może być przeszkodą. Robotnicy jednak nie dopuszczeni dotąd do udziału w życiu politycznem Austryi, zdania swojego w parlamencie, ani za, ani przeciw reformie objawić nie mogą, stanowisko innych partyi jednak odbijało podczas rozpraw doskonale obawy lub nadzieje każdéj, wobec zamierzonéj reformy.

I tak, antysemici pragnęli pozostać przy monecie papierowéj z kursem przymusowym, gdyż są oni partyą drobnomieszczańską; liberalni, przedstawiciele wielkiego kapitału i wielkich obrotów giełdowych, najgłośniéj i najwyraźniéj żądali i żądają waluty złotéj, jednorazowéj i zupełnéj reformy, — słowem, jak się wyrażają, całkowitego uzdrowienia (*Sanirung*) systemu pieniężnego.

Nawoływania téj klasy były jednak równoważone oporem, albo biernem zachowaniem się innych, że zaś wskutek pomyślnego kursu pieniędzy austryackich cały sztuczny i łatany system monetarny tego państwa mało się dawał uczuć, reformę odkładano. Dopiéro żądania Węgier i zgoda ich na poniesienie części kosztów w sprawie walutowéj ostatecznie skłoniły rząd austryacki do zajęcia się reformą.

Mało państw w Europie tak szybki w ostatnich 25-ciu latach wykazuje rozwój, jak Węgry. Pod wpływem samorządu z narodu, stojącego na stopniu prawie że gospodarki naturalnéj, stają się państwem nowoczesnem, o rosnącym co rok budżecie, olbrzymich nakładach na cele przemysłu, handlu, na koleje żelazne, instytucye kredytowe i t. p. Rozwój ekonomiczny jest w tym czasie olbrzymi, a jak wykazują cyfry podatków bezpośrednich i pośrednich, zamożność wzrasta z każdym rokiem.

Przytoczę tu kilka cyfr, jakie podaje „*Pester Lloyd*“ w dodatku z 7 czerwca (dwadzieścia pięć lat rozwoju polityczno-ekonomicznego w Węgrzech) [1]. Przypatrzmy się finansom państwa:

	Rozchód	Dochód
	państwa w tysiącach guldenów	
1868 roku	109,912	112,392
1880 „	365,450	392,454

[1]) Cyt. podług „Volkswirthschaftliche Wochenschrift“ z 16-go i 23-go czerwca r. b.

Rozchód wzrósł przeto o 230, dochód o 250 na sto. Od 1889 r. deficyt z budżetu usunięty zupełnie, a zdaje się nie kosztem zamożności kraju, gdyż sumy wpływające do skarbu z podatków, wzrosły dla podatków pośrednich o 194 na sto, dla bezpośrednich o 85.

Na wzór innych państw i Węgry przypłaciły rozwój państwowy olbrzymim wzrostem długu. Wynosi on dzisiaj w kapitale 1,806½ milionów guldenów, a procent roczny od téj sumy 126 milionów. Długi te zaciągnięto w znacznéj części na olbrzymie inwestycye w kolejach żelaznych, fabrykach, a ułatwił je niezwykle szybki rozwój instytucyi kredytowych. Przypuszczalna ocena wszystkich operacyi kredytowych podaje ich sumę w roku 1890 na 5 miliardów, gdy w roku 1867 wynosiły one zaledwie 782 miliony.

Cóż dziwnego, że państwo, które tak szybkiemi krokami zdąża do gospodarki finansowéj, równéj pierwszorzędnym państwom Europy, pragnie również uregulować swój system monetarny. Jest-to tém naturalniejsze, że handel zewnętrzny Węgier wzrasta corocznie, i tak wynosił:

	Przywóz	Wywóz
	w milionach guldenów	
w 1868 roku	319.7	330.0
w 1890 „	485.4	530.1

Od początku ósmego lat dziesiątka powstały i rozwinęły się fabryki, a rząd nie żałuje na nie subwencyi. Już lat 10 jak 300 przedsiębiorstw korzysta z zapomóg rządowych.

Że wszystkie te zmiany dokonały się kosztem olbrzymich zmian w stosunkach zamożności klas społecznych, że klasy same wytworzyły się wraz ze sprzecznemi dążeniami i interesami, tego dodawać nie potrzeba, jest-to naturalny wynik kapitalistycznego rozwoju. Jako państwo jednak, Węgry są dziś potęgą, i w sprawach dotyczących obu części monarchii głos ich decydującym być musi.

To téż gdy przyszło do rozpraw nad kwestyą walutową, szły one o wiele raźniéj w parlamencie węgierskim, niż w austryackim, już choćby dlatego, że w Austryi więcéj jest sprzecznych żywiołów i że owe żywioły bardziéj są własnych interesów świadome, aniżeli np. węgierscy chłopi. Przytém i teoretycy w ankiecie walutowéj austryackiéj ważną odegrywali rolę, a kwestye mono- i bimetalizmu, pieniędzy wszechświatowych, roli srebra w dzisiejszych stosunkach pieniężnych nie schodzą dotąd z porządku dziennego nietylko bezpośrednio zainteresowanéj austryackiéj, ale wszechświatowéj literatury ekonomicznéj.

W sprawie reformy waluty odróżnić można cały szereg kwestyi,

na które zarówno teorya, jak i praktyczna polityka zwrócić muszą uwagę. Przedewszystkiém więc zjawia się pytanie, jakim metalem zastąpić dotychczasowy obieg papierowy. Daléj, według jakiéj normy obliczyć pieniądze i zobowiązania pieniężne, jaką jednostkę monetarną ustanowić? Jak zaciągnąć pożyczkę, aby najmniéj była uciążliwą, — obok wielu innych mniéj ważnych.

Większość tych kwestyi nie jest dotąd rozstrzygnięta, jednak wiadomo już, że nowa waluta austryacka będzie złotą, a wobec nieustannie zmieniającéj się ceny srebra nie można się nawet było wahać, który z dwóch metalów wybrać dla zastąpienia chwiejnych stosunków monetarnych dzisiejszych. Pierwszym warunkiem jednostki monetarnéj jest, aby obok stałéj wartości nominalnéj, nadanéj jéj przez państwo, miała możliwie niezmienną wartość w stosunku do towarów, które na nią wymieniamy i do pieniędzy innych krajów. Niepodobna przeto było zgodzić się na metal, którego ceny wahają się z jednego miesiąca na drugi, jak się to dzieje ze srebrem. I tak, faktyczna cena srebrnego guldena, którego metaliczna zawartość wynosi 11⅑ gramów czystego srebra była w krajcarach.

w r. 1879	—	96.8	w r. 1892 w styczniu	—	83.0
„ 1884	—	99.3	„ „ 1 marca	—	79.0
„ 1889	—	82.2	„ „ 29 marca	—	74.4
„ 1890	—	89.0	„ „ 30 marca	—	75.3
„ 1891	—	84.6			

Jeżeli w rzeczywistości gulden srebrny na równi z papierowym wykazuje wahania w bardzo małych granicach, a nawet ciągłą tendencyą zwyżkową, zależy to od przyczyn, leżących po za obrębem kwestyi monetarnéj i stanowi właściwość austryackiéj waluty. Przyczyny te Menger [1]) upatruje w następujących warunkach: 1) ustalenie kredytu państwa, 2) korzystne bilanse handlowe, 3) spokój w stosunkach z ościennemi państwami, a zwłaszcza 4) zaniechanie bicia srebra na rachunek prywatny.

Widzieliśmy, że dr. Milewski, obawia się niestałości stosunków monetarnych dla Austro-Węgier, w razie sprowadzenia złotéj waluty.

Statystyka monetarna jest dotąd niestety bardzo jeszcze niepewną, gdyż nie daje się porównać roczna produkcya złota z sumą monety wybijanéj w takim czasie. W wykazach swoich bowiem banki nie odróżniają starych monet przebijanych na nowe, od bicia monet

---

[1]) *l. c.*, na str. 496.

nowych. W taki sposób sumy rocznie wybijanych monet złotych wyższe są od całéj produkcyi rocznéj złota, a przecież przemysł pochłania wielkie, a nawet wzrastające ciągle ilości tego metalu. Zdaje się jednak, że statystyce produkcyi złota więcéj ufać można. Wynosiła ona w milionach franków [1]):

od 1881—1884	r.	przeciętnie	515
w 1885	„	„	532
„ 1886	„	„	556
„ 1887	„	„	552
„ 1888	„	„	572
„ 1889	„	„	620.

Złota przeto nie ubywa, a w ostatnich latach dziesięciu kopalnie południowéj Afryki: Natal, Durban i in. dają znaczne i coraz wyższe ilości. Ogólna produkcya tych kopalni wzrosła z 230.917 uncyi w 1888 r. do 789.213 w 1891 r., a więc 3½ razy w ciągu lat czterech, a obliczając na pieniądze, stanowiła razem 7½ milionów f. szt. (około 73 mil. rubli). Zdaje się przeto, że produkcya złota wzrosnąć może wbrew twierdzeniu Suessa, znanego geologa wiedeńskiego. (W dziele swém „Przyszłość złota“ zadał on, jak się zdawało na razie, ostateczny cios jednokruszcowcom, dowodząc, że złoto za jedyny metal monetarny służyć nie może, bo ilość jego nie wystarcza na cele monetarne wszystkich państw). Nie można téż napewno twierdzić, że z czasem nowe kopalnie tego metalu odkryte nie zostaną. Nawet bogactwo kopalni rosyjskich na Uralu nie jest dokładnie znane. Porównywając zaś ilość monety wybitéj w ostatnich dziesięciu latach, nie dostrzegamy stałego wzrostu ale wahanie.

Według dyrektora mennicy angielskiéj Karola Freemantle, złota moneta, wybijana w całym świecie w ostatnich trzech latach, stanowiła w milionach funt. szterlingów:

	w r. 1890	— 30.4	w 1889	— 35.2	w 1888	— 25.4
srebra zaś:	„	— 26.8	„	— 26.3	„	— 30.6.

A więc pomimo ogromnego przyrostu ilości srebra, którego kopalnie w Ameryce południowéj uważają za niewyczerpane, ilość srebrnych monet była tylko taką, jak ich zapotrzebowanie.

Bo téż ogólnie przyjęte mniemanie, że od ilości środków obiegowych (które z kolei zależéć mogą od rozporządzalnéj ilości szlache-

---

1) Volkswirtschaftliche Wochenschrift. Wiedeń z 2-go lipca 1891 r.

2) Tamże № 434 z kwietnia 1892 r.

tnych metalów) zależą ceny przedmiotów, zdaje się nie wytrzymywać krytyki. Cena, która jest wartością zamienną towaru, wyrażoną w pieniądzach, tak samo jak wyrazić by się dała w odpowiedniéj ilości każdego innego towaru, zależy od całkiem innych przyczyn, których tłómaczenie zaprowadziło by nas tu za daleko. Ilość metalu, w którym ceny wyrażać się mają, stosuje się przeto do sumy cen, których równowartość ma stanowić, oraz do rocznéj ilości obrotów kapitału obiegowego. To téż suma pieniędzy obiegających na głowę ludności nie jest najwyższą tam, gdzie istnieje najwyższa produkcya roczna wartości, lecz tam, gdzie gospodarka kredytowa mało jest rozwinięta, a więc w Europie nie w Anglii, lecz we Francyi. Przeciwnie, pomimo znanego bogactwa Anglii, ilość monety obiegowéj na głowę jest w tym kraju prawie najmniejsza [1]). Nie ulega wątpliwości, że tendencyą obecnéj fazy gospodarstwa są coraz większe rozmiary operacyi kredytowych. Załatwianie opłat dziennych za pośrednictwem biur obliczeń (*Clearing-Houses*), które tak bardzo zmniejsza zapotrzebowanie na znaki obiegowe, wprowadzone w Anglii i Szkocyi zrazu, dziś stało się niemal powszechném. Tworzenie tych biór, zwanych również instytucyami kompensacyjnemi, przypada wszędzie prawie jednocześnie z regulacyą waluty lub reorganizacyą systemu obiegowego. Za przykład posłużyć mogą: Austrya, Francya, Włochy, a od niedawnego czasu, Niemcy. A więc rozwój gospodarki kredytowéj towarzyszy wszędzie reformom monetarnym i on téż, a raczéj jego przyszłość, pod uwagę branym być powinien, gdy jest mowa o ilości potrzebnych środków obiegowych.

Zdaje się, że w ogóle bimetaliści i ci, co jak geolog Suess, dowodzą niemożebności zaprowadzenia wyłącznie złotéj waluty, która z konieczności wszystkie państwa do przyjęcia złota za jedyny metal monetarny zachęcać musi, za mało biorą pod uwagę rozwój systemu kredytowego. Produkcya towarów wprawdzie nietylko co do ilości, ale i co do wartości swéj stale wzrasta; lecz zapotrzebowania szlachetnych kruszców na bicie monety w tym samym stosunku obliczać nie można, bo z rozwojem gospodarki kapitalistycznéj, daną sumą pieniędzy coraz

[1]) Anglia w r. 1885 miała 99 frk. pieniędzy na głowę, kiedy Niemcy, które pod względem bogactwa i ilości tranzakcyi o tyle niżéj stoją, liczyły 91 fr. Olbrzymia przewaga bogactwa angielskiego nad niemieckiém ujawnia się dopiéro w tranzakcyach giełdowych, których suma jest 10 razy wyższą od niemieckich. W Anglii dokonywano ich na 7.5 miliardów funtów szterlingów, w Niemczech na 15 miliardów marek.

więcéj opłat uskuteczniać można. Nie chcemy przez to powiedzieć, by ilość pieniędzy w kraju, ich nadmiar lub brak nie wpływały na ukształtowanie się stosunków ekonomicznych, gdyż i ta ilość oceniana być musi w stosunku do rozwoju kredytu. Przeciwnie, od ilości pieniędzy zależy duch przedsiębiorczości, powstawanie nowych gałęzi przemysłu, wprowadzanie ulepszeń technicznych i melioracyi rolnych i w ogóle tętno życia ekonomicznego.

To téż, jeśli ilość złota produkowanego corocznie, dodana do już obiegającego, okaże się nie wystarczającą na cele monetarne, to zapewne wszystkie państwa zwrócą się do użytkowania z obu metalów. Będzie to może bimetalizm w innéj formie, albo téż jakaś forma waluty ułomnéj; Austrya jednak, któréj pożyczka, choćby nawet starczyć miała na pokrycie całego zapotrzebowania monetarnego w państwie, nie będzie rozstrzygającą na korzyść jednego lub drugiego systemu, stosować się musi do prądu przeważającego dziś ogólnie. I dr. Milewski i inni teoretycy, nawet bimetaliści, jak np. dr. J. Landesberger, przyznają to bez zastrzeżeń.

Obok wyboru metalu, ważném jest ustanowienie relacyi, według jakiéj skup papiéru ma się dokonać. Pożądaną jest jak najsprawiedliwsza ocena wartości pieniędzy dotychczasowych, aby przy zamianie waluty dzisiejszéj na metaliczną właściwie otaksować wszelkie dawne długi i zaległości, tak, ażeby sumy nominalne zobowiązań jak najmniéj odbiegały od rzeczywistch. Ponieważ wartość guldena zmienia się nieustannie stosunek wartości złota do srebra większym jeszcze podlega wahaniom; zupełnie sprawiedliwe zadośćuczynienie zobowiązaniom z różnych okresów czasu jest tylko ideałem, do którego przeciętna wartość guldena przyjęta za normę, zbliżyć się może, ale już przez to samo, że norma jednakową dla wszystkich być musi, nie będzie w stanie odpowiedzieć jéj w zupełności. Nie chodzi więc o to, aby każdemu wypłacić wszystko to, co w czasie zawierania umowy zobowiązanie mu obiecywało, lecz, aby się jak najbardziéj do tego zbliżyć. Naturalnie relacya, jaką zastanie reforma, jakkolwiek sfery finansowe i giełdowe, chętnie by ją przyjęły, nie może się utrzymać. Co byłoby odpowiedniem dla pożyczek i umów krótkoterminowych, mogłoby ciężko się odbić na kredycie długoterminowym. Należy więc brać przeciętną z dłuższego przeciągu czasu, aby nie obarczyć zbytnio dłużników, a nie ukrzywdzić wierzycieli, a przynajmniéj, aby żadna partya nie uważała się za więcéj pokrzywdzoną od innych. I tu jak wszędzie polityka nie będzie wymiarem sprawiedliwości, ale lawirowaniem wśród sprzecznych interesów. Sprawę jednak ułatwia bardzo fakt, że za podstawę

wymiany przyjęty został dzisiejszy gulden srebrny = 11 ⅑ grama czystego srebra (z funta srebra 45 guldenów). Jednostką monetarną będzie pół guldena czyli korona.

Wbrew tym, którzy, zarabiając na drożyznie pieniędzy, doczekać się chcieli kursu 1 gld. = 2 mrk. (Dziś 1 gld. = 1.73 mrk.), stopa monetarna, a więc rachunek pozostanie ten sam. Że srebro zastąpione tu ma być przez złoto, ważnym jest stosunek złota do srebra. Dawniejszy, który utrzymuje się dotąd wśród krajów unii łacińskiéj (1 : 15.5) byłby dziś za wysokim, obecny (1 : 22.8) przy nadzwyczajnych zniżkach cen na srebro za niskim. Zdaje się przeto, że utrzyma się stosunek 1 : 18³/₉, który równa się 820 guldenom z funta złota, przeciętnym z ostatnich lat kilku. Dr. M. zwraca uwagę na okoliczność, nie uwzględnianą, o ile wiemy, przez innych, że nowy gulden, ma być nie tylko środkiem obrotu ale miarą dawnych, jak również i nowych zobowiązań. Zwrócić przeto trzeba uwagę na to, czém on będzie w przyszłości i uwzględnić podrożenie złota, które reforma sprowadzi.

Żądanie to zdaje się być prawie niewykonalném, bo nie podobna przewidziéć i obliczyć dziś, czy rzeczywiście zapotrzebowanie pożyczki austro-węgierskiéj bezpośrednio wpłynie na cenę złota, a jeżeli tak będzie, w jakich rozmiarach to nastąpi. Austrya zarówno jak i Węgry posiadają już zapasy złota, zarówno w sztabach, jak i w monetach, jakkolwiek suma ich nie jest znaną. Jak obliczają tablice statystyczne, sporządzone z rozporządzenia rządu dla rozjaśnienia sprawy walutowéj [1]), z przywozu złota i srebra w ostatnich latach 20 pozostawały każdorazowo przewyżki. A mianowicie w latach od 1871 do 1890 stanowił w tysiącach guldenów austryackich:

	Złota	Srebra	Złota i srebra mieszanych
Przywóz	382.686	205.757	22.489
Wywóz	101.815	222.144	69.849.

Ostatnia kategorya „złota i srebra mieszanych“ były to monety przewożone na okrętach towarzystwa żeglugi dunajskiéj, deklarowane podług wartości, nie według metalu.

Przewyżka złota, które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zostało w kraju, jest bardzo znaczna, jeżeli zaś nawet w części użyte ono było do celów przemysłowych, znajdzie się jeszcze jakaś

---

[1]) Statistische Tabellen zur Währungsfrage der Oestr. Ungarischen Monarchie.

setka milionów, gdy rząd zechce zaciągnąć pożyczkę. Przytém i własna produkcya metalów szlachetnych w monarchii jest dosyć znaczna. W r. 1890 wynosiła suma złota, dostarczonego przez kopalnie austryackie i węgierskie, 2104 kilogramy, z tych na Węgry przypada 2082, a więc produkcya kopalni austryackich prawie nie zasługuje na uwagę. Srebra wyprodukowały w tymże roku obie części monarchii 50,613 kilogramów, z czego na Austryą przypada przeszło ⅔ całéj sumy, na Węgry niespełna ⅓.

W jaki sposób uskutecznioną zostanie pożyczka w celach regulacyi waluty, dotąd niewiadomo. Najprawdopodobniéj jednak rząd pójdzie za radą znawców téj kwestyi i nie odnosząc się do zagranicznych banków, które zapasy swe naruszają niechętnie, szukać będzie złota na rynkach zagranicznych u osób prywatnych. W taki sposób zaciągnęły Włochy, w latach od lipca 1881 do stycznia 1883 r., pożyczkę 398 milionów franków złotem, za pośrednictwem prywatnego syndykatu, na czele którego stał bank narodowy. Pożyczka włoska ówczesna wysoko była oprocentowana (5%), ale że Austro-Węgry dziś znajdują się w lepszém położeniu finansowém, spodziewać się można, że i przy niższych odsetkach złoto się znajdzie.

Co daléj jednak będzie, niewiadomo. Zupełnie jest prawdopodobném, że sama decyzya rządu austro-węgierskiego przejścia do waluty metalicznéj i zaciągnięcia złotéj pożyczki, będzie bodźcem do ogólnego powrotu do systemu dwukruszcowego. W ciągu najbliższych miesięcy odbyć się ma konferencya monetarna, do któréj inicyatywę dały Stany Zjednoczone Ameryki północnéj, poparte przez Anglią, a wszystkie niemal państwa europejskie, nie wyłączając Austro-Węgier, udział w niéj wezmą. Pomimo najnowszego postanowienia przejścia do waluty złotéj wszelkie prawdopodobieństwo mówi za tém, że przedstawiciele monarchii obstawać będą za systemem dwukruszcowym, tak samo, jak czynili to na paryskich kongresach monetarnych w latach 1867 i 1881. Austro-Węgrom chodzić musi o istniejące już zapasy srebra, oraz o przyszłość własnych kopalni. Do zaprowadzenia złotéj waluty popychają Austryą stosunki z zagranicą; ale i postanowienie to nie wyklucza pozostawienia w obiegu srebra, co będzie tém łatwiejsze, że państwa, mające już obieg złotego kruszcu za dopuszczeniem srebra przy wypłatach głosować będą.

Sądzimy téż, że nawet gdyby konferencya amerykańska nie doprowadziła do pozytywnych rezultatów wprowadzenia srebra do obiegu, będzie ona przecież wskazówką, że w krótkim czasie pań-

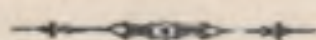
stwa zapobiegną zdrożeniu pieniędzy. Tymczasem zaś od przyszłego guldena austryackiego nie można wymagać, aby uniknął on owych niebezpieczeństw, jakie grożą jednostkom monetarnym innych krajów. Cały nasz ustrój ekonomiczny kręci się w błędném kole, opasaném łańcuchem czynników tak skomplikowanych i tak ściśle powiązanych ze sobą, że zapobieżenie wstrząśnieniom i zmianom nie jest w mocy jednego państwa, ani jednego czynnika, choćby nim był nawet pieniądz.

Dr. Zofia Daszyńska.





Z DZIEJOPISARSTWA WĘGIERSKIEGO.



Mathias Corvinus, König von Ungarn. 1458 — 1490, auf Grund archivalischer Forschungen bearbeitet von Wilhelm Fraknói (Dr., tit. Bischof, 2-ter Präsident der Ungarischen Akademie der Wissenschaften); aus dem ungarischen übersetzt. Mit 48 Illustrationen u. 8 Facsimiles. Freiburg i/Br. 1891. Herdersche Buchhandlung.

Maciéj Korwin jest jednym z najznakomitszych królów węgierskich i najwybitniejszych aktorów na widowni powszechno-dziejowéj. Polityczna jego działalność i wojenne czyny sięgały daleko po za granice własnego kraju, zaznaczyły się bowiem w dziejach półwyspu Bałkańskiego, Czech, Polski, Austryi, Niemiec, a nawet Szwajcaryi i Włoch aż do Neapolu; umysł jego, wszechstronnemi zdolnościami hojnie uposażony zapalał się ideami średniowiecznego krzyżowca, bojownika chrystyanizmu, a zarazem chłonął skwapliwie prądy nowoczesnego Odrodzenia w literaturze i sztuce, w dążeniach do wytworzenia monarchii absolutnéj. Zasługuje on niewątpliwie na staranne zbadanie 32-letniéj pracy, na ocenę jéj pobudek i skutków; zadania tego podjął się czcigodny prezes Akademii węgierskiéj, biskup-sufragan i doktór, Willh. Fraknói, i wykonał je z zastosowaniem najlepszéj metody badań, z gorliwością, serdecznem zamiłowaniem i znacznym nakładem pieniężnym. Nietylko bowiem zużytkowane zostały w téj monografii źródła drukowane i literatura naukowa najnowsza, nietylko przeszukane były liczne archiwa austryackie i zagraniczne, ale tekst jest objaśniony podobiznami dokumentów, kart z manuskryptów sławnéj biblioteki Korwina, z wizerunkami miast, fortec, gmachów, reprodukcyami portretów i posągów Macieja, żony jego, Beatryksy Aragońskiéj, Jerzego Podiebrada, Kazimierza Jagiellończyka, sułtana Mahometa II-go, kilku papieży

spółczesnych, dwóch arcybiskupów ostrzyhomskich (Jana Aragończyka i Hipolita Este), wreszcie kilka archeologicznych zabytków. Już tedy strona zewnętrzna nadaje dziełu cechę pomnikową, a wartość wewnętrzna odpowiada téj pięknéj powierzchowności.

Historya naszéj literatury wzbogaci się cennemi wiadomościami, zawartemi w rozdziale I-ym, o Grzegorzu z Sanoka, który był spowiednikiem Władysława Warneńczyka, po śmierci jego bawił przez kilka lat na Węgrzech, otrzymał kanonię w Wielkim Waradynie od biskupa tamecznego, Jana Witeza ze Zredny i był nauczycielem dzieci Jana Hunyada, a więc i Macieja. Uczył historyi rzymskiéj i języka łacińskiego (str. 16, 18, 291) z powodzeniem, skoro uczeń słynął późniéj jako człowiek niepospolitego wykształcenia, jako znawca pisarzy starożytnych. Autor zmniejsza jednakże przesadnie dotąd podawaną liczbę języków cudzoziemskich, któremi władał Maciéj.

Rodowód Hunyadych, stosunki rodzinne ojca, Jana, wychowanie synów w atmosferze bohatérskich bojów z wrogami chrześciaństwa, Turkami, nie pozostawiają nic do życzenia pod względem dokładności i obfitości informacyi. Do wyrozumienia charakteru Macieja ma wielką cenę wiadomość, że Jan Witez ze Zredny był zaufanym, serdecznym przyjacielem Jana Hunyada i kierownikiem wychowania synów, a więc z Maciejem związały go najściślejsze spójnie duchowe.

Gdy Jan Hunyady, odparłszy zwycięsko wściekłe szturmy sułtana, zdobywcy Konstantynopola, zmarł w serbskim Białogrodzie na rękach ś. Jana Kapistrana (d. 11 sierpnia 1456 r.), starszy syn, Władysław był już pełnoletnim. Z dokumentu, noszącego datę 21 października t. r., okazuje się, że używał tytułu „najwyższego kapitana", gdy podobny tytuł był udzielony przez młodego króla, Władysława Pogrobowca, wujowi własnemu, Ulrykowi hrabiemu Cyllejskiemu, wrogowi Hunyadych. Fatalną scenę w Białogrodzie zabicia Ulryka przez Władysława Hunyady, autor kreśli wstrzemięźliwiéj niż poprzednicy, jako „sprzeczkę gwałtowną i starcie orężne", nie oskarżając Ulryka o zadanie piérwszego ciosu. Jest jednakże dostatecznie uwydatnioną i zawzięta nienawiść Cyllejczyka, i niegodziwy jego charakter, i obłuda króla Władysława, który przez kilka miesięcy grał komedyę życzliwości dla Hunyadych, a potém użył podstępu do pochwycenia obu braci. Władysław został ścięty—nie bez sądu wszakże,—Maciéj zawdzięczał życie i zdjęcie kajdan wstawiennictwu legata papieskiego, ale jako więzień był zabrany do Pragi Czeskiéj. Śmierć bezdzietnego króla sprowadziła dlań zmianę losu nagłą i świet-

ną za sprawą matki Elżbiety i jéj brata, walecznego komendanta Białogrodu, Michała Szylagyi.

Już od roku 1453 występowało jawnie przeciwko Hunyadym stronnictwo, na którego czele stali możni magnaci: palatyn Wład. Garai i wojewoda Siedmiogrodu, Mikołaj Ujlaki. Oni to poddawali nieboszczykowi królowi plan zemsty za śmierć ich sprzymierzeńca, Cyllejczyka. Teraz atoli, gdy z domu Habsburgów pozostał jeden tylko mężczyzna, cesarz Fryderyk III-ci, niemiły narodowi węgierskiemu, dali się oni namówić do zgody. W Szegedynie 1-go grudnia 1457 r. stanęła zaprzysiężona na Ewangelii umowa pomiędzy Elżbietą Hunyady i Szylagyi'm z jednéj strony, a Wład. Garai i jego żoną Anną z drugiéj, że Maciéj będzie królem obrany, lecz nie pierwéj obejmie rządy, aż zaślubi córkę Garai'ów i zapewni ich stronnictwu posiadanie nadal urzędów piastowanych. Rozbrojona tym aktem opozycya, nie przeszkadzała Szylagyi'emu w elekcyi, która się odbyła 24 stycznia 1458 r. przy entuzyastycznych okrzykach tłumu na ulicach Budy-Pesztu. Ze względu wszakże na młody wiek elekta, sejm powierzył Szylagyi'emu regencyę na lat pięć.

Tu zadzierzgnął się piérwszy węzeł zawikłań przyszłego panowania.

Maciéj znajdował się jeszcze w niewoli, pod strażą „sprawcy“ królestwa czeskiego, niebawem również królem obranego, Jerzego Podiebrada. Udało się więc do Czech poselstwo węgierskie, któremu towarzyszyła uradowana matka, Elżbieta Hunyady, z bratem swoim. Atoli przy piérwszém spotkaniu, w Strasznicy, Maciéj oświadczył, że nie zaślubi córki mordercy swojego brata, lecz pojmie Podiebradównę Katarzynę za żonę. Następnie, przybywszy do stolicy, wyzwolił się od regencyi, bo już w połowie marca wyprawił wuja, Szylagyi'ego, na granicę turecką z poleceniami wojennemi. Zniweczył zatém wszystkie zobowiązania i skutki zabiegów, którym swój obiór i wyzwolenie swoje zawdzięczał. W 18-ym roku życia taka stanowczość znamionowała niezwykłą moc charakteru i jasność myśli kierowniczéj, ale pośpiech w działaniu zapowiadał niebezpieczną popędliwość, gwałtowność, która łatwo prowadzić może do samowoli i despotycznych zachcianek.

Młodzieńczą krewkością można poniekąd wytłómaczyć prześladowanie Garaia, który jednak stawił się dla złożenia hołdu poddańczego; ale nic nie usprawiedliwia niewdzięczności względem wuja dobroczyńcy, który w ciągu tegoż samego roku znalazł się w więzieniu i usłyszał wyrok śmierci. Autor przypuszcza, że wyrok ten nie byłby wykonany (str. 71); my wszakże nie widzimy dostatecznego

uzasadnienia dla domysłu takiego wobec faktów, że ułaskawienie nastąpiło na skutek przełożeń legata papieskiego i że z więzienia w Villagos wydostał się Szylagyi dzięki zręczności kucharza swego. Prostoduszny wojak nałożył głową, ale przynajmniéj w wojnie z Turkami. Dostał się do niewoli i został ścięty w Konstantynopolu z rozkazu sułtana Mahometa II-go.

Gdy tak ostro potargał Maciéj najsilniejsze i najtrwalsze ogniwa natury ludzkiéj, czegóż się mieli po nim spodziéwać obcy, albo przeciwnicy i wrogowie dawni? To téż w ciągu lat 20-tu snuje się nieprzerwane pasmo buntów magnackich: w r. 1459 pozbawiony urzędu palatyna Garai, wspólnie z Ujlakim, Banfim i braćmi Kanizsai ogłaszają królem węgierskim cesarza Fryderyka III-go; w r. 1460-ym Sebastyan Rozgonyi i sędzia Paloczi podnoszą chorągiew rokoszu w Siedmiogrodzie; w r. 1467-ym Ujlaki, Banfi i Marotis ofiarują koronę węgierską synowi Podiebrada, Wiktorynowi; w r. 1467-ym Emeryk Zapolya z Janem St. Georgen chcą oderwać Siedmiogród i uczynić go oddzielném królestwem; w r. 1470—1471 Jan Witez ze Zredny, ów przyjaciel rodziców i wychowawca samego Macieja, mąż wielkiéj nauki, piastujący godność arcybiskupa ostrzyhomskiego (Gran) i prymasa zapraszał królewicza polskiego Kazimierza (świętego) na tron węgierski i poddał mu swe zamki w czasie wojny. Powodem tak dziwnego odstępstwa miał być policzek, wymierzony przez Macieja dostojnemu prałatowi. Autor powątpiewa o wiarogodności tego skandalu (str. 159), przytaczając inne powody, jak np. odebranie urzędu bana Slawonii, usuwanie od narad w sprawach poufnych i fawory dla Gabryela, biskupa Kalocsy, mianowanego kanclerzem, oraz dla Jana Beckensloera, biskupa Erlau. Ten ostatni doszedł do wielkiéj u Macieja wziętości, skoro otrzymał po śmierci Witeza stolicę prymacyalną ostrzyhomską, wraz z dochodami biskupstwa waradyńskiego, a jednak po upływie lat kilku (1476 r.) tenże Beckensloer opuszcza Węgry, przenosi się do Austryi i występuje przeciwko Maciejowi wrogo, nawet zbrojnie przeciwko wojskom jego podczas wojny austryackiéj.

Musiało być coś bardzo drażniącego w obcowaniu Macieja z ludźmi, jeżeli tak ich zrażał, pomimo giętkości, zręczności i talentu politycznego, jaki się objawiał w stosunkach z sejmami. Już w roku 1458-ym, t. j. w pierwszym swojego panowania, umiał Maciéj uzyskać uchwałę powiększającą banderye magnackie i upoważniającą króla do wyprowadzania ich za granicę na czas 3-miesięczny, a nadto do powoływania całéj szlachty na pospolite ruszenie (str. 72). W roku 1463-im sejm pozwolił na podwojenie kontyngensów magnackich,

t. j. na stawienie 1 jeźdzca od każdego dziesiątka (zamiast 20) poddanych chłopów (str. 95). W r. 1471-ym, gdy wkroczył królewicz Kazimierz, potrafił Maciéj dostać od sejmu oświadczenie wierności dla siebie i odezwę do królewicza z prośbą, aby nie dawał posłuchu lekkomyślnym buntownikom.

A jednak w kraju panowało wielkie niezadowolenie i manifest Kazimierza słusznie nazywał Macieja „tyranem“. Autor z godną uznania bezstronnością i czcią dla prawdy stwierdza, że już „wszystkie prawa szlachty węgierskiéj były pogwałcone“, że biskupstwa i urzędy nadawane były cudzoziemcom, że naderspanami bywali plebejusze, że podatki były pobierane bez uchwały sejmowéj, że kary wygnania i konfiskaty były wykonywane bez wyroków sądowych. „Maciéj mniemał, że nie masz nic niewykonalnego, że wszystko mu wolno, że przysługują mu wszelkie prawa, bez żadnych obowiązków“ (str. 159, 162, 167). W chwili niebezpieczeństwa, w r. 1471, poczynił wiele obietnic: że już nie będzie wybierał podatków samowolnie, a duchowieństwo od wszelkich nadzwyczajnych opłat uwolni, że swobody stanów szanować będzie, że sejmy corocznie odbywać się mają. Zobowiązań tych wszakże nie dotrzymał późniéj i w r. 1478 wymógł uchwałę podatkową na sześcioletni okres odrazu. Utrzymując wojsko stałe i rozrządzając dowolnie całą siłą zbrojną kraju, dążył do tego, aby władzę królewską mieć niezależną od wpływu woli narodowéj“ (str. 279).

Taką była polityka wewnętrzna, a raczéj samowładztwo niepolityczne i gwałtowne Macieja. Wobec tego upada powtarzana dawniéj legenda [1]), jakoby lud węgierski mawiał: „umarł król Maciéj — poszła z nim sprawiedliwość“. Czyliż bowiem tak zaszczytne wspomnienie miało przyrosnąć do imienia jego za to tylko, że wprowadzając samowolnie reformę podatkową z cłem generalném dla wszystkich stanów i zwiększonym „podatkiem kamery“, w r. 1467 poddał pod nią dobra królewskie? Autor zaznacza niezwykłą wartość księgi praw, zatwierdzonéj na sejmie w r. 1486, lecz nie wykazuje, o ile do ułożenia jéj przyłożył się Maciéj osobistą pracą. Przetrwała ta księga długo, bo aż pół-czwarta stulecia, niemal do naszych czasów (str. 281), ale sądzić nam wolno, że przestrzeganie jéj przepisów w praktyce wykonawczéj zaczęło się na dobre już po śmierci Macieja.

Nienasycona żądza panowania, zdobywania potęgi, tytułów, koron, była podobno głównym motorem wielce ruchliwéj i rozległéj po-

---

[1]) Mailáth, „Geschichte von Oestreich“. Hamburg. 1834. Perthes, I, 492. Horvàth, „Gesch. der Ungarn... übersetzt“, 1851, Perth. Emich. I, 389, 391.

lityki zagranicznéj. Szereg nieprzerwany wojen Maciéj rozpoczął od wyprawy na baszę tureckiego, uwieńczonéj zwycięstwem pod Semendryą (1458 r.). Wyprawy do Bośnii, świéżo przez Mahometa II-go ujarzmianéj, tłómaczą się interesem kraju. Udział w organizowaniu wielkiéj krucyaty Piusa II, niedoszłéj do skutku przez nagły zgon tego papieża (1464 r.), wróżył pożytki Węgrom przez usunięcie od ich granicy, a chociażby przez osłabienie, groźnéj potęgi Mahometa II i przysparzał w Europie sympatyi Maciejowi, jako bojownikowi chrześciaństwa i godnemu synowi Hunyada. Zrozumiałemi są jeszcze ze stanowiska madyarskiego wyprawy do Mołdawii, w celu przeciągnięcia jéj z pod hołdownictwa królom polskim ku sobie. Ale niepodobna dojrzéć żadnego interesu narodowego, żadnego celu patryotycznego w zabiegach i wojnach Macieja o korony: cesarską i czeską. Oświadczenie papieżowi Pawłowi II-mu gotowości do wykonania jego surowych wyroków na Jerzym Podiebradzie (1465 r.) nie da się wytłómaczyć wstrętem do utrakwizmu husyckiego, boć nie czuł Maciéj wstrętu do pożycia małżeńskiego z córką tego samego Podiebrada, Katarzyną, zmarłą w roku poprzednim (1464 r.). Autor mniema, że tu chodziło o pozyskanie popularności w Niemczech (str. 115), która potrzebną była do pozyskania głosów elektorskich przy obiorze na króla rzymskiego za życia Fryderyka III-go, a na cesarza po jego śmierci (str. 111). Ależ ten obiór był mrzonką wcale niepolityczną. Fryderyk III-ci miał syna, Maksymiliana: czyż można było przypuszczać, że zechce poświęcić interes własnéj dynastyi dla obcego człowieka? Sądzimy, że autor obszedł się bardzo pobłażliwie z Maciejem, opowiadając w tonie poważnym, bez żadnych uwag, o przymilaniu się jego do cesarza, o przybieraniu roli posłusznego syna, o pocałunkach publicznych na ulicach Wiednia w czasie odwiedzin w r. 1470 i o nagłym wyjeździe, gdy się ujawniła nieszczerość, a raczéj zupełnie naturalna oporność dworu austryackiego (str. 151). Zamiast swatania żon i torowania drogi do tronu niemiecko-rzymskiego, Fryderyk III zawarł niezwłocznie przymierze z królem polskim, Kazimierzem Jagiellończykiem w Villach przeciwko Maciejowi.

Był to podwójnie gorzki zawód w ambitnych nadziejach; rozpoczynając bowiem walkę z Podiebradem, zgłaszał się Maciéj (1468 r.) do Krakowa o przymierze i o rękę królewny Jadwigi [1]). Doznał już wtedy odmowy. Kazimierz Jagiellończyk traktował go jako parweniusza i przywłaszczyciela koron, węgierskiéj i czeskiéj, które prawem dziedzictwa należéć powinne były do jego dzieci, zrodzonych

[1]) Caro, „Gesch. Polens“, V Theil, I Hälfte. Gotha, 1886, str. 295.

z siostry Władysława Pogrobowca, córki Alberta II-go Habsburga, a wnuczki Zygmunta Luksemburczyka. Musiał więc Maciéj wbrew swojéj chęci i woli rozpocząć walkę z królem polskim. Szkodził mu najbardziéj swojemi ścisłemi stosunkami z kuryą rzymską. Uznany przez ludność katolicką Moraw, Szląska i Łużyc królem czeskim, doznał Maciéj nowego upokorzenia po śmierci Podiebrada od sejmu w Pradze: poselstwo jego nie było nawet wysłuchane po mowie, jaką wygłosił Dobiesław z Kurozwęk, członek poselstwa polskiego, zalecając kandydaturę swego królewicza, Władysława. Przy charakterystyce rządów jagiellońskich wspomniał on, że dalekiemi są od tyranii, a ten wyraz wywołał w umysłach słuchaczy niesympatyczny obraz Macieja. Władysław Jagiellończyk został okrzyknięty jednomyślnie królem. A więc znalazło się teraz (1471 r.) dwóch królów czeskich. Przyznać należy, iż Maciéj proponował różne kombinacye pojednawcze i że w r. 1474 był stroną zaczepioną, nie zaś napastującą. Dowodzi tego już stosunek sił bojowych, gdy Jagiellończykowie przyprowadzili pod Wrocław 60,000 Polaków i 20,000 czeskich wojowników, a Maciéj miał w swoim obozie zaledwo 10,000 wojska [1]). Była to najświetniejsza chwila w życiu i panowaniu Macieja, okazał bowiem znakomite zdolności wojskowe w zwycięskiéj obronie miasta, oraz w splądrowaniu Wielkopolski przez oddział Stefana Zapolyi i upokorzył Jagiellonów. Żądał z nimi osobistéj rozmowy. Spotkanie zostało umówione pod wsią Gross-Mochbern na dzień 15 listopada. Przyjechał Kazimierz bez syna w skromnéj czarnéj szubie, gdy Maciéj wystąpił z wielką okazałością; to téż nie zadowolnił się takiém załatwieniem kongresu. Nazajutrz musiał przyjechać razem z ojcem Władysław i podać rękę przeciwnikowi. Czynił to z widoczną niechęcią, bo głowę na bok odwrócił [2]). Weszli późniéj do namiotu wszyscy trzéj; Maciéj szedł w środku między ojcem i synem. Forma rozejmu była dyplomatycznym tryumfem madyara, bo Władysław został w akcie nazwany nie królem czeskim, lecz tylko „pierworodnym synem króla polskiego“. W ostatecznym wszakże obrachunku, przy zawarciu traktatów pokoju, każdy pozostał przy swojém, a Maciéj naprawił nawet krzywdę, jaką królowi polskiemu wyrządził, podszczając do buntu biskupa warmińskiego, Tüngena, i w. mistrza krzyżackiego, Truchsessa: oddał ich na łaskę Kazimierza, czém zmusił ich do uniżonych przeprosin i ponowienia przysiąg hołdownych. Tyle się

---

[1]) Mailáth, *op. cit.*, I, str. 489, liczył 18,000 wojska w obozie Macieja: zdaje się, że do zupełnie dokładnego ustalenia liczby brak dokumentów.

[2]) Dodajemy tu parę rysów podług opowieści profesora Caro, V, 406—407.

przecież w ciągu téj wojny dorobił, że Stefan Wielki, hospodar Mołdawii, który mu niegdyś zadał dotkliwą porażkę w m. Moldvabanya (1467 r.), uznał się wasalem Węgier (1475 r.). Późniejsze przymierze z w. księciem Moskwy, Iwanem III, przeciwko Kazimierzowi (1488) nie wywarło widocznego wpływu na wypadki polityczne. Dla historyków ruskich znajduje się przytoczona przez autora przy wykładzie tych odległych stosunków wiadomość, że Arystoteles Fioraventi, budowniczy katedry Uspieńskiéj w Moskwie, pracował poprzednio przy budowie pałacu Macieja w Budzie (str. 308).

Wojnę czeską ganił już Mailáth, jako niesprawiedliwą. Dr. Fraknói obficie pomnożył i rozszerzył wiedzę o polityce zagranicznéj Macieja. Pokazuje się, że stanowisko jego w Europie wcale imponującém nie było. Nietylko monarchowie wielkich domów, jak Habsburski lub Jagielloński, odrzucali jego matrymonialne oferty, ale nawet pomniejsi książęta, jak medyolański Sforza i brandeburski Hohenzollern poczęstowali go arbuzem (str. 181). Udało mu się dostać żonę aż w Neapolu, Beatryksę Aragonkę, córkę króla Ferdynanda, na którym ciężyła plama nieprawego urodzenia. Wiadomość o zawarciu umowy przedślubnéj nadeszła podczas oblężenia Wrocławia. Maciéj tak się ucieszył, że kazał bić we wszystkie dzwony i zatknąć na wieżach olbrzymie pochodnie, aby się dowiedział o jego szczęściu król Kazimierz.

Małżeństwo z Włoszką przystojną, wykształconą, ale biegłą w intrydze, stało się wypadkiem niemałego znaczenia. „Władca, który nie znał litości, ani miłosierdzia, powiada autor (str. 238), był słabym jako mąż.“ Odtąd zapuszcza się Maciéj w odmęt walk i komeraży politycznych włoskich, formuje najdziwniejsze, wprost fantastyczne sojusze i plany np. ze Szwajcarami, lub z księciem Burgundyi przeciwko Ludwikowi XI, królowi francuskiemu, z którym gotów był nawet wojnę prowadzić, mając na głowie Turków i Austryę. Posłał dwa oddziały wojska swego do Neapolu na służbę u teścia, przyjął protektorat nad m. Ankoną i wszczął ostre zatargi z papieżami; była chwila, że o mało nie wypowiedział obedyencyi Innocentemu VIII-mu (str. 228). Będąc biskupem katolickim, szan. autor mówi o papieżach z drugiéj połowy XV w. zbyt wstrzemięźliwie, nie wspominając wcale o ich nepotyzmie i demoralizacyi owoczesnego Rzymu; stąd rachunek Macieja może być obciążony nad istotną winę. Niemniéj wszakże potępienia godną jest samowola, z jaką Maciéj osadzał na stolicy arcybiskupiéj krewniaków swojéj żony: najprzód 14-letniego Jana Aragońskiego (w r. 1477), na którym oprócz wieku niewłaściwego, ciążyła jeszcze przeszkoda kanoniczna nieprawego urodzenia; a po jego śmier-

ci w r. 1485, jeszcze młodszego, bo 7-letniego Hipolita Este z Ferrary, siostrzeńca Beatryksy, odsuwając kandydata papieskiego Rodryga Borgia. Niewielki byłby dla kościoła pożytek i z tego kandydata, ponieważ był nim człowiek straszny, późniejszy papież Aleksander VI-ty; ale niepodobna zaprzeczyć słuszności autorowi, gdy mówi z oburzeniem o dworakach, którzy całowali nadesłany z Włoch portret malca-arcybiskupa, i dodaje głęboką uwagę, że „niewolnicy hodują tyranów“ (str. 288). Wzajemnie, tyrania, dodalibyśmy, wytwarza te wstrętne objawy niewolnictwa.

Związek małżeński z Beatryksą był niepłodny, ale Maciéj miał nieprawego syna, Jana, któremu pragnął przekazać koronę. Było to ostatnim celem jego namiętnych wysileń, paraliżowanych po części przez żonę, a bardziéj jeszcze przez niechęć możnowładców. Maciéj dopuścił się jeszcze jednego pogwałcenia praw i własności narodowéj, oddając synowi mnóstwo dóbr, zamków, stolicę, skarb i archiwum państwowe, ale śmierć niespodzianie przeszkodziła mu w dokonaniu uzurpacyi. Zaledwo skończyły się obrzędy pogrzebu i przewiezienia zwłok z Wiednia do Białogrodu królewskiego na Węgrzech, gdy jeden z najbliższych pomocników, najdzielniejszy z dowódców wojska, komendant Wiednia i namiestnik Austryi, Stefan Zapolya, wydał odezwę do narodu węgierskiego, aby skuteczniéj ubezpieczył zniweczone swobody swoje. Dowiadujemy się jeszcze (str. 272), że inaczéj usposobiony namiestnik Macieja na Szląsku został ścięty w tym samym Wrocławiu, który niegdyś tak wytrwale bronił jego tytułów przed Jagiellonami.

Na têm zakończył szan. autor swoją opowieść o politycznym zawodzie Macieja. Dla czytelnika węgierskiego nie potrzebował dodawać, że nie Jan Korwin otrzymał koronę św. Stefana, lecz upokorzony pod Wrocławiem Władysław. Zakres tematu nie obowiązywał do zgłębiania radykalnie przeciwnego systematu, którego reprezentantem był Jagiellończyk, a któremu zawdzięczał wyniesienie swoje. Trudneby to było zresztą zadanie dla badacza obcego, kiedy historyografia polska nie uporała się dotychczas z panowaniem Kazimierza IV. Jedynym doradcą d-ra Fraknói był prof. Caro (tom V, *Geschichte Polens*), a chociaż to jest doradca znakomity i w nauce zasłużony, jednakże wyrozumiéć go należycie nie jest rzeczą łatwą, gdy się nie zna całéj genezy państwa jagiellońskiego.

Znajdujemy jeszcze obszerny rozdział, charakteryzujący Macieja, jako męża stanu, wojownika i mecenasa literatury. Jest tu wiele wiadomości nowych z materyałów, uzbiéranych skrzętnie w ostatnich czasach. Nie starczy ich wszakże do powzięcia dokład-

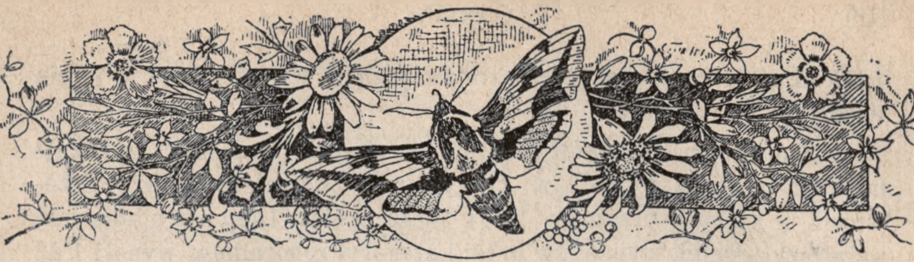
nego wyobrażenia o sile finansowéj skarbu królewskiego i o skutku przeprowadzonych reform. Maciéj pobierał grube subsydya na wojnę turecką od papieża i Wenecyi; pomimo to znajdują się raz po raz długi i zawikłania pieniężne. O wojskowości dowiadujemy się, że sławiony, jako armia regularna, czarny legion, czyli czarna banda (*Schwarze Schaar*), utworzona pierwotnie z najemnych Czechów kondotyera Giskry, pomnożyła się Madyarami i Polakami, pobierała żołd stale, a składała się z konnicy ciężkiéj, pancernéj i lekkiéj—huzarów; nadto byli arkebuzyerowie, uzbrojeni w broń palną. Karność w szeregach nie zabezpieczała mieszkańców od swawoli żołdackiéj po za obozem. Razem z banderyami i pospolitém ruszeniem oblicza autor siłę militarną Macieja na 93,000 Węgrów, którym towarzyszyć miało 70,000 hołdownych Mołdawian i Wołochów. Rachunek, nie oparty na danych szczegółowych, zdaje się być mocno przesadzonym, gdy największa liczba, jaką wyprowadził Maciéj w pole (1463 r.) na Turków wynosiła 19,000 jazdy i piechoty (str. 95); miał uzbroić 60,000 w r. 1475 i kazał lać wielkie działa, ale rezultat wyprawy—zdobycie Szabacsu, bronionego przez 1,200 Turków (str. 179), nie stwierdza wykonania owéj zapowiedzi. Również wątpliwą mi się wydaje potęga floty o 364 galerach i 10,000 żołnierzy na załodze (str. 278), bo nie znalazłem w książce żadnéj akcyi morskiéj, do któréj nastręczał właśnie okazyę spór z Wenecyą o dalmackie wybrzeża. Do właściwego zużytkowania tych urywkowych informacyi źródłowych doszedłby może wojskowy z fachu, sztabowiec, z historyą dobrze obeznany. Bez zarzutu jest opracowany ustęp o renesansowéj literaturze i sztuce na wytwornym dworze Macieja, oraz o jego słynnéj bibliotece. Jako biegły bibliograf, autor wchodzi w rozbiór kwestyi, czy mają ci słuszność, którzy twierdzą, że kodeksy korwińskie małéj są wartości, ponieważ były sporządzane w wielkim kaligraficznym zakładzie florenckim i roją się od pomyłek przepisywaczy? Nie formułując ogólnego zaprzeczenia, prostuje zarzuty o tyle, że Maciéj nabywał téż oryginalne rękopismy w różnych krajach Europy, a nawet w Azyi Mniejszéj i że podług jego kodeksów wyszły pierwodruki Juwenala i Festusa Pompejusza. Sztuki drukarskiéj Maciéj nie protegował i założona w Peszcie drukarnia (1473 r.) istniała zaledwo lat parę. Założenie uniwersytetu w Presburgu (*Academia Istropolitana*) nie było téż zasługą Macieja, lecz Jana Witeza, arcybiskupa ostrzyhomskiego. Więc i w zakresie mecenasostwa odpadło dużo liści z wieńca wawrzynowego, jakim przyozdabiali dotychczas historycy węgierscy posągową głowę Macieja. Zamykając książkę, ku uczczeniu 400-letniéj rocznicy zgonu jego wydaną, czytelnikowi nasunie się zapewne pytanie: czemużto Jan

Hunyady, który nie umiał ani słówka po łacinie, zaskarbił sobie tyle uwielbienia i wdzięczności u narodu, że synowi jego koronę dano, a ten syn, wykształcony przez humanistów, przez rzeźbiarzy portretowany, przez wierszopisarzy i oratorów sławiony, nie mógł przekazać już posiadanéj korony swemu synowi w czasach, kiedy nieprawe urodzenie nie stanowiło przeszkody nieprzebytéj, jak np. dla ojca królowéj Beatryksy? Wrażenia ostatnie nabierają tém więcéj ponurego tonu, że dziś o pałacach i posągach Macieja dowiadujemy się tylko z opisu, a kodeksy jego są rozrzucone po całéj Europie. Katastrofa z XVI wieku obaliła gmachy razem z królestwem niepodległém.

Na krótkotrwałość, na znikomość dzieł Macieja Korwina zwracał uwagę Horváth, lecz twierdził przytém, że mogłyby się one utrwalić, gdyby następca jego chciał i umiał je utrzymać dla drugiego pokolenia, pierwsze bowiem nie zrozumiało urządzeń monarchii nowożytnéj. Nie przypominam sobie, czy takie „gdyby“ iściło się gdziekolwiek w historyi innych narodów, które otrzymały nowe formy bytu od wielkich założycieli lub reformatorów swoich. Dr. Fraknói nie porusza takiéj tezy, a jednak daje rozwiązanie trafniejsze i lepiéj uzasadnione. Jest-to nagroda za ścisłe wykonanie przepisów metody historycznéj, albowiem pod względem heurystyki, krytyki i kompozycyi, a przedewszystkiém ze względu na męstwo w dociekaniu i wygłaszaniu szczeréj prawdy, monografia jego jest dziełem wzorowém. Nadmienić też warto, że systematyczność przezroczysta układu, jasność wykładu i szlachetna prostota stylu czyni je poczytném i zajmującém dla kół szerokich.

Tadeusz Korzon.





WYNIKI UBEZPIECZENIA ROBOTNIKÓW

W NIEMCZECH.

Przed kilku tygodniami centralny urząd ubezpieczenia robotników w Niemczech przedstawił parlamentowi obszerne sprawozdanie rachunkowe z czynności związków zawodowych (*Berufsgenossenschaften*) za rok 1890-ty. Dane statystyczne, wyłuszczone w tym memoryale, tak są interesujące i taką mają doniosłość społeczną, iż uważamy za pożyteczne najważniejsze z nich podać poniżej wedle streszczenia i ugrupowania Dr. F. Megerki, generalnego inspektora przemysłowego w Austryi.

W porównaniu z rokiem 1889 nie zmieniła się liczba związków, do których wedle zawodów należą przymusowo ubezpieczani robotnicy. Związków takich jest obecnie 112 z tego 64 przemysłowych a 48 związków robotników rolnych.

Do związków przemysłowych należało 390,622 zakładów (1889: 372,236) i 4,888,790 ubezpieczonych osób (1889: 4,718,822).

Na 1,000 ubezpieczonych wypada przeciętnie 13.94 wypadków poranienia i skaleczenia, o których doniesiono zakładom ubezpieczeń, z tego 30.28 (1889: 29.42) w przemyśle, a 3.98 (1889: 2.43) śród robotników rolnych.

Największą cyfrę nieszczęśliwych wypadków wykazuje westfalsko-reński związek hut walcowni żelaza a mianowicie 107.53 na tysiąc (1889: 115.4 na tysiąc), najniższą, związek robotników tabacznych 2.26 na tysiąc. W dwudziestu pięciu związkach wynosi liczba wy-

padków 30 na tysiąc, w czternastu związkach więcéj niż 40, w pięciu więcéj niż 60 na tysiąc.

Z pomiędzy związków robotników nie-przemysłowych wykazuje największą liczbę wypadków Oldenburski związek robotników drzewnych, u których przypada 12.44 nieszczęść na 1000 zatrudnionych; najniższy odsetek wypadków w téj kategoryi robotników wynosi 1.23 na 1000.

Niesłychaną ważność dla inspektoratów fabrycznych posiada statystyka co do sposobu powstania i rodzaju wypadków. Podajemy poniżéj taką tabelkę statystyczną w odsetkach ($^1/_{100}$) dla związku westfalsko-reńskiego hut i walcowni żelaza (I), związku przemysłu chemicznego (II), związku słodowni i browarów (III), oraz związku przemysłu drzewnego w północnych Niemczech (IV):

	I.	II.	III.	IV.
Na 100 wypadków powstaje przez motory, transmissye, machiny robocze . .	19.3	24.7	13.4	57.1
Elewatory, windy, dźwignie, krany . .	5.3	3.8	4.1	1.7
Kotły parowe, parowe aparaty do gotowania, i eksplozye parowych aparatów i kotłów	0.5	0.6	0.7	0.1
Materye wybuchowe	0.1	3.0	—	—
Substancye zapalne, parzące i źrące, gazy i wyziewy	13.1	17.8	1.0	0.3
Załamanie się, spadanie i wywracanie przedmiotów	18.5	9.7	8.4	7.2
Upadek z drabin, schodów, stopni, luk i piąter	10.5	11.9	21.9	6.7
Naładowywanie wozów i noszenie . . .	10.6	11.6	5.0	14.2
Wozy w ruchu	2.6	6.3	14.6	5.7
Koleje w ruchu	4.1	1.4	0.2	0.6
Młoty, świdry, siekiery i inne narzędzia proste	4.0	3.3	—	3.8
Inne wypadki	11.0	9.7	30.1	2.4.

Na 100 wypadków w zawodach nie-przemysłowych powstaje 13.9 przez motory i transmisye, 0.2 przez elewatory i windy, 0.3 przez materye wybuchowe, 0.1 przez substancye parzące lub źrące, 8.1 przez załamanie i spadanie przedmiotów, 24.3 przez upadek z drabin i schodów, 5 przez ładowanie wozów, 20.4 przez wozy w ruchu, 0.1 przez środki do komunikacyi wodnéj, 12.0 przez zwierzęta, 9.3 z rozmaitych innych powodów.

Jakież są skutki tych wypadków?

Ogólna liczba skaleczonych, którym w ciągu roku 1890 wypłacono wynagrodzenie za wypadek, wynosiła w związkach 38976 osób, czyli 2.99 na tysiąc ubezpieczonych (wypadków zgłoszonych było jak poprzednio wspomnieliśmy 13.94 na tysiąc). Z tego przypada 26403 osób, czyli 5.36 *pro mille* na przemysłowe związki a 12573 osób czyli 1.55 *pro mille* na nie-przemysłowych (rolnych) robotników.

Z téj liczby skaleczonych uznano za zupełnie niezdolnych do pracy 1869 osób (438 robotników rolnych), za stale upośledzonych w zdolności do pracy 21513 (5404 robotników rolnych), za czasowo niezdolnych do zarobkowania 9682 (4854 robotników rolnych).

Zabitych było 5474 osób (1877 robotników rolnych).

Liczba osób uprawnionych do poboru wynagrodzenia a pozostałych po zabitych robotnikach wynosiła 10151 (1889: 9379), z tego 3277 wdów (1128 po robotnikach rolnych), 6607 dzieci (1883 po robotnikach rolnych) i 267 wstępnych, ojców, matek, dziadów etc. (66 po robotnikach rolnych).

Ogółem wypłacono tytułem wynagrodzenia za nieszczęśliwe wypadki 1890 roku 18,208,842 marek, z czego przypada 1,878,457 marek na związki robotników rolnych. W roku 1889 wypłacono ogółem 12,956,410 marek 32 fen. a z tego dla robotników rolnych 678,258 marek 87 fen.

Ta ogólna kwota 18,208,842 marek rozpada się na następujące pozycye, przyczem cyfry odnoszące się do robotników rolnych podajemy w nawiasie:

Koszta leczenia rannych	717,759 m.	94 fen.	(91,032 m.	3 fen.)
Renta wypłacona rannym	12,120,650 „	68 „	(1,288,371 „	52 „)
Koszta pogrzebu	254,327 „	92 „	(57,340 „	35 „)
Pensye dla wdów po zabitych robotnikach	1,392,048 „	65 „	(134,098 „	40 „)
Jednorazowe wynagrodzenie dla wdów wychodzących powtórnie za mąż.	215,945 „	99 „	(11,034 „	30 „)
Pensye dla dzieci pozostałych po zabitych robotnikach . . .	2,123,157 „	86 „	(155,640 „	15 „)
Pensye dla wstępnych krewnych po zabitych.	112,864 „	43 „	(5.221 „	58 „)
Pensye dla żon robotników, których leczono w szpitalach . . .	104,695 „	61 „	(6,137 „	48 „)
Pensye dla dzieci takich robotników	157,921 „	92 „	(8,559 „	80 „)
Pensye dla wstępnych takich robotników	5,338 „	80 „	(186 „	66 „)

Koszta leczenia w szpitalach. . .	886,810 „ 61 „	(120,512 „ 95 „)
Jednorazowe wynagrodzenia dla obcokrajowych	117.319 „ 80 „	(320 „ — „).

Przynajmniéj równą, jeśli nie większą doniosłość społeczną, przyznać należy kosztom, poniesionym celem zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom. Koszta te wynoszą 341,525 m. 48 fen. a na tę sumę składają się koszta nadzoru zakładów fabrycznych, koszta spowodowane wydaniem przepisów, mających na celu zapobieżenie wypadkom, premie za niesienie pomocy robotnikom, dotkniętym nieszczęśliwym wypadkiem i za zapobieganie takowym, wreszcie koszta spowodowane pieczą nad rannymi robotnikami w pierwszych 13 tygodniach po wypadku.

Następném pytaniem, które się nasuwa uwadze, jest wysokość kosztów łożonych na utrzymanie w ruchu i administracyę całego aparatu ubezpieczeniowego, objawiającego swą zbawienną działalność na tak rozmaitych polach i operującego tak wielkiemi sumami.

Koszta te są stosunkowo wysokie. Wynoszą one za rok 4,654,154 m. 87 fen., z czego przypada 859,920 marek na ubezpieczenie robotników rolnych. Suma ta powstała częścią z kosztów inwestycyi częścią z wydatków bieżących jako to z kosztów podróży i dyet wydziałowych mężów zaufania i przewodniczących poszczególnych sekcyi, z wydatków na pensye dla urzędników i dla służby, z wydatków na komorne, opał, oświetlenie, druki i t. p. W roku 1889 wynosiły te koszta razem łączną sumę 4,211,361 m. 97 fen.

Bezwzględna cyfra wysokości wydatków poniesionych na administracyę nie daje atoli wiernego obrazu kosztowności téj administracyi. Dokładniéj może nas o tém pouczyć rozdział ogólnych kosztów wedle cyfry ubezpieczonych. Z bieżących kosztów administracyjnych przypada na każdego ubezpieczonego rocznie 75 fenigów, na każde 1000 marek zarobków pobieranych przez ubezpieczanych robotników 1 marka 16 fen., na każdy zakład przemysłowy lub fabryczny 9 marek 47 fen., wreszcie na każdy zgłoszony wypadek 24 m. 80 fen. W roku 1889 koszta administracyjne, obliczone w ten sposób, były względnie wyższe, czyli administracya była droższa, zwłaszcza o ile się tyczyła faktycznie zgłoszonych wypadków (w 1890 — 24 m. 80 fen., w 1888: 25 m. 37 fen.).

Cyfry powyższe obliczone są jako ogólne przeciętne, bez wyróżnienia poszczególnych związków zawodowych. Przy poszczególnych zawodach przedstawiają się te stosunkowe cyfry zupełnie inaczéj. Tak

np. przypada na każde przedsiębiorstwo w związku kolei prywatnych kwota 141 m. 42 fen., w reńsko-westfalskim związku przemysłu żelaznego — 140 m. 96 fen. a na każde przedsiębiorstwo we wschodnio-niemieckim związku żeglugi na jeziorach i rzekach — 2 m. 29 fen. Koszta administracyjne spowodowane każdym wypadkiem w związku majstrów kominiarskich państwa niemieckiego wynoszą 259 m. 30 fen. a takież koszta każdego wypadku w reńsko-westfalskim związku przemysłu żelaznego 3 m. 74 fen. Na każde 1000 marek zarobku opłaconego ubezpieczonym członkom związku kominiarzy przypada 6 m. 2 fen. kosztów, na takąż cyfrę zarobków przemysłu jedwabniczego tylko 33 fenigi, na każdego członka związku kominiarskiego 3 m. 56 fen. a na każdego członka związku jedwabniczego 20 fen.

Tak więc cyfry przedstawiające koszta administracyi w poszczególnych związkach wahają się w bardzo oddalonych od siebie granicach zależnych od częstości wypadków, liczby ubezpieczonych, terytoryalnéj rozciągłości związku i wielu innych czynników, których działanie się zaciéra przy rozpatrywaniu cyfr przeciętnych.

Oprócz związków zawodowych istnieją jeszcze w Niemczech, jak wiadomo: 1) związki państwowe oraz władze wykonawcze prowincyonalne i gminne, tudzież 2) 13 zakładów ubezpieczeń dla robotników, należących do związku przemysłu budowlanego, działające jako organa ubezpieczenia państwowego.

Do związków tych należało w roku 1890 — 604,380 osób, którym wypłacono tytułem wynagrodzenia 1,866,703 m. 13 fen.; koszta administracyi wynosiły 8,014 m. 29 fen.; koszta badania wypadków, koszta dochodzeń przy ustaleniu wysokości wynagrodzenia, koszta sądów rozjemczych i koszta zapobiegania wypadkom wynosiły razem 48,682 marek 3 fenigi. W ciągu roku zgłoszono wypadków 17,332, wypłacono wynagrodzenie 2,444 osobom. W 13 zakładach ubezpieczenia dla robotników budowlanych wypłacono tytułem wynagrodzenia 239,774 m. 19 fen., zgłoszono 1295 wypadków, z których 618 uznano za uzasadniające pretensyę do wynagrodzenia.

Jakiż jest ostateczny wynik, jaki sens moralny téj statystyki jednorocznéj pracy robotniczéj ludności Niemiec?

Cyfry dosadniéj tu przemówią niż wszelkie zwroty krasomówcze. 200,000 ludzi rannych, 6,047 zabitych, 2,708 kalek, całkowicie niezdolnych do pracy. Po zmarłych pozostało 11,337 wdów, 7,348 dzieci, 302 pozbawionych środków do życia

wstępnych. Wynagrodzenie wypłacono 42,038 osób w ogólnéj kwocie 20,315,319 marek 55 fen. (w 1889: 14,464,303 m. 15 fen.).

Pole pokojowéj jednorocznéj pracy przemysłowéj w Niemczech przedstawia się jak straszliwe pobojowisko pełne jęków i krwi ludzkiéj. Setki tysięcy rannych, tysiące zabitych i dziesiątki tysięcy niezdolnych do pracy kalek, wdów i sierot ogołoconych ze środków do życia, oto jednoroczny dorobek pracy przemysłowéj!

A należy tu jeszcze dla uzupełnienia obrazu wspomnieć, że zestawienia te, na urzędowych źródłach oparte, pomijają skutki tak zwanych zawodowych chorób (choroby oczu, krtani, i płuc przez wdychiwanie opiłek i pyłu, przewlekłe zatrucia wskutek wdychiwania szkodliwych gazów i dotykania szkodliwych metali jak ołów, rtęć, antymon, bismut i in.), których ofiar nie liczy żadna statystyka i które nie stanowią téż tytułu do żądania wynagrodzenia.

Wobec tych wyników „pokojowéj“ pracy, znika groza najstraszliwszych katastrof i najkrwawszych bitew. Ofiary, które pożéra rok w rok nienasycony moloch przemysłu, giną bez rozgłosu wśród ciężkiéj pracy na kawałek chleba, wśród trudów i znojów, nie uniesione żadnym ożywczym prądem idei, którąby im lekką czyniła tę ze zdrowia i życia niesioną ofiarę. Armia robotnicza niemiecka, owe pięć milionów ludzi, które pracują nad zaspokojeniem potrzeb czterdziestokilkomilionowego narodu, poczyna nowy rok pracy z tą pewnością, że po całorocznych mozołach czeka ją pewne zdziesiątkowanie. Jakież ma stanowisko zająć wobec tego społeczeństwo? Drogę, która prowadzi do zmniejszenia niedoli robotniczéj, jasno wskazuje statystyka.

Przeważna większość wypadków nie jest spowodowana niebezpieczeństwem związaném koniecznie z pracą fabryczną, ale niehygieniczném urządzeniem fabryk. Niedostateczna wentylacya, za słabe oświetlenie korytarzy i schodów fabrycznych, zbytnia stromość rusztowań, niewprowadzenie mechanicznych środków transportu w pracowniach metalurgicznych, nieotoczenie siatką motorów w ruchu i rusztowań — oto cały szereg wykroczeń przeciw hygienie fabrycznéj, spowodowanych niewczesną oszczędnością, a każde z nich zwiększa procent robotników, padających ofiarą zawodu. To źródło złego, da się, jak wykazują próby poczynione przez administracyę państwową w Austryi i Francyi, usunąć przez wprowadzenie inspektoratów fabrycznych i sprężystą kontrolę nad sanitarném urządzeniem fabryk, która w praktyce musi zastąpić niedosyć silne nie-

raz u fabrykanta poczucie obowiązku i odpowiedzialność wobec robotników.

Liczba nieszczęśliwych wypadków w fabrykach stanowczo da się zmniejszyć, a ze zmniejszeniem liczby ofiar pracy zrodzi się także możność lepszego zaopatrzenia tych nieszczęśliwych, którzy dzisiaj przy zapomogach udzielanych przez instytucyę zabezpieczenia prowadzą życie stanowczo gorsze od losu zbrodniarza, trzymanego w więzieniu.

Dr. A. B.

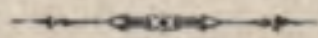




REPREZENTACYA STANOWA

w rozwoju historycznym

(od XV-go do XVIII-go wieku).



(Dokończenie) *).

III.

Poczucie łączności wśród stanów. — Władza publiczna reprezentacyi stanowéj. — Uchwalenie pomocy w podatku.—Nierówność rozdziału podatków. — Postrach turecki. — Gravamina i klauzule. — Szafunek. — Zarząd wojskowością. — Wszechwładztwo reprezentacyi,

Po przedstawieniu zasad i form organizacyi stanowéj, zdawać-by się mogło, że sejmujących stanów nie ożywiał nigdy duch jedności reprezentacyjnéj, wszczepiający poczucie samoistnéj korporacyi w poszczególne stany, wsparte na odrębnych interesach socyalnych i odmiennym zawodzie życia. Tymczasem pomimo zasad, osłaniających nadmierną opieką sferę indywidualno-stanową i pomimo form, dających przewagę częściom składowym nad całym sejmem i sejmikiem, poczucie jedności i łączności wszystkich stanów sejmujących istniało i rozwijało się prawie równomiernie z wzrastaniem władzy monarchicznéj. Zbliżenie się wzajemne stanów i porozumienie co do wspólnego działania w przyszłości, nakazane było własnym interesem, oraz nadzieją wymuszenia obszerniejszych przywilejów na władzy królewskiéj. Konfederacye, omawiające ze zjazdami królewskie-

*) Ob. „Ateneum“ zesz. sierpniowy r. b., str. 366.

mi wieczysty pokój w całém państwie, dały początek zjednoczeniu się wszystkich stanów w oddzielną korporacyę, noszącą charakter prywatny strony, która z drugą stroną, t. j. z władzą monarchiczną, wiodła spór i zawierała ugodę na dogodnych dla siebie warunkach. Już w ciągu XV-go wieku, przekonać się mogły wszystkie stany, że odosobnione działanie musi je, prędzéj lub późniéj, narazić na utratę przywilejów i zdać na łaskę panującego. Królowie bowiem wyzyskiwali zręcznie niesnaski stanów, sprzymierzali się z jednym na niekorzyść drugiego, a następnie i możnego sojusznika zmuszali do uległości. Tym sposobem, nie wyrobiwszy w sobie wcześnie poczucia samodzielności korporacyjnéj, stany brandeburskie i pomorskie utraciły w drugiéj połowie XV-go wieku swą niezależność, a miasto Berlin daremnie usiłowało obronić swój samorząd już w r. 1442.

Twarda konieczność zatém zmuszała stany do usunięcia na stronę współzawodnictwa socyalno-ekonomicznego i do stowarzyszania się w samoistną korporacyę, aby władzy królewskiéj stawić czoło i zmusić ją do poszanowania zawartych ugód i udzielonych dawniéj przywilejów. Świadomość wspólnych zadań i celów, prowadząca do zespolenia się w jedną całość, wytworzyła w następstwie oryginalną teoryę prawa państwowego, przechowującą w swéj głębi wiele pierwiastków prawa prywatnego. Przedewszystkiém sejmujące stany dostrzegły prędko, że w połączeniu uosabiają nietylko całą ludność, lecz i całe terytoryum krainy czy ziemi, a więc nietylko wyłączne interesy pojedyńczych warstw. Stany sejmujące przybierały też nazwę danéj ziemi czyli krainy (*Landschaft*), dla uplastycznienia pojęcia, że reprezentują ludność wraz z terytoryum pewnéj prowincyi, ale w tém pojęciu polityczna jedność krainy rozwijała się powoli, a długo występowała na pierwszy plan każda prowincya, jako zbiorowisko prywatnych własności ziemi, oraz interesów osobistych. Ponieważ każdy stan z osobna był podmiotem praw publiczno-prywatnych, przeto i stany sejmujące lub sejmikujące, uważały się za korporacyę, będącą takimże samym podmiotem praw i zawierającą z monarchą ugodę, jako strona zupełnie równouprawniona. Słynna pozostanie formuła, którą stany aragońskie witały króla, wstępującego na tron i z niéj przekonać się można, że co najmniéj uważały się za potęgę równą monarsze i że zawierały z nim ugodę, jak strona ze stroną. „My, którzy znaczymy tyle, co ty, a nawet i więcéj możemy, niż ty, czynimy cię naszym królem i panem, pod tym warunkiem, abyś nam nasze prawa zachował. Jeżeli nie, to nie.“ Następstwem politycznéj teoryi, która w zasadzie aragońskiéj znalazła najdobitniejszy wyraz, było poniżenie majestatu królewskiego do poziomu odrębnego

stanu, z którym się rozprawiano, jakby ze stroną, stosując przytém konsekwencye prawa prywatnego. Charakter uprzywilejowanego stanu, równego innym, narzucono władzy królewskiéj w daleko wyższym stopniu tam, gdzie dochowała się monarchia elekcyjna. Natura wyborów zaostrzyła jeszcze bardziéj stosunek stanów do elekta i dając elektorom poczucie samodzielności, wybranego monarchę skazywała na zależność, objawiającą się w wystawianiu przeróżnych rewersów elekcyjnych, zawieraniu *pactów conventów* i w uprzedniém zatwierdzaniu wszystkich dawniejszych przywilejów.

Wogóle jednak, stosunek sejmujących stanów do monarchy przyoblekał się w początkach XVI-go wieku w szatę bilateralnéj ugody, którą jedynie za wspólném porozumieniem i zgodą obu stron zmodyfikować było wolno. Obowiązki określone ugodą winny były obie strony wypełnić skrupulatnie i w dobréj wierze. Jeżeli zaś monarcha zaniechał przyrzeczonych zobowiązań i ponad ugodę obciążał wymaganiami krainy, wówczas sejmującym i sejmikującym stanom przysługiwało prawo wypowiedzenia mu posłuszeństwa, a w ostateczności prawo zbrojnego oporu, połączone z możnością pociągnięcia monarchy do odpowiedzialności, do złożenia go z tronu i wezwania obcego panującego do rządów. Stany duńskie posunęły się nawet tak daleko, że przywiléj powyższy uważały nietylko za prawo, ale za jeden z najkardynalniejszych obowiązków, a stany bawarskie zapatrywały się na prawo obrony, jako na niewzruszalny dar natury, którego im ani cesarz, ani papież odebrać nie może. Monarchizm tak samo, w razie złamania ugody przez stany, cofał udzielone przywileje na czas pewien, albo je téż uszczuplał na zawsze. Postępowanie surowsze lub łagodniejsze było naturalnie zależném od mocy, do jakiéj się królowie wobec reprezentacyi stanowéj poczuwali. Świadomość łączności korporacyjnéj wśród stanów, wyrobiona głównie w walce z monarchizmem, doprowadziła do tego rezultatu, że sejmy i sejmiki stanowe, jako organy państwowe, uważały się za potęgę tak samodzielną, iż przez czas dość długi zdawały się wobec monarchy tworzyć odrębne państwo i współrzędną władzę zwierzchniczą. Najdosadniéj uprzytomni się téż różnica między sejmującemi stanami a systemem reprezentacyjnym państw konstytucyjnych, który panujących i poddanych łączy w jedną polityczną całość, gdy się przedstawi zakres uprawnień i atrybucyi zarówno sejmów, jak i sejmików stanowych.

Najważniejszém źródłem, z którego wypłynęła, a następnie w pełni rozwinęła się władza reprezentacyi stanowéj, zarówno krajowéj, jak i prowincyonalnéj, były przywileje oraz imunitaty, przelewające na możnowładztwo moc nakładania podatków. Im więcéj włas-

ność dominialna przybierała kształty miniaturowego państewka, tém zubożenie monarchizmu stawało się widoczniejszém, a tém samém możność wykonania zadań publicznych, słabszą. Królowie pozostali nadal wielkimi właścicielami ziemi i przysługiwał im tradycyjnie pobór powyższych opłat i podatków, któremi, zarówno jak i dochodem z ziemi, dowolnie rozporządzać mogli; ale powyższe źródła finansowe nie wystarczały na zaspokojenie potrzeb publicznych, ani na zabezpieczenie bytu państwa. Konieczność zatém nakazywała odwoływać się do pomocy poddanych; tymczasem poddani pozyskali przywileje, zwalniające ich osobiście od podatków na rzecz panującego, a co ważniejsza, pozyskali moc nakładania podatków na swych poddanych. Egoizm stanowy więc musiał utrudniać w wielu razach otrzymanie pomocy, lub czynić ją niedostateczną; ale taż sama konieczność, która panujących zniewalała do szukania nowych źródeł finansowych, nakazywała uprzywilejowanym stanom uważać istnienie państwa i wykonanie zadań politycznych, uosabianych przez monarchizm, za interes i sprawę wspólną. Na każdym kroku przypominała się prawda, głosząca, że unicestwienie podatków pociągnie za sobą nieodzownie upadek państwa, a tém samém stanów; nie było zatém innego rozwiązania palącéj nieustannie kwestyi, jak wszystkim naradzać się nad sprawami obchodzącemi wszystkich i uchwalić środki zapobiegające ogólnéj zagładzie (*que ce qui touchait un chacun fut consenti par un chacun*). Pierwszém więc prawem reprezentacyi stanowéj było uchwalanie pomocy nadzwyczajnéj monarsze: bądź to w formie podatku, bądź to w postaci sił militarnych. Przeważnie kłopoty finansowe skłaniają monarchizm w XV-ym wieku do częstego zwoływania sejmów i sejmików stanowych. Niekiedy reprezentacya prowincyonalna lub krajowa powoływana bywa dwa lub trzy razy do roku, co skłania stany do wyrzekań, że prawo uczestniczenia w sejmach stało się niezmiernie uciążliwym obowiązkiem. Pomoc wszakże uchwalona na sejmach nosiła charakter prawno-prywatnego zobowiązania, płynącego z umowy zawartéj między monarchą a stanami. Wszelki przymus, czyli obowiązek płacenia podatku, będący pierwiastkiem prawa państwowego, zniknął w wieku XV-ym, a natomiast zjawia się pojęcie własnowolnéj ofiary, składanéj z dobréj woli i serca, a nie w imię obowiązku (*aus Gutwilligkeit und nicht aus Pflicht — di grazia speciale, di oferta gratuita*), panującym.

Właśnie w zrozumieniu doniosłości podatku, oraz prawa uchwalania onego, tkwi jedna z najkardynalniejszych różnic między prawem państwowém Anglii, a konstytucyami stanowemi europejskiego kontynentu. W Anglii bowiem już w wieku XIII-ym uważano podatek

za wyrażenie publicznego obowiązku (*öffentliches Recht — öffentliche Pflicht*) i takie samo miano pojęcie o uchwalaniu podatku, gdy tymczasem konstytucye stałego lądu, jak to wybornie terminologia czeska wyraziła, od podatku nie oddzielały dobrowolności, a od uchwalenia go, pomocy, będącéj następstwem ugody, zawartéj z monarchą. Monarchizm walczył nieustannie z prawno-prywatném pojmowaniem podatku, ale dopóki egzystencya stanów nie została przez oświecony absolutyzm podkopaną, trwała w całéj mocy zasada: „*qu'il n'y a ni roi, ni seigneur qui ait pouvoir, outre son domaine, de mettre un denier sur ses sujets sans octroi et consentement de ceux, qui le doivent payer, sinon par tyrannie et violence*“. Zdarzały się niekiedy wypadki, że wśród sejmików lub sejmów błysnęła myśl, dowodząca, że podatek powinien być uchwalonym „*que l'impôt doit etre consenti*“, albo że nie odmawiano tradycyjnie pomocy monarsze, choćby nawet nie usunął powodów do skarg i zażaleń, ale myśli prawdziwie polityczne znikały szybko, a i te prowincye, które nie opuszczały panujących w potrzebie, trzymały się uporczywie teoryi zapożyczonéj z prawa prywatnego, w imię któréj domagały się, aby monarcha przysiągł: „*de ne rien prendre à ses sujets et de ne rien consentir sans leur volonté*“, aby nietylko podatku, ale i pożyczki nie domagał się zbyt natarczywie, gdyż „*nul n'etait tenu de prêter au seigneur*“, a w końcu, aby solennie zobowiązał się szanować swobody i przywileje stanów, nie przedsiębiorąc nic ku ich szkodzie.

Prawo uchwalania podatków, czyli pomocy, przysługujące reprezentacyi krajowéj i prowincyonalnéj, nie dotyczyło bynajmniéj tych opłat i ciężarów, które władza królewska pobierała własném prawem. Przyzwolenia na czerpanie ze swoich źródeł finansowych monarchizm nie potrzebował; chodziło jednak o uchwalenie nowych ciężarów: „*pour tout ce qui touchait aux impositions nouvelles*, czyli, jak trafnie określił Gierke, o ową: „*Mehrleistung*“, zależną od dobréj woli, stanowéj reprezentacyi, a która była niezbędnie potrzebna do wykonania zadań państwowych. Do jakiego stopnia sejmy lub sejmiki były zazdrosne o prawo uchwalania nowych podatków i ciężarów, dowodzi fakt, że nawet stałym deputacyom stanowym nie przysługiwało prawo uchwalania tychże, a na doradcach korony lub członkach reprezentacyi wywierały sejmy niepohamowany gniéw, domagając się np. aby wszyscy, co radzili Ludwikowi XIII-mu francuskiemu żądania nowych podatków, byli skazani na śmierć, lub żeby biskup, podający myśl utworzenia stałego funduszu, przeznaczonego na zaciąg wojsk, był wrzucony do wody.

Pierwiastki prawno-prywatne, jakie tkwiły we władzy uchwala-

nia pomocy, wytworzyły w nieuniknionéj konieczności prawo odmawiania panującym środków materyalnych. Dobrowolność ofiary w nieubłaganém następstwie wykluczała wszelki przymus, a jakkolwiek monarchizm walczył uporczywie z interpretacyą w duchu prawa prywatnego i to walczył tém energiczniéj, im bardziéj czuł się wzmocnionym, niemniéj jednak w historyi każdéj konstytucyi stanowéj spotykać się dają wypadki, w których sejmy i sejmiki, bez względu na niebezpieczeństwa grożące całemu krajowi, odmawiały monarchom wszelkiéj pomocy. Nawet smutny los Węgier i zdobywcze instynkty Turków, nie zawsze bywały skuteczne, aby zmusić stany prowincyi lub kraju do powolności. Dopiéro, gdy widmo zagłady stawało się wyraźném i bliskiém, pierzchał egoizm lokalny, ale bynajmniéj nie na zawsze i pamiętnym pozostanie oryginalny fakt, jaki się wydarzył na sejmie niemieckim w Norymberdze. W roku 1522 — 1523, a więc w epoce, gdy potęga Osmanów, zawiesiwszy oblężenie rycerzy rodyjskich, zamierzała z całym impetem uderzyć na prowincye naddunajskie, stany rzeszy niemieckiéj, niewzruszone bynajmniéj grozą położenia, postanowiły spokojnie przypatrywać się losom Węgier. Dopiéro, gdy Madziarzy zagrozili, iż zawrą z Turkami traktat, mocą którego wojska tureckie pozyskają prawo wolnego przemarszu do dzierżaw niemieckich, zdecydował się sejm w Norymberdze udzielić pomoc wojenną.

Prawo uchwalania pomocy, będące podstawą i początkiem władzy sejmów i sejmików, stało się niezmiernie skomplikowaném ze względu na podmiot, uchwalający podatki i ciężary, zarówno jak i ze względu na przedmioty opodatkowane. Pierwiastek federacyjny, przenikający na wskroś konstytucyę, a tém samém i reprezentacyę stanową, musiał się udzielić całemu gospodarstwu finansowemu i wycisnąć na niém charakterystyczne piętno. Uchwalanie pomocy zniewoloném téż było liczyć się wszędzie z dwoma szkopułami, zaszczepionemi przez dawne konfederacye. Pierwszy z nich stanowiła samodzielność sejmików stanowych wobec sejmów krajowych i generalnych, a drugi samodzielność każdego stanu w sejmiku lub sejmie. Przy panowaniu zasady: że większość nie uosabia całości, a tém samém nie może narzucić mniejszości swéj woli, ciała autonomiczne, przedstawiające się w postaci sejmów lub pojedyńczych stanów, czyniły uchwalanie pomocy niezmiernie trudném. Na sejmach generalnych prowincye lub kraje, reprezentowane przez delegacye, albo zastrzegały w instrukcyach: że sprawa uchwalania poborów do nich nie należy, albo téż uchwała, stanowiąca pomoc, obowiązywała tylko te prowincye, które przez swą delegacyę na nią się zgodziły, a nie

dotyczyła bynajmniéj protestującéj mniejszości. Monarsze nie pozostawało w takim razie nic innego, jak przyjąć pomoc od powolnych prowincyi, a z opornemi prowadzić uciążliwą negocyacyę na sejmikach prowincyonalnych.

Nadmienioném już było poprzednio, że każdy stan w reprezentacyi był podmiotem praw prywatno-publicznych, nie zatracającym na sejmiku lub sejmie swéj korporacyjnéj indywidualności. Wszystkich téż stanów uprzywilejowanych zgoda była niezbędna, dla nadania siły uchwaleniu pomocy i w sferze finansowéj, bardziéj niż w innych, panowała zasada: że każdy stan obciąża siebie i swych poddanych podatkiem i ciężarami, ale większość nie zmusza bynajmniéj mniejszości do posłuszeństwa i uległości. Wprawdzie samodzielność stanów prowincyonalnych ustępować musiała często naporowi władzy monarchicznéj; z tém wszystkiém, i tu czasami doznawała korona kategorycznéj odmowy. Przynajmniéj wśród sejmików stanowych, spotkać się można niekiedy z odstępstwem od niewzruszalnéj zasady: iż każdy stan obciąża siebie tylko podatkiem i że jedynie zgoda wszystkich stanów zdolna jest wytworzyć niezbędną pomoc finansową dla korony. W tychże samych prowincyach belgijskich, w których stany deliberowały wspólnie w jednéj izbie i gdzie wotowały nie stanami (*par ordre*), ale indywidualnie (*par tête*), prosta większość decydowała o podatkach i pomocy, zarówno jak i o innych sprawach. Nadmienić jednakże wypada, że w większości prowincyi belgijskich, uchwalanie subsydyów wymagało zgody wszystkich stanów i to nawet tam, gdzie w podrzędniejszych sprawach, dwa stany uchwalały z siłą obowiązującą dla trzeciego. W prowincyi Luxemburgu istniał zwyczaj odrębny i jeszcze oryginalniejszy od innych. Większość bowiem dwóch stanów przeciw jednemu decydowała nawet w sprawach subsydyów; jeżeli jednak każdy ze stanów uchwalił odmienną ogólną kwotę pomocy dla panującego, wówczas sumowano wszystkie kwoty, następnie, otrzymaną cyfrę, dzielono przez trzy, t. j. ilość stanów (*on tierçait*) i w ten sposób otrzymana liczba stanowiła pomoc uchwaloną przez stany.

W gospodarstwie finansowém państwa domagała się od dawna uznania zasada, utrzymująca, że dochody winny się stosować do publicznych potrzeb i wydatków, nie zaś wydatki do dochodów, jak to ma miejsce w gospodarstwie prywatném. Monarchizm, mający do spełnienia najważniejsze zadania administracyi państwowéj, obliczał zwykle kwotę, jakiéj mu niedostawało do zaspokojenia publicznych zadań i domagał się od reprezentacyi stanowéj uchwalenia téjże kwoty, jako nadzwyczajnego źródła finansowego, w formie jednorazowéj pomocy. Ponieważ obliczenia bywały niekiedy błędnemi lub upozorowanemi,

a przytém nagła potrzeba lub groźne niebezpieczeństwo nakazywały w jednym roku odwoływać się dwa, a nawet trzy razy, do pomocy sejmów, przeto monarchizm, korzystając ze znużenia stanów, jakie zbyt częste sejmowanie wywoływało, domagał się uchwalania kwot lub podatków, na czas dłuższy. Dowody zaufania i powolności trafiały się niekiedy i spotkać można subsydya uchwalone na dwa, pięć, lub dłuższy szereg lat. Osobistość monarchy wielką w tym razie odgrywała rolę i moc królewskiego ducha zniewalała często stany do uległości oraz do zaparcia się instynktów egoistycznych.

W każdym razie, stany odczuwały wybornie, że w prawie uchwalania pomocy, tkwi cała publiczna siła reprezentacyi, że uchwalenie na czas dłuższy pomocy siłę powyższą podkopuje, a zezwalanie na wieczyste ciężary niszczy w zasadzie istnienie stanów i odejmuje reprezentacyi wszelką racyę bytu. Uchwalanie wszakże ogólnych kwot, potrzebnych na nadzwyczajne potrzeby państwowe, okazało się z biegiem czasu niewystarczającém. Kwoty bowiem powyższe, płynęły z podatków bezpośrednich, a przeważnie z podatku gruntowego, od którego własność dominialna potrafiła się uwolnić. W miarę wzrastania potrzeb państwowych, źródło finansowe, jakie ziemia włościan i miast dziedzicznych przedstawiała, wyczerpywało się szybko i trzeba było uciec się do podatków pośrednich (przeważnie konsumcyjnych), a dochód z nich nie dał się z góry ściśle obliczyć. Zamiast więc kwot ogólnych, uchwalały sejmy i sejmiki cały system podatków pośrednich, określając przedmioty opodatkowane, jednostkę podatkową i stopę procentową. We Francyi nawet, pomoc uchwalana przez stany (*aides, subvention*), tworzyła się wyłącznie z podatków pośrednich, podatki bowiem bezpośrednie zaliczono do opłaty stałéj (*taille*), która nie potrzebowała uchwały, lecz należała się monarsze z samego prawa. Jakkolwiek system opodatkowania bezpośredniego i pośredniego, używany przez sejmy i sejmiki, powtarzał się zasadniczo prawie wszędzie i zaledwie w szczegółach przedstawiał pewne modyfikacye, to jednakże w niektórych krajach lub prowincyach, zjawił się podatek wyjątkowego typu. Do rzędu takich osobliwości zaliczyć należy podatek w Béarnie, którym sejmiki obciążały jedynie majątek najbogatszych, aby choć cokolwiek ulżyć biedniejszym. Prócz tego, jak to już poprzednio nadmieniono, sejmiki lub sejmy uchwalały niekiedy pomoc nie w formie podatku, lecz w postaci pewnéj liczby żołnierza. Ponieważ jednak trzeba będzie powrócić jeszcze do podobnego rodzaju uchwał, przeto można poprzestać tym razem na prostém zaznaczeniu.

Zanim reprezentacya stanowa uchwaliła żądaną pomoc, zwykła

była poddawać ścisłéj krytyce żądania monarsze i sprawdzała czy wysokość wymaganych sum na przewidywane wydatki była uzasadniona. Gdy wreszcie, kwota pieniężna, podatki pośrednie, lub wystawienie wojska, zostały w formie nadzwyczajnych subsydyów uchwalonemi, przedstawiał rozdział pomocy (*quote part*) między stany poważne trudności. Niejednokrotnie już nadmienioném zostało, że stany uczestniczące w sejmach i sejmikach, bynajmniéj nie były sobie równe wpływem, potęgą i przywilejami. Porównywano je wprawdzie we Francyi do braci: „*qualifiant le clergé d'ainé, la noblesse de puiné, le tiers-état de cadet*,“ ale właśnie z historyi Francyi przekonać się można najlepiéj, jak starsi bracia traktowali najmłodszego, nie żałując mu upokorzeń, a niekiedy kijów, dopóki tenże nie wzmógł się na siłach. O rozdziale więc pomocy uchwalonéj, opartym na zasadzie równości prawnéj, ani mowy być nie mogło. Im bowiem który stan był możniejszym społecznie, tém był bardziéj uprzywilejowanym i tém więcéj miał chęci oraz mocy zepchnąć główny ciężar podatków na słabszego. Prawdopodobnie, nader rzadkiemi bywały wypadki, w których ogólną kwotę uchwaloną, rozdzielano między stany uprzywilejowane w równych sumach. Zwykle na stan miejski przypadała połowa, a druga połowa na możnowładztwo duchowne i świeckie, tworzące dwa stany, albo stosunek stawał się dla słabszego i uboższego, jeszcze gorszym, jak np. w Prusach, gdzie miasta dźwigały $^2/_3$ kwot uchwalonych, a stany potężniejsze zaledwie $^1/_3$ część.

Nierówność prawna istniała tak samo w sferze przedmiotów opodatkowanych. Własność dominialna, jak wiadomo, znajdowała się przeważnie w rękach możnowładztwa duchownego i świeckiego, oraz monarchów, a przemysł koncentrował się wśród miast. Z tém wszystkiem, miasta królewskie zdołały gdzieniegdzie pozyskać dość poważny procent posiadłości ziemskich, a nawzajem szlachta nabywała domy w mieście i probowała prowadzić na swą rękę handel i przemysł. Otóż stan możnowładczy potrafił zmusić miasta królewskie do opłacania tychże samych podatków i ponoszenia tychże samych ciężarów z majątków ziemskich co szlachta, tymczasem miasta nie zdołały zniewolić szlachty do uznania równości prawnéj, gdy szło o przedmioty opodatkowane majątku miejskiego. Jeżeli z biegiem czasu, udało się miastom zmusić szlachtę, posiadającą wśród *municipium* domy, do ponoszenia ciężarów na równi z mieszczaństwem, to inaczéj się rzeczy miały z przemysłem i handlem. Szlachcic pozostawał zawsze wolny od podatku lub cła, jeżeli warzył piwo na swój użytek, jeżeli sprowadzał dla siebie towar z zagranicy, lub wreszcie, jeżeli własny produkt wiejski wyprowadzał za granicę. Pod osłoną zaś stanowego

przywileju, dopuszczała się szlachta licznych nadużyć, szkodliwych przemysłowi i handlowi, i zwalała tym sposobem na barki mieszczaństwa daleko większy ciężar podatków.

Jeżeli wyrób konsumcyjny ulegał odmiennemu opodatkowaniu, gdy został przez szlachcica, mieszczanina lub włościanina spożytym, jeśli ta sama nierówność opłat miała miejsce wówczas, gdy dany przedmiot został wyprodukowany przez szlachcica lub mniéj uprzywilejowane stany, to równowaga w ponoszeniu podatków i powinności, była jeszcze bardziéj podkopana, gdy przedmiotem opodatkowania była ziemia. Własność dominialna, bez względu na to, czy się znajdowała w posiadaniu możnowładztwa duchownego lub świeckiego, czy w ręku miast królewskich, dzierżących przywileje szlacheckie, wolna była od wszelkiego podatku gruntowego, a w zamian za tak cenny przywilej, właściciele jéj musieli służyć osobiście na wojnie. Podatek z mienia płacony, zastępowały więc uprzywilejowane stany podatkiem z krwi, ale wobec postępów, jakie uczyniła sztuka wojenna w ciągu XV i XVI wieku, ów tłumny, lecz improwizowany żołnierz, był raczéj postrachem dla własnéj ziemi, nie zaś dla jéj wrogów, i w niesforności swéj, oraz niewykształceniu, nie przedstawiał pod względem militarnym żadnéj wartości. Dla stanów uprzywilejowanych byłby istotnie podatek z krwi niezmiernie uciążliwym, gdyby go od dość dawna nie potrafiły uczynić pozornym. Gdy też monarchizm domagał się, aby w zamian za służbę osobistą, sejmy oraz sejmiki uchwaliły pomoc, czyli subwencyą pieniężną, stany uprzywilejowane odmawiały, przypominając panującemu, że obowiązane są służyć mu *„wenn er sie rufe, mit Gut und Blut — nicht mit Geld.“*

Powody, skłaniające rycerstwo do odmowy subsydyów, a do narzucania się monarsze z osobistą służbą, pozbawioną wojskowéj wartości, leżały w istocie konstytucyi stanowéj i pojawiały się wszędzie, gdzie trwały jéj rządy. Najsamprzód rycerstwo, ofiarujące wspaniałomyślnie swą krew koronie, wiedziało o tém dobrze z doświadczenia, że wybiéra ciężar stosunkowo lżejszy, a darzący sławą i zaszczytami. Rycerstwo pamiętało bowiem wybornie o sobie, gdy szło o określenie ścisłe podatku z krwi i zabezpieczyło się na wszelki wypadek, aby lekkomyślny szafunek nim nie spowodował bezkrwistości szlacheckiego stanu. Wszędzie więc pojawiły się przywileje, ograniczające czas służby pospolitych ruszeń i zapobiegające temu, aby rycerstwo nie było zmuszone oddalać się zbytecznie od swych siedzib. Od dawna też szlachta uważa pospolite ruszenia raczéj za wyraz aliansu z monarchą, aniżeli za publiczny obowiązek. Miasta królewskie otrzymywały znowu niekiedy przywilej pozostawania w grodzie, w celu bronienia

go przed napaścią, jeżeli zaś naprzykład Bern szwajcarski, lub wiele miast francuskich, zmuszone bywały do wysyłania posiłków po za mury municypalne, to tylko na czas jednéj doby, co najlepiéj dowodziło, że z pospolitemi ruszeniami rzeczywistéj kampanii prowadzić nie było można. Jedyny prawie wyjątek od powyższéj reguły stanowiły Węgry, gdzie podbój turecki i nieustanna zaczepność potęgi osmańskiéj nie dozwoliły przeistoczyć się insurrekcyi w instytucyę nie tylko bezużyteczną, ale i szkodliwą. Z tém wszystkiém i w Węgrzech nie zdołały pospolite ruszenia sprostać w walce wojskom tureckim. Drugim, jeszcze ważniejszym powodem do narzucania się koronie z podatkiem krwi rycerskiéj, był wzgląd, że szlachta zgadzając się na posiłki pieniężne, akceptowała tém samém milicyę lub wojska zaciężne. Ponieważ zaś państwo potrzebowało dla swéj obrony ustawicznie coraz większych i wykształceńszych sił militarnych, przeto groziło możnowładztwu niebezpieczeństwo wytworzenia się milicyi, lub wojska stałego, któreby wytworzyło konieczność uchwalenia podatku wieczystego dla zaspokojenia jego potrzeb. Poprzednio już wykazaném zostało, że się sejmy i sejmiki stanowe zapatrywały na stałe pomoce i podatek wieczysty (*Aides perpetuelles*, *impôt permanent)*, jako na akt samobójczy; obecnie więc dodać należy, że taki sam wstręt instynktowny okazywała reprezentacya stanowa do wszelkiéj milicyi stałéj, zauważywszy nie bez przenikliwości, że: „*l'impôt permanent est d'ailleurs le corollaire de la nouvelle institution*,“ a owa nowa instytucya „*milice permanente*,“ jest „*chère aux tyrans qui sont enchantés d'avoir une force armée sous la main pour contenir leur sujets, par la terreur.*“

Cały zatém ciężar podatku gruntowego spoczywał pierwotnie na ziemi włościańskiéj i miast dziedzicznych (*Mediat-Städte*), a źródło finansowe, czerpiące siłę podatkową z warstw najmniéj zamożnych, musiało prędko zanikać i stać się niedostateczném dla zaspokojenia potrzeb państwowych. W XV i XVI wieku, wobec rosnącéj zaborczéj potęgi Osmanów, rozporządzającéj wybornemi siłami militarnemi, pospolite ruszenia okazały się zupełnie bezużytecznemi, a oswobodzenie własności dominialnéj od podatku, nadal niemożliwém. Trwoga, jaką wszędzie budził zwycięski sztandar półksiężyca i nienawiść z fanatyzmu religijnego płynąca, jaką żywioły muzułmańskie zdradzały względem chrześcian, zdołały przynajmniéj w pewnéj części zaprowadzić równowagę w ponoszeniu przez stany ciężarów, ale zaznaczyć należy dobitnie, że tylko w pewnéj i to odrębnéj części. Szlachta musiała się, dzięki grozie tureckiéj, wyrzec niektórych przywilejów i poczęła płacić podatki za swych włościan, dwór jednak, czyli mieszkanie z folwarcznemi gruntami, uprawianemi przez dworskich oficya-

listów, zdołało nawet wobec groźnego widma jassyru uwolnić się od ciężaru podatkowego. Pożądliwość nie opuściła rycerstwa nawet w ciężkiéj doli; aby bowiem zmniejszyć sobie ciężar podatków, szlachta wcielała zręcznie i skrycie zagrody gospodarskie włościan do gruntów folwarcznych i dopiéro wyraźny przepis prawa, zapobiegł gdzieniegdzie nadużyciom. Zdarzały się wyjątki, że wyrównanie ciężarów między stanami posunęło się jeszcze daléj. W Węgrzech ogólna klęska, dotykająca kraj, w postaci hańbiącego jarzma tureckiego, spowodowała szlachtę, że nie tylko z gospodarstw chłopskich zaspakajała potrzeby ogólne, w Bawaryi udało się panującemu, zmusić stany uprzywilejowane do płacenia podatku ze swego osobistego mienia, a nie z dorobku swych poddanych (*Ständeanlage*), tak samo w Czechach, szlachta zniewoloną została do uchwalenia podatku (*Vermögenssteuer*), który ją więcéj obciążał, aniżeli inne stany.

Pomimo jednak dodatniego wpływu, jaki „postrach turecki" wywarł na rozkład ciężarów państwowych między stany, nie mogło być mowy choćby o przybliżoném przeprowadzeniu zasady równości prawnéj w sferze gospodarstwa publicznego. Zarówno między podmiotami stanowemi, uchwalającemi podatki, jak i między przedmiotami opodatkowanemi, zachodziły nadal poważne różnice. Czy więc sejm lub sejmik uchwalił kwotę ryczałtową subwencyi, pokrywaną podatkiem bezpośrednim, czy za pośrednictwem podatków pośrednich przychodził w pomoc koronie, zawsze występowały na jaw nierówności i wypadało uważać za postęp i dodatni objaw, jeżeli można było przynajmniéj w owéj zasadniczéj nierówności odkryć pewną prawidłowość (*regularité dans l'inégalité*).

Powszechném jednak następstwem prawa uchwalania, subsydyów pozyskanego przez sejmy i sejmiki, było wyzyskanie i przygniecenie ciężarem opłat i powinności klas uboższych i słabszych. Czy reprezentacya stanowa uchwaliła kwotę ryczałtową, czy podatki pośrednie, zawsze możnowładztwo duchowne i świeckie potrafiło zwalić główne brzemię na słabszych. Wykazano już poprzednio, jak nie równym był rozdział uchwalonych subsydyów, jeszcze zaś fatalniéj dotykał system podatków pośrednich chudobę biednych, oszczędzając jednocześnie bogatych. We Francyi zauważono od dawna, że podatki były najuciążliwszemi dla biednych, gdy dochód szlacheckiéj fortuny, przenoszący 5,000 liwr., był zupełnie oswobodzony; w Niemczech zaś dowodzono w XVI wieku, że drobny kupiec jest 15 do 16 razy więcéj opodatkowanym aniżeli członek wyżéj uprzywilejowanych stanów.

Nie darmo reprezentacya stanowa uważała prawo uchwalania subsydyów, za najcenniejszy klejnot w wieńcu uwitym z przywilejów;

z prawa bowiem powyższego wypłynęły w nieuniknionêm następstwie inne, rozszerzające nadmiernie zakres władzy sejmów oraz sejmików. Ponieważ, jak to już poprzednio nadmieniono, pomoc uchwalona przez reprezentacyę nosiła cechę dobrowolnego daru, a co najwyżéj zobowiązania umownego, przeto sejmujące stany, w myśl zasadniczéj formuły, przewodniczącéj prywatnym zobowiązaniom, „*do ut des*“, lub „*do ut facias*“, przyszły z saméj natury rzeczy do przekonania, że uchwalając pomoc, mają têm samêm prawo wymagania od korony różnych dogodności i ustępstw. Uchybienia urzędników królewskich, wadliwości oraz dokuczliwości administracyi państwowéj, stanowiły przedmiot najwcześniejszych próśb i suplik, trzymanych zwykle w tonie bardzo pokornym i wiernopoddańczym. Monarchizm w dobréj wierze przyrzekał poprawić złe, jakie się zakradło do administracyi i na zażalenia stanów (*gravamina*, *Landesgebreche*, *doléances*, *remontrances*), zwykł był odpowiadać przed wotowaniem subsydyów, aby tą powolnością życzliwiéj, a nadewszystko ofiarniéj usposobić sejmy, oraz sejmiki. Gdy jednakże zdarzały się wypadki, że korona nie była w możności lub chęci zadośćuczynienia wymaganiom stanów, wtedy sejmy i sejmiki przyszły do poczucia siły, jaką im nadało należycie wyzyskane prawo uchwalania subsydyów. Dobrowolna ofiara, zarówno jak i zobowiązanie, z umowy płynące, nie wykluczało bynajmniéj warunków ograniczających, lub nakazujących i monarchizm musiał się wkrótce liczyć z formułą „*do ut des*“, t. j. wzamian za uchwaloną pomoc, czynić przeróżne ustępstwa. Dość wcześnie przyszła reprezentacya stanowa do przekonania, że nie należy wprzódy uchwalać subwencyi, zanim na artykuły zażaleń i skarg monarcha kategorycznéj nie da odpowiedzi. Zauważono bowiem, że korona, poczuwając się na siłach, zwykła lekceważyć reprezentacyę, nawet przed zawotowaniem subsydyów; czegóż więc należałoby oczekiwać, gdyby sejmy dały sobie wydrzéć jedyny środek, zapewniający im pewien wpływ i znaczenie.

Odpowiedź korony mogła w wielu wypadkach być wymijającą, zwlekającą, lub wprost odmowną; okazała się więc często potrzeba dodania do uchwały subwencyi warunku ograniczającego, któryby zmuszał panującego do usunięcia nadużyć lub nieczynienia nic wbrew przywilejom, albo téż konieczność dodania warunku nakazującego, mocą którego korona zostawałaby zniewoloną do przeprowadzenia żądanéj reformy. Za pośrednictwem powyższych klauzul, czyli warunków, wymuszały sejmiki i sejmy na panujących najrozleglejsze ustępstwa i zdołały wywrzéć wpływ na całą administracyę, oraz na prawodawstwo państwowe. Nie było prawie żadnéj sfery spraw pu-

blicznych, któréjby nie wciągnięto do *gravaminów*, domagając się, aby korona przed zawotowaniem pomocy zagoiła urazy i krzywdy stanów. Reprezentacya Francyi wymuszała tym sposobem na monarsze najprzeróżniejsze ordonanse, a nawet wyrobiła się w tém państwie zasada, jedna z najcharakterystyczniejszych w konstytucyi stanowéj *„pas d'ordonnance, pas de subsides“*, która jest wiernėm przeistoczeniem formuły prawa prywatnego *„do ut des“*, na formułę prawa państwowego. Warunki, obciążające uchwałę subsydyów, stanowią wybitne znamię wszystkich konstytucyi stanowych. Daremnie szukalibyśmy ich w konstytucyi angielskiéj, chociaż niejednokrotnie próbowały polityczne stronnictwa w parlamencie takiemi wygodnemi pęty skrępować władzę monarchiczną. W XIV, XV i XVI-ém stuleciu nie ośmieliłaby się nigdy reprezentacya angielska na krok tak zuchwały, jak kontynentalne warunki ograniczające, zaledwie téż skromne uwagi odważały się gminy składać u stóp tronu; w XVIII-ym jednak wieku, gdy się pojawiły przeciwne tradycyjnemu zwyczajowi prądy, sam parlament je odrzucił, jako przeciwne duchowi prawa państwowego i jako przeistaczające monarchię w rodzaj rzeczypospolitéj. Gdy zatém w Anglii *„tacking bills“*, nawet po rewolucyi XVII wieku, przyjąć się nie zdołały, w konstytucyach stanowych kontynentalnych rozwielmożniły się „opakowane ustawy“ finansowe, służąc za wyborny środek wyzysku i za nieustającą targowicę z koroną.

Przedewszystkiém więc, dzięki teoryi klauzul i zastrzeżeń, rozszerzyły sejmy i sejmiki stanowe zakres swéj władzy i wpływu na gospodarstwo publiczne państwa. Wotowanie subsydyów dla korony wywołało niebawem w sejmikach uchwalanie funduszów, potrzebnych samym stanom prowincyonalnym (*fonds provinciaux*). Fundusze powyższe wpływały z podatków specyalnie dla korony przeznaczonych. Zarząd i szafunek temiż funduszami dostał się z natury rzeczy sejmikującym stanom, które czyniły rozkład, wybierały poborców, rozstrzygały spory między temiż poborcami a opodatkowanymi, za pośrednictwem wybieralnych trybunałów, zaprowadzały kontrolę przy pomocy wyborczych izb obrachunkowych, przedstawiały na sejmie mniéj lub więcéj dokładny budżet, czyli że w dziedzinie skarbowéj pozyskały prawie zupełne zwierzchnictwo (*Finanzhoheit*). Pozostawała jednak pomoc nadzwyczajna, uchwalana dla korony, a ta podług powszechnego zwyczaju bywała przelewana do kas panującego, z pozostawieniem mu wolnego szafunku, stosownie do wymagań polityki bieżącéj, oraz naglących potrzeb państwa. Nie uszło to jednak baczności stanów, że nieograniczony szafunek uchwaloną subwencyą staje się jako prerogatywa królewska powodem licznych niedogodności. Nietylko

bowiem, że monarchizm przedstawiał w przesadzonych obrazach potrzeby nieodzowne państwa, aby wyłudzić jak największą pomoc, ale w dodatku, pieniądze uzyskane wydawał na cele odmienne od tych, które wywołały ofiarność stanów. Skutkiem nieoględnego, a czasem koniecznością nakazanego szafunku, wytworzyła się zasada: że subwencya winna być użyta na cel wskazany uchwałą, a dzięki téj zasadzie, stany poczęły określać nietylko dochody, ale i wydatki państwa.

Niewątpliwie do téj saméj zasady doszły parlamenty angielskie, lecz dopiéro w roku 1688-ym, t. j. w dobie wykończenia wspaniałego gmachu konstytucyjnego, wspartego na prawie państwowém. Wobec wszakże reprezentacyi stanowéj, powyższa polityczna zasada przeistoczyła się w jeszcze dokuczliwsze pęta dla monarchicznéj władzy. Gdy bowiem w Anglii pominięcie przez koronę ustawy, przeznaczającéj fundusze na odpowiednie cele (*Appropriationsclausel*), narażało jedynie gabinet na odpowiedzialność polityczną wobec parlamentu, w państwach kontynentalnych tenże sam czyn upoważniał stany do cofnięcia pomocy, albowiem monarchizm jako stan odrębny, czyli jako strona, nie dotrzymywał innym stanom, czyli drugiéj stronie zobowiązania, z umowy płynącego. W podobny sposób. reprezentacya stanowa zamieniła wszędzie prawo uchwalania posiłków nadzwyczajnych w rozległą władzę kontrolowania całego gospodarstwa publicznego w państwie, która to władza podkopywała samodzielność rządu i majestat królewskiéj władzy. Na tém jednakże stany nie poprzestały. Jak to już poprzednio nadmieniliśmy, pozyskały w dziedzinie finansowéj nieomal zupełne prawo zwierzchnictwa. Dodać więc należy, że w mniejszym nieco stopniu zdobyły one także funkcye administracyjne, gdy szło o pobór podatków bezpośrednich, uchwalonych na rzecz monarchy. Stany uprzywilejowane ściągały podatki gruntowe ze swych poddanych na rzecz skarbu królewskiego i tém się tłómaczy dokuczliwość jeszcze większa, skutkiem egzekucyi, nierównego podatku.

Monarchizm francuski bronił się uporczywie przeciw uroszczeniom stanów, w imię zasady: „*que l'impôt devait être administré par le prince, mais consenti par la nation*", ale i on zgodzić się musiał czasowo na zmniejszenie prerogatywy królewskiéj, w dziedzinie zarządu skarbowego, który koronie angielskiéj pozostał zachowany w całości. Nietylko w obrębie administracyi finansów pozyskały sejmy i sejmiki szeroki zakres władzy. Tak samo bezpośredni udział w zarządzie wojskowości spotykać się daje wszędzie. Ponieważ sejmiki uchwalały często pomoc w postaci wojska, przeto równie jak pieniądze uwa-

żały one posiłki militarne za przeznaczone przedewszystkiém do obrony prowincyi i za swą własność, którą miały prawo do pewnego stopnia dysponować. Utrzymanie, uzbrojenie i wyżywienie oddziału wojennego należało tedy do prowincyi, a w ślad za temi przywilejami szły nowe wymagania: aby monarcha oficerów dla prowincyonalnego oddziału wybierał z pośród obywateli w téjże prowincyi osiadłych, aż nareszcie skończyło się na tém, że sejmiki same dostarczały oficerów, a w Niderlandach Zjednoczonych stany generalne nie wahały się posyłać deputowanych do obozu, którzy bez względu na swój charakter cywilny, brali udział w radach wojennych i kontrolowali postępowanie wodza w ciągu kampanii, gdy sama natura rzeczy domagała się dla niego samodzielności. Prócz tego, jak to już poprzednio nadmieniono, każdy stan pozyskał pewien samorząd w dziedzinie sądownictwa cywilnego i kryminalnego, a kościół prawie wyłącznie zaopiekował się sprawami szkolnictwa.

Funkcye administracyjne, jakie w udziale przypadły sejmikom, wywołały w nieuniknioném następstwie konieczność wytworzenia odpowiednich organów zarządu. Sejmiki bowiem, zgromadzające się w znaczniejszych odstępach czasu i rozwijające swą działalność w ciągu dwóch tygodni, a najwyżéj w ciągu dwóch miesięcy w roku, nie mogły się przeistoczyć w odpowiedni organ administracyjny. Jednakże atrybucye pozyskane były zbyt ważne, aby je sejmiki miały wypuścić z swéj mocy. Deputacye téż, czyli delegacye stałe, wybrane z łona sejmików prowincyonalnych, stanęły na czele zarządu gospodarstwa publicznego, oraz tych funkcyi administracyjnych, które prerogatywa korony odstąpić stanom musiała. Trwałość i ciągłość działania wyrobiła delegacyom w krótkim czasie pewną samodzielność wobec reprezentacyi, a samodzielność zamieniła się w przewagę, co jak to już nadmienioném zostało, potrafił monarchizm w odpowiedni sposób wyzyskać. Sejmy krajowe i generalne nie przestały również na prawie uchwalania posiłków nadzwyczajnych, lecz przy pomocy zastrzeżeń i warunków zdołały wywierać wpływ na cały obszar prowodawstwa i administracyi kraju. Wszędzie, gdzie tylko dobro ogólne mogło stanowić pozór wmieszania się, stany sejmujące występowały w roli natrętnego doradcy korony, który domagał się, aby jego zdanie miało pierwszeństwo przed wszelką radą, złożoną z zaufanych urzędników monarchy. Powoli też prerogatywa korony topniała wobec gorączki rządzenia i kontrolowania, jaka ogarniała reprezentacyę krajową. Jeżeli dawniéj zasada: „*wer nicht mit räth, der nicht mit thät*“ odnosiła się jedynie do uchwalania pomocy, to z czasem rozszerzyła ona swe znaczenie i stany nie poczuwały się do obowiązku czy-

nienia czegokolwiekbądź, jeżeli nie brały udziału bezpośrednio w naradzie i w uchwale.

Nadawanie szlachectwa, lub kreowanie miast królewskich, zaczęło powoli ulegać przyzwoleniu stanów, prawo zawierania traktatów i wypowiadania wojny, nie mogło témbardziéj być wykonywane bez ich udziału i wiedzy, a w Brabancyi nawet ułaskawiać zdrajcy nie mógł panujący mocą własną i musiał dopraszać się zgody stanów. Prócz tego, w Węgrzech sejmy pociągały monarchę do odpowiedzialności wraz z jego urzędnikami i w takim razie palatyn był sędzią i rozjemcą. W Aragonii „*Justicia*“ czuwał nad monarchą, aby nie przekroczył szranek prawa, a w całéj Hiszpanii kortezy posiadały przez pewien czas wpływ tak decydujący, że Marina nie wahał się ich nazwać twórcami prawodawstwa i najbezpieczniejszym portem, do którego w czasie burzy zawijał okręt państwa. Wreszcie w niektórych krainach niemieckich sejmy z pośród stanów wybierały sądy, które polubownie i na pokojowéj drodze rozstrzygały spory z panującym. Gorszém stosunkowo było położenie monarchii elekcyjnéj, gdyż każda elekcya dawała stanom uprzywilejowanym możność utrwalenia i wzmocnienia swego wpływu na rządy, lecz i dziedziczna korona narażona bywała często na skrępowanie samodzielności; niejednokrotnie téż w krytyczném położeniu dawały jéj sejmy uczuć swą wszechwładzę. Podczas małoletności panujących, stany uważały się za naturalnych opiekunów kraju i dynastyi, czasami znowu sam monarcha, nie ufając rycerstwu, polecał swe potomstwo pieczołowitości miast, czyli jednego, ofiarniejszego stanu i tym sposobem otwierał szeroko wrota natrętnemu, oraz dokuczliwemu wpływowi sejmów. Zdarzały się nawet wypadki, że deputaci sejmowi, usuwając doradców korony, sprawowali istotne rządy, pozostawiając panującemu prawie zupełnie bierne stanowisko. W Bawaryi np. zwano ich téż przez pewien czas współrządcami (*Mitregenten*), bez zgody których nie mógł się obyć żaden donioślejszy akt władzy państwowéj.

Monarchizm odczuwał dotkliwie swą zależność, w jaką go roztrwonienie majątku i pusty skarb wtrąciły. Często téż uciekał się do skarg i użalań, że reprezentacya stanowa poniżyła koronę, piętnując ją znamieniem upokarzającego służebnictwa wobec dawnych świetnych tradycyi. W Niemczech Maksymilian ubolewał nad tém, że stany w Wormacyi chciały mu skrępować ręce i nogi, aby go na gwoździu powiesić, a doradcy korony francuskiéj dowodzili, że wobec dążeń stanów: „*le roi ne sera donc plus que valet des Etats, ou du moins il ne sera ni roi ni chef, qui est une chose trop derogeante à sa souve-*

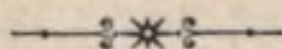
rainete.“ Wady i niedostatki ustroju stanowego oświeciły powoli monarchizm i wskazały mu posłannictwo, jakie ma w dziejach do spełnienia. Razem jednak z oświeceniem począł stosunek władzy królewskiéj do reprezentacyi stanowéj przechodzić w nową fazę rozwoju. Ze strony równouprawnionéj z innymi stanami i porównywanéj zwykle do oddzielnego stanu, stał się monarchizm w większości państw kontynentalnych prawdziwą „skałą bronzową“ (*rocher de bronze*), o którą przyszło się rozbić prawno-prywatnym zasadom, tkwiącym w porządku stanowym.

A. Rembowski.





Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj.



III. Dramat i teatr.

Dopiéro przez ucieleśnienie na widowni teatralnéj poezya dramatyczna otrzymuje życie zupełne; już przeto podwójny nagłówek, któryśmy zmuszeni byli tutaj położyć, wskazuje na jakiś niezdrowy, anormalny stosunek pomiędzy produkcyą poetycką a sztuką teatralną. Może nigdzie na świecie nie układa się tyle dramatów, co w Niemczech, wielce pohopnych do pisania, lecz bynajmniéj nie znajdujących odpowiedniéj przyjemności w grze i czytaniu. Według niskiego obliczenia, na niemiecko-austryackim obszarze językowym powstaje rocznie około 1,400 dzieł scenicznych, z pomiędzy których mniéj więcéj dwadzieścia doczekuje się wystawienia w teatrze, a z tych znowu dwudziestu może tylko trzecia część zdoła przeżyć pierwsze przedstawienia z ich miejscowym, zabójczym *succès d'estime.* Jestto także kawałek kwestyi społecznéj, w skutkach swoich szkodliwszy, aniżeli ktoś może przypuszczać, albowiem z pomiędzy owych 1,392 kandydatów, ubiegających się bezskutecznie o wawrzyny dramatyczne, rekrutuje się rzesza krytyków. Wprawdzie chętnie i słusznie zaznaczamy tutaj z naciskiem, że w przeszłém stuleciu, przy porodzie naszéj literatury, krytyka przysłużyła jéj się swą pomocą; natomiast w wieku dziewiętnastym krytyka niemiecka dopóty zwalczała wszelkie wspaniałe zjawiska, dopóki z odrazą nie oddała się w usługi powodzeniu, nad którego powstrzymaniem najusilniéj pracowała.

Czy my Niemcy pod względem uzdolnienia dramatycznego stoimy

rzeczywiście niżéj od innych narodów, przedewszystkiém od Francuzów, lub téż czy tylko nieszczęśliwe warunki utrudniły i po części zniweczyły nasz rozwój? Jak nowe cesarstwo niemieckie zawdzięcza swe podwaliny czynom króla pruskiego Fryderyka II, tak, według orzeczenia Goethego „*Minna von Barnhelm*“ Lessinga (1767) jest „najprawdziwszym płodem wojny siedmioletniéj o zupełnie północno-niemieckiéj osnowie narodowéj,“ najdawniejszą sztuką, nie schodzącą jeszcze z planu widowisk w naszych teatrach. Wszystko, co się ukazało przedtém, podobnie jak i wszystko, co, oprócz „Emilii Galotti,“ „Natana,“ dramatów Schillera i niektórych Goethego, aż do Henryka Kleista, powstało późniéj od „Minny,“ istnieje bardziéj tylko dla studyów literackich, aniżeli dla sceny i publiczności czytającéj. Przedstawienia pasyjne w Oberammergau wzbudzają co dziesięć lat przelotne zaciekawienie się dramatem średniowiecznym i przynajmniéj w jednym wypadku zrobiono szczęśliwą próbę przystosowania korzyści sceny średniowiecznéj do teatru nowoczesnego. W r. 1875 „Faust“ Goethego, przerobiony dla sceny przez Ottona Devrienta jako „misteryum w dwu pracach dziennych,“ był odegrany w Weimarze, a potém i na wielu innych scenach. Dla praktycznych celów scenicznych jest rzeczą obojętną, że scena piętrowa, jak ją opisał Edward Devrient, a za jego przykładem tylu innych, ani we Francyi, ani w Niemczech nigdy nie istniała. Trzechczęściowa scena Ottona Devrienta dla wystawiania misteryów, jakkolwiek wynikła z nieporozumienia literacko-historycznego, okazała się w praktyce dogodną. Świetne powodzenie widowisk w Oberammergau pociągnęło za sobą odrodzenie katolickich przedstawień pasyjnych, stłumionych dopiéro przez oświecenie Józefińskie, i przynajmniéj widowiska w Brixlegg i Vorderthiersee (w Tyrolu) zjednały sobie niejaką wziętość. Ważniejszém jest to, że przykład z Oberammergau dał pohop do pokuszenia się nanowo o zaprowadzenie widowisk ludowych. W Szwajcaryi tego rodzaju ludowe przedstawienia „Tella“ są stwierdzone od r. 1545 aż do chwili obecnéj; skreślony przez Gotfryda Kellera, w drugim tomie „Zielonego Henryka,“ obraz ludowego przedstawienia Schillerowskiego Tella należy do najcelniejszych ustępów w głośnéj autobiograficznéj powieści. Przewaga Szwajcarów, która już wieku XVI sprzyjała ich dramatowi, polega właśnie na tém, że posiadają oni tradycyę historyczną, znaną i drogą całemu ludowi. Tego rodzaju żywe przechowywania w pamięci dziejów istniało i istnieje w Niemczech tylko w niewielkich kołach ludzi wykształconych; a co w jednéj części Niemiec jest czczone jako chlubna pamiątka, to samo wzbudza na inném miejscu przykre wspomnienia i najżywszą odrazę. Właśnie najpo-

tężniejsze zdarzenia w historyi cesarstwa niemieckiego, jak Henryk IV w Kanossie, walki Hohenstaufów, na których udramatyzowanie zmarnowano tyle pracy, wskutek przeciwieństw wyznaniowych, które muszą wywoływać, nigdy nie będą się mogły stać ogólnym dobytkiem poetyckim całego narodu. Uroczyste przedstawienia z życia Lutra, których autorami są Herrig, Devrient, Trümpelmann, następnie „Gustaw Adolf“ Devrienta, zwracają się oczywiście tylko do protestanckiéj części narodu. Wielkie powodzenie widowisk z życia Lutra, przedstawianych przez obywateli i studentów w kościołach lub w wzniesionych naumyślnie w tym celu budynkach, służyło dla niejednego dowodem, że dramat, należący rzeczywiście do ludu, byłby istotnie możliwym. Następnie w teatrze dla przedstawień uroczystych w Wormacyi próba ta miała być przeprowadzona w sposób okazały. Miano tu urzeczywistnić idee, które niegdyś rozwinął Ryszard Wagner w stosunku do teatru ludowego w Zurychu. Własny teatr odświętny, na wzór Wagnerowskiego teatru w Bayreuth, został zbudowany przez ofiarnych obywateli wormackich; wbrew przyjętemu oddawna szablonowi wzniesiono prostą bez kulis scenę, któraby się nadawała do oddziaływania na masy, a na któréj mieli grać sami obywatele, — i z wielkiemi nadziejami piękne to przedsięwzięcie otwarto w r. 1889. Jeżeli jednak przy przedstawieniach z życia Lutra autorowie, pomimo swojéj niezręczności, osiągali jaknajwiększy skutek dzięki niespożytéj treści, to zmarły tymczasem Hans Herrig swoją sztuką uroczystą „Trzy wieki nad Renem“ zniweczył całe wiele obiecujące przedsięwzięcie. „Wielki nakład został haniebnie roztrwoniony.“ Bezdenna nudność i niedorzeczność patryotycznych frazesów Herriga podziałała tak odstraszająco, że zaniechano całego planu sceny ludowéj i nadwornym aktorom z Darmstadtu pozwolono nadal w świątecznym teatrze ludowym odgrywać sobie repertuar codzienny. Pomyślniejsze skutki osiągnięto przy pomocy okolicznościowych przedstawień uroczystych; tak np. w Rothenburgu nad Tauberem sztuka świąteczna zawierająca w sobie jedno zdarzenie z historyi miasta, p. t. „*Der Meistertrunk von Rothenburg*,“ od chwili pierwszego wystawienia może być niemal corocznie powtarzana. W Tyrolu odważono się w roku przeszłym na ludowe przedstawienie tragedyi „Andrzej Hofer,“ a miasta, sąsiadujące z polem bitwy pod Mühldorfem (1322), dla 570-letniego przypomnienia zwycięstwa Wittelsbachów nad Habsburgami, w ostatnim dniu Zielonych Świątek przedstawiły z największém powodzeniem ojczysty dramat Marcina Greifa „Ludwik Bawarczyk czyli walka pod Mühldorfem;“ podobnież w r. 1886 Szwajcarzy 500-ną

rocznicę bitwy pod Sempach uczcili przez dramatyczne przedstawienie dawnego czynu, który ich okrył taką sławą.

Sądy o tego rodzaju przedstawieniach dyletanckich bardzo są ze sobą niezgodne. Kiedy jedni widzą w tém wielce rokujące początki rzeczywiście ludowéj sztuki dramatycznéj, zmartwychwstanie zburzonego w wieku XVI-ym czysto narodowego teatru ludowego, innym wszystkie te zachody wydają się bezużyteczną igraszką. Ruch ten mógłby naturalnie zyskać trwałe znaczenie dopiéro wtedy, gdyby w Niemczech ukazał się rzeczywiście ludowy poeta dramatyczny, któryby swój talent zwrócił właśnie do tego rodzaju dramatu. Nie zbywało też na póbach wydostania się z granic dramatu literackiego. Od czasu, jak młody Goethe postarał się ożywić na nowo w swoich utworach dawne rubaszne widowiska zapustne, nie jeden z pośród nowoczesnych dramaturgów zwracał swój wzrok na Hansa Sachsa, a Henryk Kruse roku 1887, w prologu do swych powabnych sztuk zapustnych, obraz dawnych zabaw wesołych kamratów zakończył skargą:

„Gdybyśmy byli z obyczajem Norymbergi nie zrywali,
To kto wie, jakby pod tym względem Niemcy dziś wysoko stali!“ [1]).

Gdyby — to nie znaczy: gdyby się temu lub owemu spodobało tworzyć na sposób Hansa Sachsa, lecz gdyby cały przebieg naszego rozwoju politycznego i literackiego był to umożliwił. Wielce, bezwątpienia, uzdolnionemu austryackiemu dramaturgowi Hansowi Pöhulowi ustępowano niejednokrotnie nadwornéj sceny monachijskiéj dla wykonywania prób z jego „niemieckiemi, ludowemi sztukami scenicznemi“ (*Deutsche Volksbühnenfestspiele*), które po upływie trzech wieków miały ożywić bezpośrednio dawny obyczaj norymberski; próby te jednak skończyły się uciesznym skutkiem, obracającym wniwecz „w najwyższym stopniu nędzną tragedyę.“ Ladajakie rymy i wadliwa kompozycya w historycznych obrazach Wildenbrucha: „*der Generalfeldoberst*“ i „*der neue Herr*“ — bezwątpienia mocno odstępują od szkoły weimarskiéj; to też na tych cechach ujemnych kończy się ich zasługa.

Z nieokrzesanych, bezkształtnych facecyi (Schwänke), które młodzi rzemieślnicy, ciągnąc od domu do domu, bez scenicznego przygotowania przedstawiali zdawiendawna w czasie wesołych zapust, szewc norymberski i *meistersinger* Hans Sachs (1494—1576) wytworzył był początki komedyi i tragedyi; zużytkował on cały zasób

---

[1]) Wenn wir bei Nürnbergs Art geblieben,
Wer weiss, wir hätten's weit getrieben!

treści, jaki się odsłonił przed ludźmi w dobie Odrodzenia, nie oglądając się zgoła pod względem formalnym na wzory obce. Lecz jako pierwszy w Niemczech rozczłonkowuje on swe sztuki na akty, na miejsce kolejnego mówienia wprowadza prawdziwie dramatyczny dyalog i roztacza charaktery przed gronem wiernie za nim podążających słuchaczy. Nowele włoskie, starożytnych poetów i historyków, biblijne i niemieckie podania rozczłonkowuje on na dramata. On to pierwszy udramatyzował „Nibelungów“ i „Trystana i Izoldę,“ o co tak wielu dramaturgów aż do Ryszarda Wagnera kusiło się bezskutecznie; lecz dawał on także do grania przygody Odyseusza i historyę Lukrecyi obok przypowieści o synu marnotrawnym. Opracowywał on Plauta i próbował nadać nową postać przeżytym już średniowiecznym widowiskom pasyjnym na podstawie protestanckiéj. Z szorstkim naturalizmem czerpie on z pełni życia, okazując otwarty wzrok dla śmieszności we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, a obok krotochwili wskrzesza na nowo dramat alegoryczny. Nawskroś naiwny, nie dający się obałamucić przepisom i wzorom, oraz szkolnemu przymusowi *meistersinger*'ów, któremu w innych utworach poddaje się ze skrupulatną dokładnością, tworzy on tym sposobem początki prawdziwie narodowego dramatu. Młodzi obywatele i chłopi odgrywają jego po całych Niemczech rozpowszechnione sztuki, które dla zbudowania oryginalnego dramatu narodowego byłyby dostarczyły lepszéj podstawy, aniżeli ta, jaką bezpośredni poprzednicy Szekspira — Marlowe'owie, Greene'owie, Peele'owie — znaleźli w *interludes* i *moral plays*. Lecz Hans Sachs nie znalazł w Niemczech następcy, któryby posunął daléj to, co tak pięknie zostało rozpoczęte, natomiast zawodowi aktorowie angielscy, stojący pod każdym względem wyżéj od przygodnych aktorów niemieckich, napływając z Holandyi i Danii, przeciągali po wszystkich krajach Niemiec, a przed ich wysoce rozwiniętą techniką (wszak przynieśli oni już na stały ląd Hamleta i Leara) oniemiała narodowa sztuka dramatyczna. Ludzie wykształceni coprawda i tak mało zwracali na nią uwagi. Wskutek podniety, danéj przez Lutra, po szkołach rozwijała się komedya biblijna bądź w języku niemieckim, a jeszcze częściej w łacińskim; Seneka i Plautus, jako wzory formalne, zdobyli sobie powagę jeszcze przód, nim wraz z Opitzem poezya uczona stała się wyłącznie panującą. Naprzód angielskie, a potém powstające z nich niemieckie trupy wędrowne, z ich do najwyższego stopnia nieokrzesanemi i bezkształtnemi sztukami, zapanowały nad sceną. Od tych zdziczałych wytworów angielskiéj sztuki scenicznéj i od ich naśladowań, fabrykowanych przez niemieckich komedyantów, literatura pozostała nietkniętą, podobnież jak

i teatr nie troszczył się wcale o pseudoklasyczne dramaty do czytania, układane przez uczonych poetow. Nikodem Frischlin, szwab podobnie jak i Schiller, i żyjący również w ostréj niezgodzie z władcą swego kraju, swoje komedye patryotyczne, z których jedna p. t. „*Julius redivivus*“ w bladém opracowaniu Aug. Gotliba Meissnera zachwycała jeszcze młodego Ottona Bismarcka, pisał sam po łacinie. W niezmiernie bogatym poczcie łacińskich i niemiecko-biblijnych dramatów wieku XVI-go i XVII-go cała masa talentu została dla narodu straconą. Kiedy w wieku XVII-ym wielki poeta, Ślązak Andrzéj Gryphius, usiłował naśladować i prześcignąć w języku niemieckim wzory holenderskie, okoliczności czasu nie nadawały się do stworzenia dramatu narodowego. W XVI-ém i na początku XVII-go stulecia, kiedy Anglicy i Hiszpanie tworzyli swój potężny dramat narodowy, a Francuzi kładli podwaliny do „tragedyi klasycznéj“ wieków następnych, w Niemczech jednostronnie religijny interes zepchnął wszystko inne na tylny plan. Z podeptanego, cierpiącego pokolenia wojny trzydziestoletniéj nie mogła powstać tragedya, „która wznosi człowieka, kiedy człowieka rozmiażdża.“ „W czasie, gdy cała nasza ojczyzna — tak rozpoczął Gryphius przedmowę do swoich tragedyi — zagrzebuje się obecnie w swoich własnych popiołach i zamienia się na widownię próżności, starałem się przedstawić ci, najprzychylniejszy czytelniku“—gdyż mógł się on zwracać tylko do pojedyńczego czytelnika, a nie do zgromadzonych widzów — „w niniejszych tragedyach znikomość rzeczy ludzkich.“

Tymczasem w pierwszém trzydziestoleciu wieku XVIII-go Gottsched zyskał sobie zasługę zaprowadzenia niejakiéj zgody pomiędzy dwoma całkiem rozdzielonemi mocarstwami, pomiędzy sceną a literaturą. Późniéjsze pokolenie mogło mu zrobić zarzut, że podporządkował scenę niemiecką wzorom francuskim: musiało ono to uczynić gwoli postępowi. Czy jednak dziś teatry berlińskie nie znajdują się w daleko mniéj usprawiedliwionéj należności od nowszego dramatu francuskiego, aniżeli teatr niemiecki za dni Gottscheda od dawnéj „tragedyi“ francuskiéj? Dla zrozumienia trwającéj do dziśdnia nędzoty teatru niemieckiego, potrzeba sobie właśnie przypomnieć, że rozwój naturalny niemieckiemu dramatowi i teatrowi nie był dozwolony. Przyjazną, niepowrotną chwilę do stworzenia czysto narodowego teatru przeoczono w wieku XVI-ym. Kiedy Gottsched w XVIII stuleciu zapragnął wynagrodzić rzecz zaniedbaną, o samodzielném tworzeniu nie mogło już być mowy.

Tak niezaprzeczoném, ba, nawet bardziéj niewzruszoném, aniżeli polityczna przewaga Francyi, stało się od czasów Richelieu'go

panowanie literatury francuskiéj. Pod wpływem Odrodzenia we Francyi zerwano ze średniowiecznym dramatem z taką stanowczością, jaka jest właściwa Francuzom, jeżeli się raz zwrócą przeciwko czemu. Ich pretensye do pozyskania dla swego teatru ulepszonéj tragedyi greckiéj były uznawane przez całą Europę, dopóki Lessing w roku 1767-ym w „Dramaturgii hamburskiéj“ nie wykazał przeciwieństwa pomiędzy tragedyą grecką a francuską. Oświadczył on, że Szekspir, lubo na osobliwszych i jemu właściwych drogach, cel tragedyi osiąga lepiéj, aniżeli zadawalniający się trzema jednościami Corneille i Voltaire; był jednak mało zbudowany, kiedy w r. 1773 wraz z „*Götzem von Berlichingen*“ Goethego nastały w Niemczech dramaty, przedrzeźniające Szekspira. Na dramaturga hamburskiego nie godzi się powoływać tym, co zbawienie tragedyi niemieckiéj widzą w ścisłém przylgnięciu do Szekspira. W teoryi, jako bojowników, występujących na przedzie w obronie tego rodzaju szekspiromanii, należy wymienić Tiecka, Gervinusa, Ottona Ludwiga. Dramaty niemieckie, pisane na wzór Szekspira, pojawiają się w nieskończonym szeregu od r. 1773 aż do dnia dzisiejszego. Napróżno sam twórca „Götza z Berlichingen“ w latach późniejszych ostrzegał przed takiém szekspirowaniem. Toć jego własny Götz stał się wskutek tego nieprzydatnym dla sceny. Poeta dramatyczny nie może się uwolnić od technicznych środków przedstawienia, właściwych jego czasom. Szekspir tylko dlatego, że nie miał sceny z kulisami, mógł się posługiwać zupełną swobodą w zmianie miejsca; pisał on dla publiczności angielskiéj, jako dla sceny swoich czasów. Jeżeli poeci niemieccy wieku XIX-go zadają sobie trud, ażeby pisać tak samo, a potém utyskują, że zupełnie inaczéj urządzona scena niemiecka ich dzieł nie uwzględnia, to trzeba to uważać za osobliwy zamęt pojęć. Już Platen wołał do tych naśladowców: my czcimy Szekspira, ale sam Szekspir, gdyby przyszedł dziś, uczyniłby zadość wymaganiom chwili,—naturalnie, wielce wsławiony poeta arystofanesowski nie rozumiał pod tém pospolitych potrzeb dziennych. Tylko dlatego że dziewięć dziesiątych wszystkich naszych utworów poetycznych zawdzięcza swe pochodzenie uczoności literackiéj, zamiast świeżemu popędowi życiowemu, jest rzeczą możebną, że ktoś, naśladując Szekspira, może sobie roić, iż tworzy po szekspirowsku. Toć przecie poeci romantyczni przez jakiś czas chcieli nawet dramatowi hiszpańskiemu w postaci naśladowań wyrobić znaczenie na scenie niemieckiéj już nie jako gościowi, lecz jako równouprawnionemu obywatelowi.

Jeden z najbardziéj uzdolnionych dramaturgów XIX-go stulecia, turyngijczyk Otto Ludwig, którego studya i szkice ze spuścizny

pośmiertnéj dopiéro w tym roku ogłoszono w pełniejszym komplecie, stał się poprostu ofiarą uwielbienia Szekspira. Urodzony w tym samym roku, co Ryszard Wagner i Fryderyk Hebbel (1813 r.), w Eisfeldzie, wahał się przez jakiś czas, podobnie jak i Wagner, pomiędzy muzyką a poezyą, przyczém połączenie obudwu sztuk nie chciało mu się udawać. Po wielorakich próbach udał mu się w roku 1853-im jego dzielny „Leśniczy dziedziczny“ (*Der Erbförster*), który narówni z „Maryą Magdaleną“ Hebbela (1844 r.) stanowi kamień graniczny w dziejach rozwoju tragedyi mieszczańskiéj w wieku XIX-ym. Całą atoli dalszą jego twórczość paraliżowała jego bezwzględna cześć dla Szekspira. W każdém stadyum pracy stawiał on sobie wciąż pytanie, czy rzecz nakreślona i wykonana odpowiada wzorowi szekspirowskiemu, a przy swojéj wybitnie rozwiniętéj indywidualności i nieubłaganéj krytyce siebie samego, nie mógł nigdy na to pytanie odpowiedzieć twierdząco, ku zupełnemu swemu zadowoleniu. Kiedy r. 1865 śmierć wybawiła go od długiego niedomagania, po pracowitém, tak bogatém wewnątrz życiu poety nie pozostało ani jednego owocu dojrzałego. Nieszczęsna namiętność Niemców czepiania się zawsze wzorów obcych, zamiast kroczenia z odważném samopoczuciem własnemi drogami, zażądała znowu drogocennéj ofiary. Właśnie życie i daremne wysiłki Ottona Ludwiga dowiodły, jak głęboka myśl tkwi w przestrodze Goethego, że tworzącemu dramaturgowi wolno w ciągu roku przeczytać tylko j e d n o dzieło Szekspira, gdyż inaczéj zostanie on przez ten przemożny geniusz zgnieciony. Otóż nie kto inny, tylko Otto Ludwig dawne i nowe skargi przeciwko Schillerowi streścił w słowach: odstępując od Szekspira, Schiller skierował dramat niemiecki na tory fałszywe. A chociaż własne rozbicie się Ludwiga w żywy sposób stwierdziło, że Schiller roztropnie czynił to, co było potrzebne, to jednak zarzut jego znalazł u wielu dobre przyjęcie.

Przez moje wydanie dramatów i życiorysu Szekspira (Stuttgart, księgarnia Cotty) zabezpieczyłem się chyba od nieporozumienia, jakobym pochwalał napaści Grabbego, Rümelina, Benedixa). Dla duchowego wyswobodzenia publiczności niemieckiéj, którą wciąż przygniatało jarzmo teologów, znajomość ze swobodnym Szekspirem, poetą czynu, wywarła wpływ najzbawienniejszy. Pod tym względem nie można wcale dostatecznie ocenić jego dobroczynnego działania. Słusznie Goethe w swoim romansie kultury „*Wilhelm Meisters Lehrjahre*“ wyznaczył Szekspirowi zaszczytne miejsce wśród wychowawczych potęg dla niemieckiego życia duchowego. Dla niemieckiego jednak teatru spokojny dalszy rozwój tego, co z przezornością począł

budować Lessing, byłby się okazał korzystniejszym, aniżeli nastające wraz z „Götzem" formalne naśladowanie Szekspira, t. j. bezgraniczne rozpasanie. Jak to zaznaczył już Schiller, wymagania teatru bynajmniéj nie schodzą się zawsze z wymaganiami poezyi. Największy aktor niemiecki, Fr. Ludwik Schröder (1744—1816), który dla wprowadzenia Szekspira do planu widowisk w naszych teatrach zrobił więcéj aniżeli ktokolwiek inny, kiedy wraz z „*Fieskiem*" Schillera szekspiromania okresu burzy i zapędów stała się znowu silniejszą, pisał: „Nienawidzę Schillera za to, że otwiéra on napowrót drogę, którą wiatr już był zawiał"; nienawidzi go—powiada daléj—tém bardziéj, im większy jest jego talent, gdyż droga ta jest ruiną teatru niemieckiego. Lecz Schiller, który już w pierwszym swoim utworze, „Zbójcach", wykazał ową pewną siebie technikę sceniczną, któréj zupełny brak spostrzegamy w „Götzu z Berlichingen", był zanadto dramaturgiem z urodzenia, ażeby znaleść trwalsze zadowolenie w obcéj formie artystycznéj, należącéj do czasów minionych. Kiedy z dojrzałą siłą, po kilkoletniéj pauzie, przystąpił do układania Wallensteina; wtenczas również mało obchodziły go własne próby młodzieńcze, jak i bezkształtne naśladowania Szekspira z czasów całego okresu burzy i zapędów. Niewolnicze naśladowanie tragedyi francuskiéj, zalecane jeszcze ciągle przez księcia Weimaru jako najwyższa mądrość, mogło dla poety, przybywającego od studyów nad Eurypidesem i Sofoklesem, uchodzić tylko za zużyty środek wychowawczy z czasów Gottschedowskich. Od udzielonéj słowem i czynem nauki Lessinga, że dramat niemiecki musi dążyć do zajęcia środka pomiędzy skrępowaniem dramatu francuskiego i dowolnością angielskiego, Schiller odstąpił jedynie o tyle, iż do dramatu niemieckiego chciał przeprowadzić most nie od francuskiéj, lecz bezpośrednio od helleńskiéj tragedyi. Zbyt głęboko idee Odrodzenia zapuściły korzenie w całe duchowe życie Europy, ażeby Goethe i Schiller, H. v. Kleist i Grillparzer mogli wyzwolić się od nich na stałe. Nawet w chwili, kiedy Schiller chciał stworzyć samoistny dramat niemiecki, wzrok jego musiał się z tęsknotą zwracać do tragedyi helleńskiéj. „My w naszéj sztuce—przyznawał Ryszard Wagner jeszcze o pół wieku późniéj—nie możemy zrobić ani kroku, nie trafiając na jéj związek ze sztuką Greków. Nasza sztuka nowożytna jest tylko ogniwem w łańcuchu rozwoju sztuki ogólno-europejskiéj, ten zaś bierze swój początek od Greków." Najbardziéj nowocześni wrogowie żywiołów starożytnych w naszéj oświacie mogliby sobie pilnie rozważyć to wyznanie nowoczesnego Wagnera, nie uplątanego, zaiste, w szkolnym kramie filologicznym.

Jedynym przedmiotem tragedyi helleńskiéj był poruszający się

w prostych a surowych liniach myt; dramat szekspirowski starał się wystawiać pstry, wielokształtny szereg działań, właściwy powieści i noweli. Tamta wyszła z chóru, do którego opowiadań dopiéro zwolna przyłączyli się przedstawiający aktorowie; ten poszedł za skłonnością średniowiecznych widowisk pasyjnych stawiania przed oczami wszystkich pojedyńczych osób i czynności. Zapożyczyć żywiołów z tych krańców przeciwległych i stworzyć z tego nowy, żywy organizm było zadaniem Schillera. Odpowiednio do potrzeb niemieckich, wymagających swobodnego ruchu, Schiller wykreślał szerokie ramy, wśród których miał się poruszać dramat, przyczém w szczegółach nie krępował się on przepisami ścisłego schematu, jaki sobie lubiły ustanawiać romanse. To téż w „Maryi Stuart“ i „Dziewicy Orleańskiéj“ okazuje się przewaga ścisłości francuskiéj i angielskiego ruchu; „Narzeczona z Messyny“ i „Maltańczycy“ eksperymentują ze starożytnym chórem, a szkice do Dymitra okazują próbę zastosowania całéj swobody szekspirowskiéj historyi, zarazem jednak pokazują one, jak Schiller, pomijając udramatyzowanie biografii, zdąża szybko do dramatycznego skupienia. Otóż w ostatnich trzydziestu latach weszło w modę Henryka Kleista wynosić nad Schillera. Rozumié się, potrzeba na to całéj zarozumiałości berlińskich uczonych, ażeby sobie uroić, że kilka nowoodkrytych zalet literackich byłoby w stanie przeważyć niezmierny wpływ, jaki dramaty Schillera od stu lat wywierały na całą kulturę niemiecką. To nie jest patryotyzm, lecz w najwyższym stopniu ograniczone pojmowanie kapralskie, jeżeli ktoś okrzykowi Kleista: „*In Staub mit allen Feinden Brandenburgs!*“ przypisuje więcéj wartości, aniżeli zawartym w „Tellu“ i „Dziewicy“, a wzywającym do walki za ojczyznę wierszom, które w r. 1813 zapalały młodzież niemiecką do lekceważącego śmierć bohatérstwa. Kleist chciał w jednéj sztuce połączyć zalety Eschyla i Szekspira, musiał jednak porzucić ten plan jako niemożebny. Co prawda, niektórzy dramaturgowie czasów późniejszych opiérali się bardziéj bądź o Szekspira, bądź téż o Calderona; nie wychodziło to jednak na korzyść dramatu niemieckiego, jeżeli się nazbyt oddalali od dróg, wytkniętych dla wyższéj tragedyi przez Schillera. Największy po Schillerze dramaturg niemiecki, wiedeńczyk Franciszek Grillparzer, wyznał otwarcie: „Jeżeli prace moje mają jakąkolwiek wartość, to mają one takową dlatego, że nie dając się wprowadzić w błąd spekulacyi i fałszywéj gruntowności, kroczyłem zawsze drogą, którą nam, Niemcom, na długo, długo, a może na wszystkie przyszłe czasy nakreślił Schiller.“ Jeżeli pomimo to dziennikarski bojownik nowoczesnego berlińskiego naturalizmu chełpi się jako „nienawistnik Schillera“, a przyjaciela

swego Gerharda Hauptmanna, zachwala jako stojącego wyżéj od Schillera poetę, to można ubolewać tylko nad jednym z licznych, niestety, symptomatów chorobliwych, wytwarzanych w ostatniém dwudziestoleciu w sposób niepokojący przez nasze życie umysłowe. Moralna powaga Schillera, która przemawia zarówno z jego tragedyi, jak i z „Listów o wychowaniu estetyczném“, tudzież z jego krytyki poezyi Bürgera, wielu nowszym krytykom wydaje się rzeczą niedogodną, przestarzałą; wysoki patos Schillera uchodzi za rzecz zużytą. Niewątpliwie w roku 1859-ym, w czasie międzynarodowych uroczystości schillerowskich, ani jeden człowiek nie byłby pomyślał, że w r. 1889-ym niektórzy berlińscy profesorowie i dziennikarze odgrzeją stare, już dawno przez historyę osądzone, drobnostkowe zawiści przeciwko Schillerowi, i że na schyłku tego stulecia trzeba się będzie spierać za i przeciwko Schillerowi, jak gdyby chodziło o jakiego nowo występującego poetę.

Zapewne, o ile chodzi o dramatycznych naśladowców Schillera, przykład jego pociągał za sobą częstokroć następstwa niepomyślne. Czy jednak czegoś podobnego nie da się wykazać w oddziaływaniu każdego artysty w dziedzinach najrozmaitszych? Pojedyńcze części może naśladować każdy uczeń, ale łącząca duchowa spójnia, t. j. leżąca na dnie utworów potężna indywidualność, jest i pozostaje rzeczą jedyną, więcéj się nie powtarzającą. Od Teodora Körnera aż do Marcina Greifa posiadamy liczny poczet nadzwyczaj poważnych talentów, które sobie wszystkie obrały za wzór dramat Schillera. A naśladowania Schillera tak samo się jeszcze nie skończyły, jak i naśladowania Szekspira, i prawdopodobnie długo jeszcze będziemy tworzyć na tę modłę, choćby chwilowo kierunek naturalistyczny cisnął się nie wiem z jakim hałasem do zajęcia przedniego stanowiska. Ze wszystkich owych nowoczesnych dramatów społecznych, które starają się oddziaływać przez tendencyjne opracowanie kwestyi codziennych, żaden nie zrobił na publiczności robotnicznéj socyalno-demokratycznéj sceny ludowéj w Berlinie tak silnego wrażenia, jak „Intryga i miłość“ Schillera! Oba teatry: „berliński“ i „niemiecki“, ku zdumieniu swoich dyrektorów, przekonały się z doświadczenia, że właśnie wobec sławionego naturalizmu siła przyciągająca dramatów schillerowskich w ostatnich latach ustawicznie się wzmaga. Sąd Grillparzera nie traci słuszności: „Goethe może być większym poetą i jest nim zapewne; Schiller atoli jest większym nabytkiem dla narodu, który potrzebuje silnych, podniosłych wrażeń i zapału sercowego w czasach, chorujących na nadużycie ducha. Nie zniżył się on do ludu, lecz umieścił się tam, gdzie nawet lud ma możność sięgnąć do niego, a obfitość

wysłowienia, którąby ktoś chciał poczytać mu za wadę, stanowi właśnie most, po którym chwiejni wszelkich stopni wykształcenia mogą się wznieść do jego wyżyn. Jego poglądy są zawsze naturalnemi, a nawet jego nadprzyrodzoność jest zawsze czémś takiém, co wskutek przytrafiania się po wsze czasy przedstawia się jako coś nierozerwalnie uzasadnionego w naturze ludzkiéj."

Jak wielu dramaturgom w naszém stuleciu publiczność i krytyka składały swe hołdy, jakie nadzieje wzbudzały pojedyńcze sztuki, a jak mało znalazło się pomiędzy niemi żywotnych! W dziedzinie tragedyi wyższéj tylko Henryk Kleist, Grillparzer, Hebbel wśród wielkiéj powodzi wzbili się na niedosiężone wyżyny; „Leśniczy dziedziczny" Ottona Ludwiga należy do dziedziny tragedyi mieszczańskiéj, gdy tymczasem jedynéj jego tragedyi bohaterskiéj „Machabeusze" wszystkie pojedyńcze wielkie rysy dramatyczne nie mogły pomódz, gdyż zbłądził on w samym wyborze przedmiotu. Autorów tragedyi przeznaczenia (*Schicksalstragödien*), owych Müllnerów, Wernerów, Houwaldów, wymieniamy bardziéj tylko dlatego, ażeby potępić moralny i estetyczny obłęd; kto dziś wié jeszcze o Müllnera „Królu Thegurdzie", którego sława zaćmiła niegdyś Schillerowskiego „Wallensteina"? Z pomiędzy romantyków tylko Kleist ze swoją „Kasią z Heilbronn" wywierał stały skutek na scenie, albowiem „Książę Homburga" i „Stłuczony dzbanek" (*Der zerbrochene Krug*) nie noszą na sobie piętna romantyzmu, „Pentezyleja" zaś i „*Die Hermannsschlacht*" pozostaną zawsze obcemi planom widowisk teatralnych. Ścisła koncentracya i zaparcie się siebie samego, których właśnie dramat wymaga od poety, znajdowały się w zbyt silném przeciwieństwie z subiektywną dowolnością romantyków. Z drugiéj strony, suchy rzemieślnik, Ernest Salomon Raupach, mógł w czwartym dziesiątku lat opanować scenę berlińską, lecz nie był w stanie zjednać sobie ani szacunku poetów, ani przychylności ludu. Tylko jego (melodramat) „Młynarz i jego dziecię" błyszczy rokrocznie w dzień Zaduszny na afiszach teatrów przedmiejskich. Raupach był nietylko sam do najwyższego stopnia płodnym pisarzem; zaprojektował on także, żeby dramaturgowie niemieccy skupili się w celu przedstawienia w szeregu stu tragedyi całéj historyi Niemiec. Pod wrażeniem dzieła Raumera, które wpłynęło także na innych, zabrał się sam do wprowadzenia na scenę rozmaitych monarchów z domu Hohenstaufów, a ponieważ wielkie walki średniowieczne pomiędzy cesarstwem a papiestwem pojmował on mniéj więcéj tak, jak referujący radcy w ministeryum wyznań zapatrywali się na zatargi rządu pruskiego z arcybiskupem kolońskim, więc jego surogat poezyi został

w Berlinie przyjęty łaskawie. Gorszą było rzeczą, że wskutek tych nieudolnych robót, pełne siły, pomimo wszelkich dziwactw wspaniałe tragedye, osnute na dziejach Hohenstaufów, wojskowego audytora w Detmoldzie, Chr. Dietricha Grabbego (1801—1836) były trzymane zdala od sceny. Grabbe był spóźnionym potomkiem „okresu genialności“, choć, niestety, zbywało mu na moralnéj karności Klingera. Nie mogła mu się udać ani jedna całość, lecz w pojedyńczych scenach wykazał tak znakomite uzdolnienie do dramatu historycznego, że zapewniło ono do dziśdnia żywotność jego dziełom, przynajmniéj jako dramatom do czytania. Nastrój ludu francuskiego i gadatliwe ogłupienie Burbonów przed powrotem Napoleona z Elby, Napoleona i Blüchera — jakże on to wszystko przedstawił dramatycznie w żywych wyrazistych obrazach swojéj tragedyi „Napoleon, czyli sto dni!“ W „Bitwie Hermana“ (*Hermannsschlacht*) spróbował on, jako poprzednik Bleibtreu'a, kazać dawnym Niemcom mówić i działać zupełnie naturalistycznie, jako prawdziwym chłopom westfalskim, gdy tymczasem w „Pożegnaniu Hannibala z Italią“ pozwolił zabrzmiéć w pełni prawdziwemu patosowi. Możliwość powodzenia scenicznego byłaby popchnęła Grabbego, który w teoryi wyraził powątpiewanie o swojéj własnéj i dostrzeżonéj w innych szekspiromanii, do uwzględnienia potrzeb sceny; ponieważ zaś widział, że Raupachowi oddaje się przed nim pierwszeństwo, więc puścił wodze swéj wrodzonéj samowoli aż do rozerwania wszelkiéj formy dramatycznéj. Kiedy się zetknął ze sceną, pragnącą stanąć na możliwéj wyżynie, własne jego wyniszczenie, jako człowieka i poety, zrobiło już zbyt wielkie postępy, ażeby surowy Immermann mógł go zużytkować dla sceny düsseldorfskiéj.

Po pierwszéj próbie założenia niemieckiego teatru narodowego, która tylko wskutek połączonéj z nią h a m b u r s k i é j dramaturgii Lessinga znalazła tak żywy poklask w potomności, w dwu oddzielnych odstępach czasu kierownictwo sceny hamburskiéj dostawało się w ręce Fr. L. Schrödera. Wielki mistrz zgromadził dobre siły aktorskie, którym wyznaczył wdzięczne zadania w postaciach szekspirowskich, melodramatach i komedyach, zwyczajnéj rutynie teatralnéj przeciwstawił dążenia artystyczne i wraz z prozą czasów burzy i zapędów, wprowadził także na scenę zgodną z naturą i wrogą wszelkiéj konwencyonalności sztukę aktorską. Natomiast w Gotha na czele nadwornego teatru stał wielki deklamator tragedyi w aleksandrynach Eckhof, z którego szkoły wyszedł Iffland. W Mannheimie Iffland rozwinął swoje siły, jako aktor i twórca tkliwéj mieszczańskiéj komedyi charakterów. Dramat rycerski z miejscowém zabarwieniem

palatynackiém, oraz pierwsze trzy młodzieńcze dramaty Schillera były pielęgnowane w Mannheimie w niemieckim teatrze narodowym, kwitnącym pod kierownictwem Heryberta von Dalberga. Sława sceny mannheimskiéj zbladła w czasie wojen rewolucyjnych, a z przeniesieniem się Ifflanda do Berlina tamtejska scena królewska poczęła się świetnie rozwijać. Iffland, jako dyrektor, a po nim hrabia Brühl, jako intendent, usiłowali wywiązać się poważnie ze swego zadania, chociaż pod kierownictwem Brühla opera i popęd do wystawności zaczęły już brać górę. Dopiéro jednak kiedy porucznik gwardyi Bothe von Hülsen stanął na czele teatrów królewskich, te ostatnie przestały być instytucyą sztuki. Nadzieje, jakie obudziła śmierć Hülsena, i objęcie rządów przez cesarza Wilhelma II-go, rozwiały się do szczętu. Nadworne sceny berlińskie odciągają od innych scen najlepsze siły, nie umiejąc ich same artystycznie zużytkować. Jak pan Hülsen uchylał się, dopóki tylko mógł, od wystawienia Wagnera, tak samo i teraz z pruskich nadwornych teatrów wyklucza się po dawnemu wszystko, co zdradza wyższe, oryginalne i obiecujące na przyszłość dążności. Sprężysta po żołniersku administracya, pomimo wyśmienitości królewskiego baletu, nie może cieszyć wobec braku jakiegokolwiek pojęcia o sztuce. Brutalna przemoc, z jaką hrabia Hochberg, ażeby się zemścić za żartobliwe słówko z powodu fiaska jego oper, wydalił z teatru pierwszego artystę Niemiec, Hansa von Bülowa, ma symboliczne znaczenie: wolna, żywa sztuka nie powinna mieć przystępu do królewsko-pruskich teatrów; to też pod tym względem wzniesienie się nadwornych teatrów w Wiesbadenie, Kasselu i Hannowerze, nad którém z innych powodów tak ubolewano, nie jest znowu wielkiém nieszczęściem. W teatrach miejskich przypadek może czasami postawić na czele człowieka, przejętego dążnościami artystycznemi; przy systemie Hülsenowskim, prowadzonym daléj przez hrabiego Hochberga, możliwość taka jest wykluczona.

Natomiast dwa nadworne teatry w dawniejszych i jeden w najnowszych dziejach teatru niemieckiego zajmują wybitne stanowisko. Stuletni jubileusz teatru weimarskiego obchodzono uroczyście na wiosnę roku 1891-go. Scena w Weimarze miała nietylko zaszczyt wystawienia poraz pierwszy „Wallensteina“, „Maryi Stuart“, „Narzeczonéj z Messyny“, „Wilhelma Tella“, „Ifigenii“, „Torkwata Tassa“, lecz więcéj niż dwadzieścia lat znajdowała się ona pod bezpośrednim kierownictwem Goethego, dopóki intrygi pewnéj aktorki, która była zarazem metresą wielkiego księcia, nie położyły kresu jego działalności. Co prawda, samemi tylko interesami sztuki, jak sobie to ten i ów zwyczajnie wyobraża, nawet Goethe, jako kierownik sce-

ny, nie mógł się całkiem powodować. Zwłaszcza w pierwszych latach i dla niego rozstrzygające znaczenie miał dochód kasy. Jednakże w związku z Schillerem dążył on do wprowadzenia planu w widowiskach i przedstawieniach, co teatrowi weimarskiemu zjednało opinię klasycznego. Uczył on najprzód aktorów, jak mają wygłaszać wiersze (a chodziło tu o wprowadzenie zupełnie nowego wiersza białego—pięciostopowego bezrymowego jambu), występował przeciwko wynikającemu z nawyknienia naturalizmowi pojedyńczych osobników i najwięcéj wartości przypisywał harmonijnemu działaniu zbiorowemu. Wskutek tego późniejsza szkoła wirtuozów lubiła się źle odzywać o weimarskiéj szkole aktorów, gdyż występowanie pojedyńczéj osobistości z ramy zbiorowéj nie było cierpiane na scenie Goethego, chociaż własnym ludziom chciał on postawić przed oczyma wielki przykład przez niejednokrotne gościnne występy Ifflanda. Tymczasem ta to właśnie, ulegająca zaczepkom, zasada działalności zbiorowéj stała się po roku 80-ym przyczyną wielkich powodzeń wędrownego teatru z Meiningen daleko po za granicami Niemiec. Jużciż w Weimarze zanadto się zbliżano do konwencyonalności sceny francuskiéj, tego rodzaju przepisy, jak np. żeby aktor nie zwracał się nigdy plecami do widzów, uważamy słusznie za niezgodne z wymaganym nawet przez najsurowszy artyzm p o z o r e m prawdy naturalnéj. Że wywierany niewątpliwie przez Goethego przymus do wytworzenia artystycznéj równomierności nie stał na przeszkodzie rozwojowi indywidualności, tego dowiódł niejeden artysta, jaki wyszedł z jego szkoły, przedewszystkiém zaś Pius Aleksander Wolff, którego dramat „*Preziosa*“ z muzyką K. M. Webera stanowi jeszcze dziś ulubioną rolę młodych aktorek. A i w wytworzeniu planu widowisk meiningeńczycy podjęli nanowo zasady weimarskie. Podobnie jak Goethe, podejmowali oni się zadań, które przez inne sceny były zostawiane na stronie. Jeżeli próby Goethego przyswojenia scenie niemieckiéj komedyopisarzy starożytnych, Plauta i Terencyusza, pozostały bez skutku, to przecież, wystawiając Sofoklesa w opracowaniu Rochlitza, wskazał on drogę późniejszemu przedsięwzięciu, któremu się poszczęściło uzyskać prawa obywatelstwa dla „Antygony“, jako gościa stałego. Szekspir w wierszach i Calderon byli naprzód grani w Weimarze. Niech sobie kto przytacza należyte powody przeciwko słuszności nazywania teatru Goethego niemieckim teatrem narodowym, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że ów okres reżyseryi Goethego był świetnym, kulminacyjnym punktem w dziejach teatru niemieckiego. Przez studya nad sceną Goethego wyrobił się także człowiek, który ugruntował sławę wiedeńskiego teatru, t. j. Schreyvogel. Skrę-

powany najbigoteryjniejszą cenzurą i wszelkiemi możliwemi i niemożliwemi względami dworskiemi, Schreyvogel umiał pomimo to wznieść „Burgtheater“ do godności pierwszego teatru w Niemczech. Jemu się to zapewne należy zasługa nietylko odkrycia geniuszu Grillparzera, lecz i nadania mu kierunku, wiodącego wprost do sceny. Sam Grillparzer i Laube, który w kilka dziesiątków lat później był następcą Schreyvogla, wysławiali jego zasługi, jako kierownika sceny. Opracowana przez Schreyvogla „Donna Diana“ Moreta jest jedyną komedyą hiszpańską, która się utrzymała stale na scenie niemieckiéj.

Jeżeli Schreyvogel umiał pokierować i podnieść pod względem artystycznym istniejącą instytucyę dworską, to poeta i pruski radca sądu ziemskiego, Karol Immermann, wziął na swe barki ciężkie, może wogóle nierozwiązalne zadanie podniesienia i pokierowania, bez opieki i poparcia zgóry, podrzędnéj zimowéj sceny miejskiéj, tak iż „mogła ona zająć miejsce wśród zakładów oświaty nad Renem“. Tylko parę lat trwała wzorowa scena w malarskiém mieście Düsseldorfie, lecz w odgrywających się od Gottscheda aż do Wagnera bolesnych dziejach niemieckiéj reformy teatralnéj, zwierzchnictwo Immermanna jest jedném z najradośniejszych i najznakomitszych zjawisk. Scena düsseldorfska, tak pod względem czasu, jak i pod względem swéj istoty, stoi jako ogniwo pośrednie pomiędzy sceną goethowsko-weimarską a wędrówkami meiningeńczyków.

Zanim Immermann satyrą i westfalską idyllą chłopską „*Münchhausen*“ wywalczył sobie zwycięstwo nad tendencyjnym romansem młodych Niemiec, dobijał się on w ciągu całych dziesiątków lat o wawrzyn dramatyczny. Miał on nadzieję, że potrafi objąć dziedzictwo po Schillerze i Kleiście. Udramatyzowaniem Andrzeja Hofera odważył się na śmiały krok sięgnięcia do historyi własnych czasów; jednakże magdeburczyk rozbił się już o samą próbę przeniesienia się myślą we właściwości południowo-niemieckiego kraju górskiego i jego mieszkańców. Następnie, podobnie ·jak Raupach i Grabbe, zwrócił się do Hohenstaufów; z zamierzonego cyklu został wykończony tylko „Cesarz Fryderyk II-gi“, i Immermann zwątpił w końcu o prawowitości krwi dramatycznéj w Hohenstaufach. W Monachium nie dopuszczono jego tragedyi hohenstaufeńskiéj wskutek bojaźliwości katolików, w Berlinie odepchnięto jego trylogię „Aleksy“, odgrywającą się za czasów Piotra Wielkiego. Dopiéro pod koniec dziewiątego dziesięciolecia wystawiono w Monachium obie części „Aleksego“ w skróceniu. Nawskroś pełno-niemieckiéj naturze Immermanna brakowało retorycznego patosu, który u Schillera i Wildenbrucha pory-

wa na scenie, brakowało mu zmysłowéj pełni, ożywiającéj postacie Grillparzera; w swoich komedyach przedrzeźnia on Szekspira jak pierwszy lepszy romantyk. Pomimo jednak wszystkich słabych stron, trylogia jego „Aleksy“ pozostaje dziełem, nakazującém szacunek i, tak pod względem poetycznym jak i teatralnym, wychodzącém daleko po za miarę przeciętną. Immermann tedy objął kierownictwo nieznacznego teatru miejskiego w Düsseldorfie, ażeby wytworzyć zeń scenę wzorową. Za swoich czasów studenckich widział on grę trupy weimarskiéj w Halli i Lauchstädt, a jéj harmonijne wyrobienie unosiło mu się przed oczyma jako ideał. Wkrótce odważył się na to, żeby ze swoją nowowyuczoną trupą przedstawić z nadzwyczajném powodzeniem najtrudniejsze dzieła, jak np. „Makbet“ i „Książę niezłomny“ Calderona, ba, nawet „Rycerza Błaubarta“, który Ludwikowi Tieckowi wydawał się niepodobnym do grania. Gdyby Feliks Mendelssohn, który przyobiecał kierowanie operą, nie był z tchórzliwych egoizmem odstąpił swego przyjaciela, to przy dyrektorskich zdolnościach Immermanna nie byłoby zbywało na powodzeniu finansowém. Tak jednak musiał on po dwuletniém szamotaniu się zaniechać obiecującego przedsięwzięcia; atoli przykład jego nie był stracony. Pokazał on, czego może dokazać pojedyńczy artysta, któremu chodzi przeważnie o podniesienie teatru niemieckiego. Właśnie, w czasie swojéj działalności w Düsseldorfie wypowiedział on przekonanie, że tragedya historyczna jest w Niemczech niemożebna; za to myt przedstawia dla niéj pole nowe, jeszcze niewyczerpane. Do przedmiotów mytycznych, po trwającém przez jakiś czas wahaniu się pomiędzy tragedyą hohenstaufeńską a dramatem muzycznym „*Siegfried*“. zwrócił się Ryszard Wagner, i on to zdobył dla swego narodu upragnioną przez Immermanna, służącą saméj tylko sztuce, scenę narodową. On to umiał połączyć w jedno dramat i operę.

To, czego dokonała dzielność Immermanna w Düsseldorfie, wypadnie nam jeszcze wyżéj cenić, jeżeli sobie obok tego uprzytomnimy, jak mało Tieck, który posiadał tak rozległe wiadomości w sprawach scenicznych, dokonał praktycznie jako długoletni doradca dworskiego teatru w Dreznie. Wszak w niektórych teatrach postanawiano sobie tu i owdzie zabrać się poważnie do sztuki, lecz przeciwieństwo pomiędzy wymaganiami wielkiéj sztuki tragicznéj a instytucyami zabaw, służącemi do zabicia nudów przesyconéj wielkomiejskiéj publiczności, nie da się przecież pogodzić. Wagner właśnie dlatego wielkomiejskiéj instytucyi zabaw przeciwstawił swoją świątynię widowisk uroczystych, rutynie każdowieczornego odgrywania komedyi swoje po-

wracające peryodycznie przedstawienia odświętne, ponieważ przekonał się, że w granicach zwyczajnego, modnego trybu spraw teatralnych wytworzyć stały styl sztuki narodowéj jest rzeczą niemożliwą. I meiningeńczycy pod wodzą swego księcia, obdarzonego istotnie poczuciem artystyczném, stanęli po za granicami przymusu codziennego, ciążącego na naszych teatrach. Podjęli oni z całą stanowczością goethowsko-immermanowską zasadę działania zbiorowego, gdyż na teatrach, opanowanych przez wirtuozów z ich pojedyńczemi występami, takie podporządkowanie jednego osobnika pod prawa całości stało się rzeczą obcą. Do jakiego stopnia takie działanie wspólne wychodziło na dobre i pojedyńczemu aktorowi, pokazywało się wtenczas, jeżeli członkowie trupy meiningeńskiéj na zasadzie wykazanych zdolności byli powoływani na inne sceny. Zdumiewano się, jak gra ich po za związkiem meiningeńskim była niezadawalającą. Lecz meiningeńczycy, posiadający wybrany i nie obliczony na wypełnienie każdego wieczoru plan widowisk, poświęcali najmniejszemu szczegółowi taką ilość prób, jakiéj inne teatry nie uważają za potrzebną do przygotowania planu zbiorowego na cały sezon. Wprowadzili oni do planu widowisk szereg dawniejszych i nowszych dramatów, o jakich zwyczajne sceny dworskie i miejskie nie byłyby nigdy pomyślały. Że wymienimy tylko najwybitniejszego, talent Alberta Lindnera, urodzonego w r. 1831 w Sulza w Turyngii, stał się po raz pierwszy głośnym, dzięki meiningeńczykom. Coprawda, sztuka Lindnera „Krwawe wesele czyli noc ś-go Bartłomieja“ (*die Bluthochzeit oder die Bartholomäusnacht*. 1871) cierpi na jedną nieuleczalną chorobę, mianowicie na brak dramatyczności w akcie ostatnim, jednakże takie sceny jak akt trzeci, przeciwstawienie Karola IX i Henryka de Béarn z jego wiarołomną a przecież kochającą go królewską narzeczoną, nie wyszły w nowszych czasach z pod pióra żadnego dramaturga niemieckiego, oprócz Artura Fitgera. Sława, zdobyta przez „Krwawe wesele,“ okazała się coprawda dla Lindnera zgubną; porzucił on miejsce nauczyciela gimnazyum, a kiedy dramata jego, następujące po „Krwawém weselu,“ nie zyskały sobie trwałego powodzenia, zginął w nędzy i obłąkaniu.

Zbiorowe występy meiningeńczyków ustały od dwóch lat; świéży i ożywczy strumień, który poruszył bagno niemieckich teatrów, został zatkany u źródła. W gazetach i broszurach pisano dużo za meiningeńczykami i przeciw nim. Że w przedstawieniu scen ludowych i bitew, np. w podburzającéj mowie Antoniusza w szekspirowskim „Juliuszu Cezarze,“ w zdobyciu bramy ś-go Tomasza w „Fiesku“

Schillera, dokonali oni rzeczy niepodobnych do przewyższenia i przez to podali innym scenom niedościgły wzór, na to musieli się zgodzić nawet ich przeciwnicy. Lecz właśnie ich sztuka wystawienia i inscenizowania wywołała najzaciętsze nagany. Z szyderstwem mówi się o „meiningeńskości“ (*Meiningerei*). Niedorzecznego przepychu w wystawie meiningeńczycy nie potrzebowali dopiéro wynajdywać, gdyż znała go już włoska opera wieku XVII na scenach niemieckich; nigdy go téż nie praktykowali. Dzięki Henrykowi Laubemu, który zarówno jako kolejny kierownik teatru w Lipsku, Hofburgteatru i wiedeńskiego teatru miejskiego, jak i przez swoje pisma teoretyczne wywierał wielki wpływ na praktykę sceniczną, weszło było w zwyczaj wielce dogodne dla intendentów i reżyserów lekceważenie wystawy. Laubemu, którego przez całe życie nie opuszczała wspólna wszystkim członkom „młodych Niemiec“ predylekcya do literatury francuskiéj, unosiła się przytém przed oczyma panująca na znakomitszych scenach francuskich tradycyjna prostota sceny. Jeszcze w piątym dziesiątku *Académie royale de musique* lękała się, żeby się nie poniżyć, jeżeli w „Wolnym strzelcu“ Webera wystawi ulubione w teatrach bulwarowych piekielne widowisko wilczéj pieczary. Sam Laube coprawda, przy całéj wrodzonéj trzeźwości, był tak zręcznym reżyserem, że jeżeli o to chodziło, umiał on statecznie zainscenizować nawet tragedyą historyczną, jak np. „Rozterkę bratnią w Habsburgu“ Grillparzera, w wiedeńskim teatrze miejskim. Meiningeńczycy zaś, w przeciwieństwie do Laubego i jego szkoły, nadawali największe znaczenie nie tylko historycznéj wierności w dekoracyach i kostyumach, lecz także pełnéj nastroju wystawie, i na tém właśnie polega ich wyższość i zasługa. Właśnie w takich dramatach, jak *„die Ahnfrau“* Grillparzera, *„der Erbförster“* Ludwiga, które nie potrzebują żadnéj osobliwéj wystawy, ich sztuka inscenizowania osięgła skutek najwyższy. Zapewne, dla poezyi i teatru jest rzeczą zupełnie obojętną, czy jakiś hełm lub kusza pochodzą rzeczywiście z wieków dawniejszych lub są stylowo naśladowane. Niebezpieczeństwo zaś, że teatry nasze staną się zbiorem starożytności, istnieje conajwyżéj z powodu mających prawo pobierania emerytury śpiewaczek. Jeżeli meiningeńczycy posunęli daléj pewnego rodzaju amatorstwo, to jest ono zgoła nieszkodliwém. Ogółem biorąc, przykład ich oddziałał na teatry nadzwyczaj korzystnie, i zakorzenioną oddawna bezmyślność napiętnował przynajmniéj jako taką; za niesmaczne przeholowanie ich słusznych zasad nie można ich czynić odpowiedzialnymi.

Jednakże przeciwko sztuce inscenizacyjnéj meiningeńczyków i Ryszarda Wagnera wystąpiła także opozycya literacko-historyczna. Już Ludwik Tieck wychwalał zalety staro-angielskiéj sceny bez kulis i naprzód w nowelach opisywał przedstawienia dyletantów na tego rodzaju scenie, następnie zaś, będąc powołany przez króla Fryderyka Wilhelma IV, przedsięwziął w Berlinie odpowiednią inscenizacyę „Snu nocy letniéj.“ Boleśnie odczuwano niemożność uskutecznienia na scenie kulisowéj szybkiéj zmiany scen w dramacie szekspirowskim lub w „Götzu“ Goethego, to téż np. Immermann w Düsseldorfie dla wystawienia „Makbeta“ urządził scenę tak, że zawiérała ona własne odosobnione przedziały. W Oberammergau posiadano, i to bynajmniéj nie wskutek oparcia się o tradycye średniowieczne, scenę przednią i zamykalną przy pomocy zasłony scenę środkową dla obrazów (*tableaux*) i scen domowych, po obu zaś jéj stronach prawdziwe balkony. Znakomity architekt Schinkel nakreślił plany dla połączenia sceny przedniéj, zamykalnéj sceny tylnéj i sceny górnéj (balkonu) z pochodzącą pierwotnie z opery włoskiéj nowoczesną sceną kulisową. W założoném przez Ryszarda Wagnera czasopiśmie „*Bayreuther Blätter*“ ogłoszono przed kilku laty owe plany, pochodzące z trzeciego dziesiątka lat naszego wieku, a intendent królewskiego teatru nadwornego w Monachium, baron Perfall, postanowił przy pomocy swego maszynisty Lautenschlägera wypróbować w praktyce projekty Schinkla. Tym sposobem powstała przed czterema laty tak zwana, nie zupełnie zresztą słusznie, monachijska scena szekspirowska. Ma tu miejsce tylko zmiana tylnéj dekoracyi, mogąca być wykonaną łatwo i szybko, gdy tymczasem scena przednia za pomocą osobnéj zasłony może być oddzielona od sceny tylnéj, wzniesionéj na kilka stopni. Dla Szekspira i Calderona, tudzież dla „Götza“ Goethego i „Konradyna“ Greifa stwierdzono dogodność takiego urządzenia, na wzór którego urządzono również sceny w niemieckim teatrze w Pradze oraz w ludowym teatrze w Mühldorfie, gdy tymczasem przeniesienie na scenę szekspirowską „Dziewicy Orleańskiéj,“ obliczonéj na scenę nowoczesną, okazało się próbą chybioną. Całe urządzenie nie wyszło jeszcze po za stadyum próby; w każdym razie atoli mamy tu do czynienia z próbą znakomitą i godną uznania. Tylko nie powinniśmy się oddawać złudzeniu: do prostoty staro-angielskiéj sceny już nie możemy powrócić; nawet zreformowana scena monachijska jest od tego daleka. Zastosowanie nowo-zdobytych środków wystawowych i kunsztów technicznych nie jest także samo przez się złem, tylko że powinny one być oddane na usługi dramatycznego oddziaływania, a nie

służyć do zaspokojenia nieokrzesanéj ciekawości wzroku. Że teatry nasze nie oddają środków dekoracyjnych na usługi zbiorowego dzieła sztuki, z tego robił im zarzut Wagner; jeżeli zaś występował sam z żądaniami do maszynisty, to działo się to zawsze dla wywołania poetycznego, leżącego w samym przedmiocie skutku, a nie wskutek ugania się za efektem. Chcieć głosić purytańską prostotę sceny z dawniejszych stuleci, znaczy stawać w sprzeczności z całym koniecznym rozwojem.

Dworski teatr w Monachium, jako siedlisko do uprawiania jedynie muzycznego dramatu Wagnera, nie zajął nigdy wyraźnego stanowiska względem dramatu wogóle, gdyż próbowane kilkakrotnie zjednoczenie najwybitniejszych aktorów niemieckich w celu urządzenia przedstawień wzorowych nie było niczém więcéj tylko świetnym fajerwerkiem. Swoją drogą jednak teatr dworski w Monachium obok nadwornych scen w Karlsruhe i Dreznie można nazwać rodzimym i wybornym. Weimar — i to jest nieoceniony wpływ jego najlepszych czasów — łatwiéj niż inne teatry otwiera swe podwoje młodym poetom i kompozytorom, którzy zresztą najczęściéj więcéj obiecują, aniżeli dotrzymują. Najgorszy smak panuje na scenach berlińskich. Przy założeniu „niemieckiego teatru“ obiecywano sobie, że powstanie tutaj podobna klasyczna instytucya wzorowa dla Niemiec, jaką od dawnych czasów stała się *Comédie française* dla Francyi. Lecz wszystkie te zakładania teatrów w Berlinie okazały się może świetnym interesem dla ich założycieli, sztuka nie odniosła z nich żadnego pożytku. Co się tyczy zgoła osławionéj „sceny wolnéj,“ założonéj jako środek osobistéj reklamy dla panów Brahma i Schlenthera, bohaterów poematu Wilbrandta, który nabrał rozgłosu dzięki wiedeńskim rozprawom sądowym, to zaiste służy ona nie jakiéjś nowéj, wolnéj sztuce, lecz przesytowi i moralnéj zgniliznie pewnych sfer wielkomiejskich. Na daleko większą sympatyę zasługuje powołana do życia przez demokratów socyalnych wolna scena ludowa. Że robotnicy czują potrzebę ujrzenia czegoś innego, niż oklepanych fars i roztrzepanych operetek i chcą, żeby i na nich podziałało ze sceny artystyczne odzwierciedlenie surowszego dla nich niż dla innych życia, jest to znak żyjącéj w ludzie myśli poważnéj. A jak mogłaby tutaj oddziaływać scena jako instytucya moralna w sensie schillerowskim, gdyby rządy niemieckie, wbrew Lessingowi, Schillerowi, Kuglerowi, Wagnerowi, nie trwały uporczywie w zapatrywaniu się na teatr jedynie jako na jednę z zabaw publicznych, tyleż wartą co i inne! Tak zaś berlińska scena robotnicza dostała się w ręce dziennikarskich twórców sceny wolnéj,

i podczas kiedy chwalebne samo w sobie przedsięwzięcie utrudnia się drobiazgowemi policyjnemi szykanami, dla publiczności robotniczéj gra się „Widma“ Ibsena!

Już w połowie ósmego dziesięciolecia wystawiono w Monachium „Jazdę północną“ Ibsena, która dla Niemców jest dość dziwném przeniesieniem podania o Nibelungach w stosunki chłopskie. Za „Jazdą północną“ nastąpiła w monachijskim teatrze rezydencyjnym „Nora,“ którą wiedeńczycy w najwyższym stopniu nierozsądnie wygwizdali, gdy tymczasem w Monachium poznano się od początku na wybitnym talencie dramaturga norweskiego. Dopiéro jednak w dziesięć lat późniéj poczęto sobie w Berlinie rościć pretensye do odkrycia Ibsena i człowieka, który z ostro zakończoną tendencyą pisał pod wrażeniem osobliwych stosunków w swojéj ojczyźnie, wyniesiono do godności świętego patrona najnowszego dramatu niemieckiego. Dziś należy do dobrego tonu marzyć o Ibsenie i Wagnerze, podobnie jak w r. 1876 było oznaką odpowiedniego duchowi czasu wykształcenia płaskie, pospolite dowcipy Pawła Lindaua nad „Pierścieniem Nibelungów“ uważać za genialne, a Wagnera nazywać niemożliwym. Jakkolwiek jest niedorzeczném i szkodliwém wprowadzać na scenę ludową dyalektyczny pesymizm i determinizm Ibsena, przygniatający np. w „Widmach“ czytelnika i widza do ziemi, to przecież można się przynajmniéj cieszyć, że moda hołduje potężnemu, choć jako wzór nie działającemu zbawiennie talentowi, zwłaszcza, że hołduje żyjącemu. Wogóle krytyka i publiczność zdają się być tego mniemania, że należy hołdować tylko tym żyjącym poetom, których sława nie przetrwa ich życia; przeciwnie z poetami, których sławę czci potomność, wypada obchodzić się za życia jak tylko można najgorzéj. Jest to także rodzaj wyrównywającéj sprawiedliwości, a ponieważ chodzi tu o poetów, więc ostatecznie jest to nawet pewnego rodzaju sprawiedliwość poetyczna. Oto nap. w Styczniu r. 1891 obchodzono w Austryi i Niemczech setną rocznicę urodzin Franciszka Grillparzera; sceny północno-niemieckie ni stąd ni zowąd w dziełach, grywanych najprzód w Wiedniu przed pół wiekiem, a następnie ożywionych nanowo przez Laubego, odkrywają cenne podpory dla swych repertuarów, a czytająca publiczność północno-niemiecka zaczyna czytać zebrane coprawda dopiéro po śmierci Grillparzera dzieła „austryackiego Schillera.“ Naturalnie, miano to okaże się trafném tylko wtedy, jeżeli ktoś zechce przyganić opieszałemu usposobieniu szczepu austryackiego w przeciwieństwie do zdecydowanéj energii szwabów, gdyż właśnie owéj nie cofającéj się przed żadnemi względami siły Schillera, z jaką ten ostatni wyrwał się

z pod ucisku kraju rodzinnego i urzeczywistnił swe samowychowanie na drodze swobodniejszéj, brakowało zupełnie synowi Wiednia. Lecz gdyby żyjącego obdarzono choć cząstką tego uznania, jakie spotyka obecnie nieboszczyk, posuwający się stopniowo do godności niemieckiego klasyka, to Grillparzer zamiast zgorzkniałych epigramatów byłby stworzył szereg arcydzieł dramatycznych.

Dzięki wrodzonemu i w nieustannych studyach wyrobionemu geniuszowi dramatycznemu, Grillparzer, jak nikt inny, był powołany do następstwa po Schillerze i Kleiscie. Pierwsza jego sztuka „Matka rodu“ (*die Ahnfrau*) wykazała taką dramatyczną potęgę, jak żadna tragedya niemiecka od czasów „Zbójców.“ Właśnie zewnętrzne spotkanie się z tragedyą przeznaczenia powinno było pokazać każdemu nieuprzedzonemu, jak nieskończenie wysoko młody dramaturg wiedeński stoi ponad mizerną rzeszą poetów przeznaczenia. Tymczasem krytyka niemiecka a nawet cieszące się słuszną wziętością historye literatury nie przestawały aż do ósmego lat dziesiątka umieszczać Grillparzera w liczbie poetów przeznaczenia i ignorować wszystkie jego utwory, jakie nastąpiły po dziele młodzieńczém. W sądzie tym nie mogło zmienić nic nawet ogromne powodzenie, jakie sobie zdobył na wszystkich scenach drugim swoim dramatem „Sappho,“ sławionym przez lorda Byrona jako dzieło nieśmiertelne. Przypięto Grillparzerowi etykietę poety przeznaczenia, i koniec. Z pomiędzy następnych wielkich tragedyi Grillparzera nie wiele przedostało się po za czarno-żółte słupy graniczne, a nawet już wykończone utwory zatrzymał wkrótce w swojém biurku. Metternichowska cenzura umiała najgenialniejszego poddanego doprowadzić do frondy, a dramaturga zmusić do zamilknienia. Do walki politycznéj, na podobieństwo hrabiego Auersperga (Anastasiusa Grüna), Lenaua, pisarzy młodych Niemiec, Grillparzer nie był stworzony. Kiedy zaś marzec roku 1848 przyniósł nareszcie wolność słowa, wtedy Grillparzer był już stary i zgorzkniały. Stare austryackie państwo policyjne może się pomiędzy innemi chlubić, że pozbawiło naród niemiecki największego po Schillerze dramaturga, — mam przytém zawsze na myśli dramat bez pomocy muzyki. Kiedy Grillparzer jedynie dla własnego zadowolenia i dla potomności pracował nad takiemi dramatami jak „Estera,“ „Libusza,“ „Bratnia rozterka w Habsburgu“ (*ein Bruderzwist im Habsburg*), które są może najwspanialszemi tragedyami historycznemi, jakie zostały napisane od czasów Szekspira, — spółzawodniczący z nim zwycięsko i jako urzędnik baron Münch-Bellinghausen (Fryderyk Halm, 1807 — 1871) święcił tryumfy zarówno na scenach austryackich i niemieckich,

jak i u krytyki. Jeżeli utworzona pod wrażeniem upadku Napoleona tragedya „Szczęście i koniec króla Ottokara“ została zabroniona ze względu na Czechów, uczczenie zaś wierności poddańczéj w tragedyi „Wierny sługa swego pana“ wywołało zgorszenie, ponieważ pewien książę z Meranu na Węgrzech dopuścił się podobnéj winy, jak niegdyś Appius Claudius w Rzymie; jeżeli głęboka myśl, ukryta w sztuce „Sen życiem“ (*der Traum ein Leben*), nie była zrozumiana, a wdzięczna zmysłowość jedynéj tragedyi miłosnéj „Hero i Leander,“ godnéj stanąć obok „Romea i Julii,“ została zepsuta wskutek niedostatecznego przedstawienia, — to natomiast płaski i płytki talent Halma nie mógł u góry powodować zgorszenia, a jego opracowane na efekt dramaty mogły nawet przez miernych aktorów być z pewnym skutkiem wystawiane przed czułą publicznością. Pierwszy dramat Halma „Griseldis“ (1837), stara treść nowelistyczna, zaczerpnięta z Petrarki i Boccaccia, bywa i dziś jeszcze grywany, a „Szermierz z Rawenny“ (*der Fechter von Ravenna* 1857), który nie jest niczém inném, tylko napuszoną w złym sensie po teatralnemu historyą o synu Cheruska Hermanna, Tumeliku, którego własna matka, wzięta do niewoli Tusnelda, zabija, ażeby nie dopuścić do jego haniebnego występu jako gladyatora, „Szermierz“ ten bywa jeszcze chętnie odszukiwany przy występach gościnnych. Wprawdzie ta Ifflandowska mieszanina patryotyzmu, cnoty i młokosostwa jest czczą i powierzchowną, jak sobie tylko można wyobrazić, powodzenie jednak było znaczne. Jeszcze większy, lubo nie tak długotrwały poklask znalazł „Syn puszczy“ (*der Sohn der Wildniss* 1842). Komedya „Wildfeuer“ (1864) zyskała sobie na długo i słusznie prawo obywatelstwa w planie widowisk. Jamby Halma płyną gładko i ponętnie, a w śmiałéj próbie wykonania nakreślonego przez Goethego planu dramatu „Ifigenia w Delfach“ (1864) powiodło mu się również dobrze, jak niegdyś Aug. W. Schleglowi w jego „Jonie,“ naśladować zręcznie podobieństwo niedościgłego wzoru. Halm nie jest dramaturgiem, któregoby można wymienić obok Grillparzera i Hebbla; a że teatra oddawały mu przed tamtemi pierwszeństwo, to zawdzięcza on to nie swym zasługom dramatycznym, lecz tylko mierności, która jest wszędzie pożądaną, gdzie szorstka oryginalność wybitnéj wielkości niełatwo znajduje przystęp. Halm jednak nigdy nie nadużywał swego talentu, poddał on się, jak umiał, działającemu wciąż przykładowi Schillera. Natomiast wydany przez Karola Rosenkranza surowy, potępiający wyrok przeciwko charakterystycznéj tragedyi w prozie A. E. Brachvogla (ur. 1824 we Wrocławiu, zm. 1878 pod Berlinem) p. t. „Narcyz“ — nie utracił swéj słuszności. Jednakże wskutek niezwykle wdzięcznéj roli popisowéj główne-

go aktora sztuka ta, dawana po wiele razy, cieszy się wcale nieodpowiednim rozgłosem.

Pod tytułem „Krewniak Rameau“ (*Rameaus Neffe*) Goethe przetłómaczył pewien rękopis Diderota, traktujący o rozmaitych rodzajach sztuki. Kiedy w naszém stuleciu zbierano dzieła Diderota, z owego nigdy we Francyi nie drukowanego dyalogu nie można było odszukać ani jednego manuskryptu, tak, iż nie pozostało nic innego, tylko z opracowania Goethego sporządzić nanowo odwrotny przekład francuski. Dopiéro późniéj znalazł się odpis oryginalnego tekstu Diderota. Tym to krewniakiem głośnego i bogatego muzyka Rameau jest Narcyz, genialny łajdak, który zblazowane i intrygujące towarzystwo dworskie Ludwika XV zabawia swemi cynicznemi prawdami. Pewnego poranku jego kochana młoda żona gdzieś mu się zapodziała, od tego czasu więc nienawidzi on i pogardza ludzkością i samym sobą. Daje się on użyć w pewnéj intrydze, ukutéj przeciwko pani Pompadour na korzyść królowéj i w oszkalowanéj metresie znajduje ukochaną kobiétę swojéj młodości. Niespodzianka ta zabija królewską metresę i zmarnowany geniusz, a kto nie wié nic o pani Dubarry, gotów uwierzyć, że oto królowa wstąpi na nowo w przynależne jéj prawa. Nieszczęśliwy król bawarski Ludwik II w latach późniejszych okazywał szczególne upodobanie do tragedyi Brachvogla, jak i do wszystkiego, co miało związek z Ludwikiem XIV i XV i Maryą Antoniną lecz poetyczna wartość téj sztuki jest nadzwyczaj mała. Natomiast pewien dramat alzackiego poety Ludwika Schneegansa (ur. 1842), napisany w początkach panowania króla Ludwika, zasługuje na szczególną pochwałę. Od czasów „Tassa“ Goethego i „Correggia“ Oehlenschlägera ludzkie cierpienia geniuszu, użyczającego w swych dziełach innym ludziom pociechy i otuchy, stały się ulubionym tematem dramaturgów. Gutzkow w swoim „Poruczniku królewskim“ (1852) wziął za treść dramatu obałamucenie młodego Goethego w czasie zajęcia Frankfurtu przez Francuzów, Laube w swojéj sztuce „*die Karlsschüler*“ zużytkował tak samo zatarg Schillera z jego gwałtownym monarchą; a chociaż wartość artystyczna obu dzieł jest niezmiernie mała, to jednak jeszcze dziś sprawiają one z całą świeżością wrażenie na deskach teatralnych. Schneegans zaś, którego tragedye historyczne „Jan Bockhold“ i „Marya, królowa Szkocyi“ nie wznoszą się ponad masę przeciętną, w „Drodze do pokoju“ (*Der Weg zum Frieden.* 1874) nie poprzestał na skupieniu całego wrażenia w imieniu Molière’a, lecz każe nam przeżywać wspólnie walkę duchową wielkiego szydercy z głupstw ludzkich, pasującego się z niegodną miłością i zazdrością. Stosunek Ludwika XIV-go do najoryginalniejszego

poety swego wieku opracowany jest tutaj z niehistorycznym idealizmém; to téż Gutzkow w swojém nieocenioném i nieprzestarzałém arcydziele „Pierwowzór Tartuffe'a“ (*Das Urbild des Tartüffe.* 1847) próżnemu i zmysłowemu samowładcy, tak w łaskawém, jak i niełaskawém usposobieniu, każe zupełnie inaczéj i zgodniéj z prawdą zachowywać się wobec poety. Gutzkow wystawił poetę jako zwycięzcę nad wszystkiemi intrygami, tymczasem Schneegans każe nam cierpiéć wraz ze zranionym w głębi duszy poetą i przeciwstawia geniuszowi bezduszną zalotność kobiéty.

(*Dok. nast.*) *Dr. Max. Koch.*





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

IV.

Wpływ temperatury na zwierzęta: zimnokrwiste (zmiennocieplne) i ciepłokrwiste.—Regulowanie ciepła.—Oziębiające działanie powierzchni skóry.—Duże i małe zwierzęta.—Dzieci i dorośli ludzie.—Karzeł.—Regulacya fizyczna i chemiczna. — Ilości wydzielanego dwutlenku węgla w rozmaitych temperaturach.—Przyjmowanie pokarmów.—Praca mięśni.—Dodatkowe środki pomocnicze regulacyi. — Prawo regulowania ciepła.

Śród zmian fizycznych, jakim podlega ziemia i jéj twory, wahania temperatury bezwątpienia pierwszorzędne zajmują miejsce. Zobaczmyż, w jaki to sposób zmiany temperatury otoczenia wpływają na istoty żyjące. Wydaje się to pytanie dość prostém i wielu zapewne sądzi nawet, że codzienne mimowolne doświadczenia, robione przez ludzi, wystarczą, aby dać tu we wszystkich kierunkach zadawalniającą odpowiedź. Ta wszakże surowa empirya nazbyt często zawodzi, a osobiste wrażenia ludzi, nie nawykłych do naukowych badań, prowadzą do nader błędnych wniosków. Często wydaje się ludziom niezrozumiałém, dlaczego tak rozległych i zawiłych potrzeba poszukiwań dla zbadania zjawisk życiowych. Każdy przecie jé i pije — dlaczegóżby więc nie miał być w stanie na podstawie swych własnych obserwacyi rozstrzygać o wartości pokarmów? Każdy niemal liczyć się musi ze zmiennemi stanami pogody — dlaczegóżby nie miał potrafić wydać sądu o działaniach klimatu? I istotnie, każdy prawie człowiek ma swoją własną teoryę żywienia, w któréj mistyczne poglądy zmieszane są z prawdą, każdy ma swoje osobiste poglądy na znaczenie wpływów klimatycznych, w których

ziarnko prawdy ginie w masie uprzedzeń i przesądów. I jakkolwiek, pomimo wielu błędów, te teorye „do własnego użytku“ rzadko człowiekowi szkodzą, to jednakże empirya naukowa opiérać się na nich nie może. Trwałe, niezmienne prawa strzegą dobra indywiduów, lecz zarazem wszędzie wymagają bezwarunkowego podporządkowania indywidualności. Badania przeto naukowe muszą, o ile można, najzupełniéj wykluczyć momenty subiektywne, muszą opiérać się na wypróbowanéj, wolnéj od osobistych błędów, metodyce doświadczalnéj. I w tych wszystkich wypadkach, w których droga takiego badania nie jest przed nami zamknięta, po niéj przedewszystkiém stąpać należy, jeżeli nie chcemy błądzić i poomacku celu szukać.

Nie na wszystkie zwierzęta wpływ otaczającéj temperatury jest jednakowy; lecz można je w tym względzie na dwie wielkie podzielić grupy: zwierzęta zmiennocieplne (niesłusznie także zimnokrwistemi zwane) i równocieplne (ciepłokrwiste). Pierwsze zmieniają temperaturę swego ciała, wraz ze zmianami temperatury otoczenia, zachowują się więc zupełnie tak, jak materye nieożywione, przyczém wszakże pamiętać winniśmy, że życie wogóle przywiązane jest do pewnych tylko temperatur. Temperatury bliskie punktu zamarzania wody obniżają zjawiska życiowe do owego *minimum*, które nazywamy pozorną śmiercią, a jeszcze niżéj nieco rzeczywista śmierć panuje; wysokie zaś temperatury (około 40° C.) również działają zabijająco. Lecz pośrodku tych ciasnych granic, zakreślonych życiu, intensywność zjawisk życiowych u zwierząt zmiennocieplnych w prostéj nader pozostaje zależności od temperatury. Z wzrastaniem ciepła zwierzę żwawo się porusza, szybko i chciwie przerabia pokarmy w swém ciele; w miarę zaś jak temperatura opada, leniwieje, zapada w półsen, wszelkich pozbywając się potrzeb.

Zupełnie wszakże inaczéj zachowują się zwierzęta ciepłokrwiste. Wobec największych choćby wahań temperatury otoczenia, nie zmienia się prawie wcale temperatura ich krwi. Znane nam są takie zwierzęta ciepłokrwiste, których temperatura waha się zaledwie w granicach dziesiątych części stopnia, podczas gdy w klimacie ich ojczyzny zachodzą wahania od — 60° do + 40°. Jakkolwiek górna granica (temperatury) życia ciepłokrwistych nie wiele jest różna od téjże granicy dla zmiennocieplnych, znacznie jednak niższą jest dla nich granica niskich temperatur. Ciepłokrwiste zwierzę przedstawia pod tym względem wyższy stopień w osiągnięciu pożytecznych właściwości biologicznych. Jest-to organizm sprawny w daleko szerszych granicach i to prawie zawsze jednakowo sprawny, pomimo znacznych różnic temperatury, potrafi on bowiem zawsze w jednakowéj

temperaturze zachować komórki swego ciała, życie zaś tych komórek nierozerwalnie ze stanem ich cieplnéj najlepszości (*optimum*) jest związane.

Dzięki jakiemu mechanizmowi, wypada z kolei zapytać, zawdzięcza ciepłokrwiste zwierzę tę swoję niezależność od temperatury świata zewnętrznego? Otóż, możnaby pomyśléć o kilku takich urządzeniach regulacyjnych. Z jednéj strony mogłyby zwierzęta posiadać zdolność przystosowywania produkcyi swego ciepła do zewnętrznych warunków za pomocą przyrządu odruchowego, z drugiéj zaś środki ochronne przeciw utracie ciepła mogłyby polegać na zmianach w krążeniu krwi. Wiadomo nam, że krwionośne naczynia skóry mogą przez skurczanie się swych mięśni okrężnych zwężać się, przez osłabnięcie zaś tychże mięśni rozszerzać. Odpowiednio do tego zmienia się ilość krwi płynąca przez skórę; gdy zaś w obiegu swym krew w najściślejszém znajduje się zetknięciu z komórkami ciepło wytwarzającemi, przeto zmienia się téż ilość ciepła przenoszonego do skóry. W rzeczywistości wszakże dzieje się tak, że pod wpływem zimna zwężają się włoskowate naczynia skóry, a w cieple rozszerzają się. Istotnie przeto, ten fizyczny sposób regulacyi ciepła jest faktem fizyologicznym, dobrze uzasadnionym. Wreszcie mogłyby się kombinować obadwa sposoby regulowania ciepła: sposób, polegający na reakcyach odruchowych, ze sposobem, opierającym się na ilościowych zmianach w krążeniu krwi w skórze.

Sprawa ta zwróciła na siebie uwagę już pierwszych eksperymentatorów-biologów. Już Lavoisier wkrótce po odkryciu roli tlenu przy oddychaniu zajął się tém pytaniem i sądził, że podczas zimna organizm nasz więcéj wchłania tlenu niż w cieple, że zimno więc pobudza w wyższym stopniu reakcye utleniania (spalania) we wnętrzu naszego ciała, zupełnie tak, jak podczas zimnych dni więcéj téż niszczymy paliwa w piecach, aby utrzymać normalną temperaturę pokojową.

Lecz to odkrycie Lavoisiera stało się dopiéro początkiem dalszych na tém polu badań. Colasanti badał świnki morskie przy 7,4° i przy 18,8° i znalazł istotnie różnice w ilościach wdychanego tlenu i wydychanego dwutlenku węgla, dochodzące do jakich 40%. W tym samym kierunku wypadły późniejsze badania Finklera i księcia bawarskiego Karola Teodora, dokonane w monachijskiéj pracowni fizyologicznéj. Doświadczenia te dotknęły zajmującego nas pytania z jednéj tylko strony. Musimy przeto zapytać, czy tém sprawa cała zostaje wyczerpaną?

Gdy w pewnéj określonéj temperaturze obserwujemy zwierzęta

rozmaitéj wielkości i za pomocą kalorymetru mierzymy utratę ich ciepła, przekonywamy się, że oziębiają się one bynajmniéj nie jednakowo. W warunkach zupełnie jednakowych — oczekiwać wypada, że małe zwierzę oziębi się znaczniéj aniżeli duże. Wyobraźmy sobie np. sześciany rozmaitéj wielkości: Sześcian, mający jeden metr długości krawędzi, a więc o objętości jednego metra sześciennego, ma sześć boków po jednym metrze kwadratowym, jeżeli przypuścimy, że ciężar właściwy tego sześcianu jest jednostką, w takim razie na 1 kilogram sześcianu takiego przypadnie $\frac{6}{1000}$ metra kwadratowego, czyli 60 centymetrów kwadratowych powierzchni. Lecz gdy taki sześcian o objętości 1 metra sześciennego podzielimy na 1000 równych sześcianów, każdy po 1 decymetrze sześciennym, w takim razie każdy z tych małych sześcianków, ważący po 1 kilogramie, ma powierzchnię 6 kwadratowych decymetrów czyli 600 centymetr. kwad., a więc 10 razy większą niż kilogram w dużym sześcianie. Większa powierzchnia więcéj przez promieniowanie traci ciepła aniżeli mniejsza. Ściśle przeto przeprowadzone doświadczenia powinny wykazać odpowiednie różnice w oziębianiu się pomiędzy małemi a dużemi zwierzętami.

Doświadczenia takie wykonał prof. Rubner [1]), obecny dyrektor instytutu hygienicznego w Berlinie, już przed kilku laty. Oto kilka rezultatów tych badań: pies ważący 31,2 kilogram., a mający całkowitéj powierzchni ciała 10750 centym. kwadrat., tracił na 1 kilogram ciała w ciągu 24 godzin 35,68 ciepłostek; pies zaś ważący 3,19 kilogr., o powierzchni 2423 centm. kwadr., tracił w tych samych warunkach na 1 kilogr. 88,07 ciepłostek. Zrozumiemy to łatwo, gdy obliczymy, że u pierwszego zwierzęcia na 1 kilogram ciężaru przypada powierzchni 344 centym. kwadr., u drugiego zaś na 1 kilogr. 726 centym. kwadr.

Możnaby sądzić, że tych doświadczeń wykonanych ze zwierzętami nie powinniśmy przenosić na organizm człowieka. Lecz Rubner dowiódł, że to przystosowywanie się ciała do utraty ciepła stanowi zasadnicze prawo wszystkich żyjących tworów, występujące we wszelkich, choćby możliwie najodmienniejszych warunkach. Od najdawniejszych czasów mówi się o większéj żwawości wszelkich procesów życiowych w młodości; dokładne mierzenia pozwoliły się przekonać o szybszém tętnie, żwawszém oddychaniu, obfitszéj ilości pochłanianego tlenu i znaczniejszéj ilości produkowanego ciepła przez dzieci. Lecz zazwyczaj uważa się to wszystko bezpośrednio, jako właściwo-

---

[1]) Porówn. dr. M. Rubner „Biologische Gesetze". Marburg.

ści młodéj komórki. Tymczasem w nieco innêm świetle ukazują się te fakty, gdy doświadczenia podobne do powyższych dają się zupełnie niedwuznacznie i tutaj wykonać. Okazuje się, że wytwarzanie się ciepła u dzieci rozmaitego wieku i u dorosłych tak jest ilościowe różne, jak różnemi są powierzchnie odnośnych organizmów. Dziecko, ważące 4 kilogr. o powierzchni ciała 3013 centym. kwadrat. straciło na 1 kilogr. ciała w ciągu 24 godzin 91,3 ciepłostki; dziecko ważące 23,7 kilogr. o powierzchni 10156 cent. kwadr, straciło w tym samym czasie na 1 kilogr. 59,5 ciepłost.; dziecko ważące 40,4 kilogr. o powierzchni 14491 centym. kwadr. straciło w tych samych warunkach 52,1 ciepłostek. Zrozumiemy te rezultaty, gdy obliczymy, że u pierwszego dziecka na 1 kilogram. ciała przypada 747 centym. kwadr. powierzchni, u drugiego 429, a u trzeciego tylko 358. Dodamy, że mężczyzna przy średniéj pracy, ważący 67 kilogr. i mający powierzchnię wynoszącą 20305 centym. kwadr. stracił na 1 kilogr. ciała 42,4 ciepł. w ciągu 24 godzin. Ale téż tutaj 1 kilogramowi ciała odpowiada tylko 303 centym. kwadratowych powierzchni.

To oziębianie się, zależne od czysto fizycznych warunków ciężaru i powierzchni ciała, jest zawsze pierwszą przyczyną, która w organizmie dziecka sprowadza za sobą inne zmiany. W miarę większego zużywania się tkanek podczas wzrostu i rozwijania się dziecka, musi też wzrastać ilość przepływającéj w jednostce czasu krwi, oraz liczba uderzeń tętna. Liczby otrzymane z odnośnych pomiarów najzupełniéj potwierdzają ten wniosek, porównane zaś z rezultatami mierzeń kalorymetrycznych pozwalają doskonale dojrzéć ścisłą pomiędzy wszystkiemi temi zjawiskami zależność.

wiek dziecka	produkcya ciepła na 1 kilogr.	liczba uderzeń tętna	ilość krwi krążącéj na 1 kilogr. ciała
1 miesiąc	91,3	134	379
2½ roku	81,5	109	306
10 lat	59,5	92	—
14½ roku	52,1	87	246
człowiek dorosły	42,2	72	206

Przed kilku laty podróżował po Europie dwudziestoletni karzeł (generał Mite) ważący 6,07 kilogr. i prof. Rubner miał sposobność badać go. Karzeł ten w ciągu 24 godzin tracił na 1 kilogr ciała 82,3 ciepłostki, a jednemu metrowi kwadratowemu powierzchni jego ciała odpowiadała utrata 1231 ciepł. w 24 godziny. Dziecko na 1 kilogr. ciała oddaje 91,3 ciepł., a z każdego kwadr. metra 1221; dorosły zaś człowiek na 1 kilogr. 42,4 ciepł. a na 1 metr. kwadr. 1399. Widzimy więc, że oziębiające działanie powierzchni ciała jest faktem czysto

fizycznym, nie mającym nic wspólnego ze stanem większéj lub mniejszéj dojrzałości komórek. Karzeł dwudziestoletni zachowuje się w tym względzie zupełnie tak samo, jak jednomiesięczne niemowlę.

Wpływ rozmaicie dużych powierzchni jest tu zupełnie zrozumiały. W małém zwierzęciu i w małym człowieku pewnéj określonéj ilości substancyi ciała odpowiada stosunkowo znaczna powierzchnia skóry z obfitą ilością włókien nerwowych, wrażliwych na działania cieplne, gdy tymczasem u większych zwierząt i ludzi tych nerwów skórnych stosunkowo mniéj przypada na jednostkę ciężaru ciała.

Doświadczenia powyższe nie przedstawiają żadnéj wątpliwości w interpretacyi. Pomiary kalorymetryczne, które wykonywamy na zwierzętach, nie pozostawiają co do ścisłości nic do życzenia. Małe różnice występują tu na jaw, równie widocznie, jak i przy badaniach nad substancyami martwemi. Rubner przytacza w swych pracach dowody téj ścisłości. Nader drobne wahania temperatur pozwalają już jasno dojrzéć różnice w regulacyi ciepła.

Zarówno temperatura ciała, jak i ciepło nazewnątrz przez zwierzę wydalane, są rezultatem mniéj lub więcéj żwawéj przemiany materyi, reakcyi chemicznych, których miarę dojrzéć możemy w ilości spalonych w ciele substancyi tkanek. Gdy wszakże istotę zjawisk badamy, musimy póty przenikać do pierwszych przyczyn, póki nie staną nam na przeszkodzie trudności w samém doświadczeniu. Dzięki rozległym badaniom, zwłaszcza monachijskich fizyologów Voita i Pettenkoffera posiadamy obecnie doskonałe przyrządy t. zw. respiracyjne, które pozwalają dokładnie mierzyć i analizować ilości wdychanego i wydychanego przez zwierzęta w najrozmaitszych warunkach powietrza. Ilość wydzielanego dwutlenku węgla jest miarą spalań, utlenień zachodzących w ciele i ilość tę mierzył właśnie Rubner u zwierząt, pozostających pod wpływem rozmaitych temperatur. Rezultaty tych analiz najzupełniéj odpowiadały oczekiwaniom. Podobnie jak dzięki mechanizmowi krążenia krwi, jesteśmy w stanie bronić się od zbyt wysokich i zbyt niskich temperatur, już to rozszerzając krwionośne naczynia skóry, już téż zwężając je (regulacya fizyczna), tak téż w ilości spalonéj w organizmie materyi mamy drugi środek ochronny, w tym samym działający kierunku (regulacya chemiczna). W miarę podnoszenia się temperatury otoczenia, coraz mniejszą organizm odczuwa potrzebę wytwarzania w sobie ciepła i coraz mniéj intensywnie spala swe tkanki. Świnka morska, która w temperaturze 0° na 1 kilogr. ciała wydalała w ciągu godziny 2,905 gramów dwutlenku węgla, przy 11° wydalała w tym czasie tylko 2,151 gr., przy 20° 1,766 gr., przy 30° tylko 1,317 gr. Zaś do pewnéj granicznéj tempe-

ratury takie zachowanie się zwierząt musi być zupełnie prawidłowe. Dopiéro w temperaturze bliskiéj normalnéj temperatury ciała ciepłokrwistego zwierzęcia, dochodzimy do pewnego *minimum* natężenia procesów chemicznych w organizmie, a powyżéj téj granicznéj temperatury, kiedy ciepło zewnętrzne tak bardzo jest znaczne, że podnosić ono zaczyna temperaturę ciała, przyrządy regulacyjne stają się mniéj doskonałe: spalamy więcéj, jesteśmy wówczas w stanie gorączki, od któréj niedaleko leży granica życia.

Nie wyczerpaliśmy wszystkich momentów, wpływających na uregulowanie ciepła w żywych organizmach. Nie zapominajmy, jak ważną jest tu okolicznością przyjmowanie pokarmów. W niskiéj temperaturze, gdy więcéj spalać musimy, większą téż ilość materyału palnego zzewnątrz doprowadzić trzeba. Lecz i jakość pokarmów nie jest tu obojętna. Mieszkaniec dalekiéj północy, któremu znacznéj ilości ciepła potrzeba, pochłania takie masy tłuszczu [1], które w południowcu wprost wstręt wzbudzają. Wiadomo, że mieszkańcy wschodniéj Syberyi piją roztopione na ogniu masło w bardzo znacznych ilościach.

Daléj winniśmy nie zapominać o pracy mięśniowéj, jako czynniku nader ważnym przy regulacyi ciepła. Każdy skurcz mięśnia wytwarza ciepło; a i wówczas nawet, kiedy siłę mięśni naszych przenosimy na inne ciała (podnosząc je naprzykład i w ten sposób skupiając w nich t. zw. energię potencyalną), jednakże część takiéj pracy zachowujemy w ciele naszém w postaci ciepła. Bo maszyna ciała zwierzęcego, choć doskonalsza i wydatniejsza w pracy od maszyn przez człowieka stworzonych, jednakże nie wydaje na zewnątrz wszystkiego, co w nią wkładamy. Część spalanych pokarmów idzie na ruchy organów wewnętrznych, bez których życie nie jest możliwe, lecz duża część téż podobna jest do tego, co w martwych maszynach ginie w postaci tarcia, i ta ostatnia właśnie w wysokim stopniu nadaje się do podnoszenia temperatury ciała. W zimnie staramy się, choć napozór bezcelowo, ruchy ciała wykonywać, w nadmierném cieple unikamy wszystkich niepotrzebnych poruszeń mięśni.

Nie przytaczam tu szczegółów doświadczalnych, dotyczących przyjmowania pokarmów i ruchów mięśniowych, jako czynników regulacyi ciepła zwierzęcego. Również wspomnę tylko, że gdy chodzi

---

[1]) Z trzech głównych grup ciał pokarmowych najwyższém ciepłem spalania odznaczają się tłuszcze; po nich następuje białko, a następnie wodany węgla (mączka, cukier). Jeden gram wieprzowego tłuszczu daje przy spalaniu się 9423 ciepł., jeden gram białka z jaj 5577 ciepł., a jeden gram cukru 4176 ciepł

o człowieka, liczyć się musimy jeszcze z jednym momentem, mianowicie z wpływem odzieży. To ostatnie wszakże zaliczyć trzeba do t. zw. dodatkowych środków pomocniczych, z jakiemi zresztą i śród zwierząt się spotykamy. Wiadomo, że przy dłużéj trwającém działaniu wysokich lub niskich temperatur, zachodzą zmiany w zewnętrznêm pokryciu u niektórych zwierząt. Tak np. donosi Richet, że owce merynosy, które przewieziono pod zwrotniki, straciły tam swe gęste uwłosienie; wiemy téż, że barany w Kongo, Sudanie i Tripolisie nader cienką i mało uwłosioną mają skórę, kiedy wielbłądy i dromadery afrykańskie nabywają w surowym klimacie Tybetu grubą, wełniastą skórę. Ogólnie wszakże te drugorzędne środki pomocnicze mały bardzo wpływ wywierają na ogólną ekonomię ciepła w organizmie.

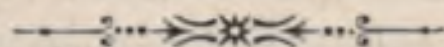
W każdéj dziedzinie biologii, gdy tylko dokładniéj ją rozumiemy, odkrywamy pewne stałe, niewzruszone prawa, których trwałość i konieczność na pozór tak trudno jest pogodzić z nieskończoną zmiennością zjawisk w żywym świecie. I w naszym tutaj wypadku widzimy, że organizm ciepłokrwistego zwierzęcia w normalnych granicach życia przystosowuje się odruchowo do wpływów zmiennéj temperatury, działając wszystkiemi środkami swego zawiłego regulacyjnego przyrządu. Dla każdego stanu ciała i dla każdéj temperatury istnieje ściśle określona wielkość w utracie ciepła i do téj wielkości, którą nazwaćby można „najmniejszą potrzebą ciepła“ organizm przez regulowanie ciepła ustawicznie zdąża. Nie ma prawa, któreby rządziło ciałem zwierzęcém z większą konsekwencyą. Doświadczenia (Rubnera) dowodnie przekonywają, że i głodzący się organizm, żyjący kosztem części składowych własnego ciała, nie może się z pod prawa tego wyłamać; aż do ostatniéj chwili życia rządzi ono nieubłaganie. W miarę jak wpływy oziębiające coraz silniéj działają na ciało, rozkłady (spalania) wewnętrzne potęgują się. Kiedy organizm spalił już cały zapas swego tłuszczu, potrzebnego mu ciepła musi dostarczać białko samych organów i to dokładnie takiéj ilości ciepła, jakiéj wpierw tłuszcz przysparzał. A gdy wymaganiom tego prawa organizm nie jest już w stanie zadosyć uczynić, ustaje wówczas możliwość dalszego jego istnienia; zbliżamy się do granicy: z jednéj strony leży życie, z drugiéj—śmierć.

Maksymiliam Flaum.





Z PRZESZŁOŚCI MIAST.



Pomniki dziejowe Lwowa z Archiwum miasta. I. Najstarsza księga miejska 1382—1389, wydał dr. Aleksander Czołowski. We Lwowie nakładem gminy król. stoł. miasta Lwowa 1892.

Dzięki hojności gminy m. Lwowa mamy dziś obecne wydawnictwo w rękach i możemy zeń, o ile to tylko możliwe, korzystać. Uchyla ono jeden rąbek owéj zasłony, która dotychczas wewnętrzne stosunki tego miasta osłaniała i rzuca przynajmniéj część światła na życie, które przed pięciu wiekami pulsowało. Wszystko cośmy dotychczas o Lwowie w XIV w. wiedzieli, ograniczało się do luźnych wiadomości, dotyczących dziejów zewnętrznych tego miasta i w nader niekształtnych je podawało zarysach; wydawnictwo niniejsze dotyka prywatnych stosunków obywateli jego i pozwala nam przypatrzéć się nieco bliżéj zwyczajom ich i obyczajom i daje sposobność do poznania się z ruchem ludności w stolicy Rusi Czerwonéj, w czasach bardzo od nas odległych. Życie to było w każdym razie obywatelskiém, ruchliwém i pracowitém. Niemal każdy ze stających przed urzędem zajmuje się rzemiosłem lub prowadzi handel. Miasto dosłownie roi się od rzemieślników i to nie byle jakich, lecz w całém tego słowa znaczeniu specyalistów w kunszcie. Widzimy tu kowali, szewców, krawców, piwowarów, giserów, siodlarzy, rzeźników, murarzy, wagmistrzów, myncarzy, młynarzy, cieśli, złotników, malarzy, łazienników. Pełno tu również handlarzy, drobniejszych i hurtowych, pełno sklepów, ław, a nie brak i składów. Są one w śródmieściu, w obrębie murów, lecz nie brak ich i po za bramami miasta, na przed-

mieściu. Są tu wreszcie zakłady fabryczne, jak browary, młyny. Ruch handlowy panuje na całej przestrzeni i nie ogranicza się na pośrednictwie w pozbyciu towarów miejscowych, ale dostarcza go z dalekich stron ze wschodu, południa i zachodu. Nie rzadko spotyka się tu wiadomości o kupcu bawiącym gdzieś daleko w interesach handlowych, o kapitałach ulokowanych przez handlarzy miejscowych w odległych stronach, o pieniądzach umieszczanych przez kupców zagranicznych w rękach kupców lwowskich, o zobowiązaniach mających być spełnionemi po powrocie z zagranicy, o towarach wreszcie, które pochodzą z krain ciepłych, podzwrotnikowych. Świadczy to wymownie i o szerokim zakresie przedsiębiorstw handlowych prowadzonych przez kupców lwowskich, o ich ruchliwości, bogactwie. Im bowiem towar dalszy, rzadszy, tém kosztowniejszy i dla kupczącego ryzykowniejszy. Świadczy to dalej o zamożności mieszkańców, o ich dobrobycie i zamiłowaniu do wygodniejszego życia. Im bowiem ktoś jest lepiéj zaopatrzony materyalnie, tém bardziéj rosną jego potrzeby, tém żywiéj i chętniéj garnie się on do wykwintnego życia i tém szczodrzéj on je zaspakaja.

Niestety jednak musimy jednę rzecz w całym tym wywodzie zauważyć — to wykwintniejsze życie, ten dobrobyt i zamożność nie były jak się zdaje udziałem ludności słowiańskiéj. W tym potoku nazwisk, które tu spotykamy, brak niemal zupełnie polskich i ruskich. Jest ch najwięcéj o brzmieniu niemieckim, nie brak ormiańskich i tatarskich, a nie rzadkie są żydowskie, tylko rdzennéj ludności najmniéj. Wzmianki o niéj są nieśmiałe, krótkie, urywane. Chyba jedno należy przypuścić: oto, że ludność słowiańska w tych latach, z których zapiski nasze pochodzą, nie miała sposobności do częstszego brania udziału w aktach prawnych. Słuszność atoli z drugiéj strony zmusza nas do przyznania, że większość tych Niemców, Tatarów i Ormian, osiadłych w śródmieściu, nie po to tu osiadła, by szybko dorobić się majątku i pośpiesznie wrócić do rodzinnego kraju. Osiadali oni tutaj z zamiarem zostania na zawsze, jako obywatele kraju, który ich przytulił i dawał możność wzbogacenia się. Ten zamiar widoczny z licznych tranzakcyi, aktów przeniesienia własności całego szeregu nieruchomości, które ci przybysze nabywali, z ich zachowywania się, z ich udziału w sprawach publicznych, a wreszcie z działalności obywatelskiéj. Prawda, że ówczesne kościoły lwowskie zawdzięczają powstanie swe także i tendencyom królewskim, te jednak w stosunku do datków osób prywatnych nikły. Buduje się kościół lub klasztor, mieszczanin dorzuci grosz ciężko zapracowany, drugi pójdzie sam koło budowy pracować, a trzeci ochoczo dopomoże do oporządzenia kościoła

tego lub klasztoru wewnątrz. Tak np. Mikołaj Schonecromer ma wierzytelność u Piotra Finster, ale nie pragnie jéj odebrać i owszem poleca swemu dłużnikowi, by pieniądze te oddał na budowę kościoła pod wezwaniem N. P. Maryi i kościoła pod wezwaniem „Ciała Pańskiego“ (z. 211). Nie zastrzega téj spłaty żadnym, tak ulubionym podówczas w aktach prawnych, rygorem, bo wié, że Finster będzie raczéj wolał całe mienie stracić, niźli duszę swą zgubić przez niespełnienie tak świętego obowiązku. Z zapisek 612 i 383 dowiadujemy się o innym takim przekazie wierzytelności na kościół N. P. Maryi, składającym się ze znacznéj na ówczesne czasy sumy 25 grzywien i darze na kielich. Z innéj znowu zapiski (664) wypływa, iż niejaki Jan, braciszek zakonu OO. Dominikanów, zawarł taką umowę z matką swą Katarzyną, iż po jéj śmierci cały ich wspólny majątek ma przypaść na rzecz zakonu „*pro reformacione rerum missalium sev ecclesie.*“ Inny znowu pobożny pątnik do ziemi świętéj, Piotr Kukalp, przed wyruszeniem w tak niebezpieczną drogę, rozporządza całém swém mieniem, i rzecz jasna, nie zapomina o kościołach, bo zapisuje kościołom N. P. Maryi, Ciała Pańskiego i Świętego Krzyża we Lwowie na budowę murów część całego swego majątku. Cóż dopiéro mówić o tych, co się wybierają na jeszcze dalszą wędrówkę, z któréj się już nigdy na tę ziemię nie wraca. W takiéj chwili nawet najbardziéj zamknięte serce mięknie, najbardziéj zaciśnięta dłoń do szczodrości się rozwiera, a dobroczynny nie zna granic swéj hojności. Czyż nie piękny to przykłвd niejakiego Tayczadyna, syna Iwana, mieszczanina lwowskiego, który na łożu śmiertelném „*in agone sue mortis*“ czynił testament dla zbawienia swéj duszy i przed innemi zapisami wszystkie cztery istniejące podówczas kościoły i szpitale we Lwowie obdarzył, a nie zapomniał również i o kościołach w Kaffie.

Z zapisek wydrukowanych w tym tomie, możemy sobie także wyrobić niejakie zdanie o wielkości miasta i jego położeniu. Nomenklatura placów i ulic jest jeszcze bardzo słabo podówczas rozwinięta. Znane są plac tatarski i brama tatarska, plac halicki i brama halicka, plac żydowski, ulica halicka, zresztą w wypadkach innych położenie domów nie oznacza się inaczéj, jak „koło kościoła“ tego a tego, „koło łaźni“, drugi lub trzeci dom „przed klasztorem“ i t. d., t. j. tak, jak się oznacza dziś miejsce zamieszkania pewnych osób po małych miasteczkach lub wsiach.

Ma się także niejakie wyobrażenie o grupowaniu się wyznawców pewnéj religii i o wzajemném między nimi pożyciu. Panuje tu tolerancya religijna i swoboda wyznania — katolicy mają swoje świątynie, Ormianie swój kościołek, Rusini cerkwie. Żyją oni w zgodzie,

a przynajmniéj niezgody na zewnątrz nie widać, i pod względem praw prywatnych się nie ograniczają — jest-to nabytek dopiéro czasów późniejszych. Kościół katolicki jednak, jak się zdaje, ma pewne łaski wobec urzędu, jak się to okazuje z zapiski 264. Tu rajcy z urzędu występują w imieniu kościoła N. P. Maryi dla zawarowania jego praw, kiedy na korzyść innych wyznań wypadek taki się nie zdarza.

Jeszcze słów kilka o żydach. Już wyżéj nadmieniliśmy, że w zapiskach wydanych nie są oni rzadkością, tu zaś dodajemy, że akty prawne, w których oni udział biorą, zdradzają w wysokim stopniu pochodzenie lichwiarskie. Najczęściéj natrafia się imię niejakiego Schlomy, rozporządzającego dość znaczną gotówką.

Co do formy, zapiski w mowie będące, są ściśle aktami prawnemi z działu sądownictwa niespornego, z dodatkiem kilku postanowień urzędowych, wilkirzów. Pierwsze obejmują kontrakty kupna i sprzedaży ruchomości i nieruchomości, zrzeczenia się praw na korzyść drugich osób, zastrzeżenia swych praw, kroki pilności, ustanowienie prawa zastawu, testamenty i darowizny i t. d. Kupna tu dokonywane co do nieruchomości są albo z natychmiastową spłatą, albo z ratalną, wyraźnie umówioną, albo téż z pozostawieniem częściowéj ceny kupna przy zakupionéj realności. Tak np. Warterusz w imieniu Janka z Sandomierza sprzedał dom, leżący przy placu tatarskim, cieśli Saksonowi bez żadnego zastrzeżenia, a więc z pokwitowaniem z ceny kupna (z. 3). W drugim atoli wypadku Mikołaj Paczko sprzedaje w imieniu Jana Girlaka z Krakowa pół realności, leżącéj naprzeciw kościoła N. P. Maryi Stefanowi Rademuncz. Cena kupna ma być spłacana w trzech rocznych ratach po 10 grzywien rocznie. W razie niezapłaty Jan Girlak lub jego sukcesorowie odzyskują prawa do sprzedanéj realności (z. 35). Zapiska jest tak niejasno stylizowana, że budzi cały szereg wątpliwości. Czy uchybienie już jednego terminu zapłaty przywraca sprzedawcy jego prawa, czy może kupiec uchybić terminu wszystkich trzech rat spłaty? A wreszcie, jakie to są te prawa sprzedającego? Czy może żądać unieważnienia całego kontraktu kupna i sprzedaży, czy téż żądać tylko dopełnienia go? A może złożona cena przepada jako kara umówna? Dziś, oczywiście, podobnie gołosłowna umowa w tak ważnym przypadku nie zostałaby zawartą, podówczas ona wystarczała. Zdarzają się jednak i sprzedaże przedsiębiorstw np. piekarskiego, rzeźnickiego, sprzedaże sklepów lub téż tylko pojedyńczych ław. Najczęściéj są to interesy za gotówkę. Zdarza się tu także jeden akt t. zw. *pactum de contrahenda emptione.* Jadwiga, wdowa po Chemku, z bratem swym Miczkiem zobowiązują

się w razie chęci sprzedaży dóbr Sulimowa zaofiarować je przedewszystkiém Marcinowi z Nowego Zamku, mieszczaninowi lwowskiemu (269).

Interesy pożyczkowe są tu również na porządku dziennym i to pod najrozmaitszą formą. Dłużnik zeznaje sam dług swój i sposób jego spłaty, np. Kaczadur winien Jakóbowi, Grekowi, 25 grzywien i spłaci mu je po 5 grzywien rocznie, a Jakób nie żąda żadnego zabezpieczenia wierzytelności (kredyt osobisty, z. 17), to znowu wierzyciel wywołuje przyznanie ze strony dłużnika, iż jest mu pewną sumę winien, np. żyd Jakób, syn Iseczka, przed urzędem zapytuje Kaczadura co do pewnéj sumy, a Kaczadur przyznaje, iż mu ją jest winien (z. 74). Dług taki, jak już wzmiankowaliśmy, polega albo na kredycie osobistym, raz jeden zagrożony jest utratą czasową osobistéj wolności (214), albo téż opiéra się na majątku dłużnika. Niczko Czustych z żoną winni Niczkonowi Morung 15 grzywien; 5 zapłacą do pięciu tygodni, pozostałe zaś 10 na najbliższe święto św. Michała. Niczko Morung jednak jest przezornym i „zapowiedział“ swą wierzytelność na ruchomym i nieruchomym majątku Czustycha z prawem pierwszeństwa przed późniejszymi wierzycielami (z. 19). Te „zapowiedzenia“ zdarzają się w księdze niniejszéj bardzo często, tylko niestety trudno dojść powodu, dla którego się je wykonywa. Być może, że są one w zwyczaju ówczesnego świata kupieckiego i finansowego, często wywołuje je przezorność stron, ale najczęściéj zdaje się pochodzą one z powodu zachwianéj równowagi kredytowéj jakiéjś jednostki. Urząd jest bardzo starannym w notowaniu stopnia pierwszeństwa wierzycieli i troskliwie przestrzega, by w tym kierunku nie powstała jakaś pomyłka lub kolizya, a następnie krzywda stron. Dość często tedy zdarzy się, że pisarz uwidoczni jakiegoś wierzyciela przed innym, rychło jednak błąd swój dostrzega i poprawia go, a jeżeli on tego nie zrobi, to uczyni to ten, który księgę zapisek kontroluje „z urzędu“. Zdarzają się wypadki, gdzie na jakimś towarze, majątku lub sumie ciąży po kilka takich zapowiedzeń, np. na majątku Jana Czopa ciąży suma Jana Ederera, Mikołaja Fryberga, Mikołaja, mieszczanina lwowskiego, Jana Kessilhuta, Jana Schenewicza. Pisarz uwidocznił 1, 3, 4, 5, 6 wierzytelność, wypuścił zaś drugą. Nie będzie to z krzywdą dla stron, bo skoro nie ma wierzyciela drugiego, przyjdzie do zaspokojenia po wierzycielu pierwszym trzeci, po tym zaś czwarty, piąty i szósty. Z działu tego zasługuje na bliższą naszą uwagę kilka przekazów (*assignacio*) dłużnika do innego wierzyciela; jeden z nich już wspomnieliśmy wyżéj (z. 211), drugi jest również na cel pobożny i mieści się w zapisie 688, trzeci w z. 701. Drugi jest interesującym dla swéj treści. Hannos Cleyber i Paczold przekazują

wierzytelności, które mają na Wołoszech kościołowi N. P. Maryi. Wszystkie te asygnacye są niekompletne, bo przekazany wierzyciel do aktu samego nie przystępuje i zawierają w sobie zarazem akt darowizny. Niezmiernie ciekawą jest tu zapiska 488, wskazująca jak gdyby miasto *eo ipso* tytułem opłat publicznych miało przed innymi prawo pierwszeństwa.

Osoby, występujące wobec urzędu, działają albo w imieniu własném, albo jako pełnomocnicy. Pełnomocnictwo jest tu albo domniemalném, gdy tylko działający się na nie powołuje, albo wyraźném, ograniczoném lub nie. Interesującą pod tym względem jest zapiska 362, gdzie Jan Ederer i Mikołaj Pulczer z Krakowa ustanawiają swym pełnomocnikiem Jakóba Stal, jednak z zakresem tylko „*ad exigenda*, *repetenda et acceptanda omnia et singula sua debita ac mercimonia*“, w tym jednak kierunku, „jak gdyby osobiście przytém działali.“ Téż interesującemi są zapiski 125 i 161.

Ważną jest z. 193, zawierająca umowę małżeńską Mikołaja Opeczka z żoną Agnieszką. Zapisuje on jéj nieograniczone prawo własności do majątku na wypadek swéj śmierci, atoli zastrzega, że bliżsi krewni jego po śmierci Agnieszki wyłączają co do tego majątku jéj dalszych.“ Na uwagę zasługuje także zapiska 500. Jerzy Erns darowuje dzieciom Macieja Plesnera, zięcia swego, dwie ławy. Maciéj ma prawo dożywotniego ich używania, lecz nie może ich zbywać ani obciążać. Jestto darowizna z zakazem „*non alienandi neque onerandi*“, chociaż nosi na sobie pozory substytucyi pupilarnéj. Interesującą zaś jest zapiska 520: Beymelyk, wdowa po ormianinie Eminie, oddaje 150 grzywien swemu zięciowi Czobanowi z obowiązkiem, iż on ma temi pieniędzmi robić interesy i ją z dziećmi utrzymywać. Wzięła jednak wobec niego zobowiązanie „*promisit*“, że już nigdy za mąż nie wyjdzie. Wilkirze dotyczą budowy murów w prywatnych realnościach (59), obchodzenia uroczystości ślubnych (60), wynagrodzenia w razie burzenia domów celem przerwania pożaru (62. Ostatni wilkirz powołuje się na postanowienie króla Kazimierza W.) i zakazu gry (443), a to pod grozą bardzo wysokiéj kary.

Metoda wydawnicza. Na str. VII-éj wydawnictwa mówi dr. Czołowski: „W oddaniu tekstu trzymaliśmy się najwierniéj oryginału z wszystkiemi właściwościami jego języka, tak pod względem form, odmian gramatycznych, jak i pisowni, z tém tylko ograniczeniem, że 1) interpunkcya i używanie dużych liter zostały zmodernizowane; 2) tekst zapisek, zepsuty wskutek widocznéj nieuwagi pisarza, sprostowano w niektórych miejscach; gdzie zaś takie sprostowanie

wymagało większych zmian tekstu, oznaczono miejsca wątpliwe lub błędne słówkiem *sic*; 3) słowa przez pomyłkę pisarza opuszczone, zostały uzupełnione, na co wskazuje ujęcie w nawias.“

Zanim wypowiemy nasze zdanie co do saméj metody wydawniczéj, jakiéj się w niniejszym wypadku trzymano, podamy tu rezultat porównania, jakieśmy przeprowadzili między tekstem oryginalnym a drukowanym wszystkich zapisek.

Rezultat tych porównań jest następujący: a) wydawca wiele wyrazów zupełnie błędnie odczytał; b) wiele wyrazów w tekscie nieprzekreślonych i kilka całych zdań lub zapisek w swém wydawnictwie opuścił; więc się oryginału „najwierniéj“ nie trzymał; c) wielokrotnie nie zaznaczał przez ostrzegające *sic*, iż pewne formy i wyrazy oryginalne zmieniał lub poprawiał; d) kilkakrotnie nie zaznaczył, iż uzupełnił słowo przez pomyłkę pisarza opuszczone; e) kilkakrotnie zupełnie bezpotrzebnie dodał w drukowanym tekscie słowa, których w oryginale nie było, a tego nie zaznaczył; f) nigdy nie przenosił z oryginału słów tamże przekreślonych lub do przekreślenia zaznaczonych; g) kilka zapisek i kilka zdań, które zostały w oryginale przekreślone, nie oznaczył w tekscie jako takich.

Zaznaczam tu jeszcze jedno, ilekroć miałem wątpliwość, czy wyraz jakiś lub litera mają być czytane tak, jak je czytał wydawca, rozstrzygałem na jego korzyść.

Każde wydawnictwo dyplomatyczne ma pewną ilość błędów, nigdy jednak nie powinno ich mieć zbyt wielkiego procentu a już stanowczo winny być wykluczone opuszczenia z tekstu oryginalnego. W wydawnictwie, o którém tu mowa, razi brak systematyczności. I tak weźmy wyraz *recognosco* ze wszystkiemi jego odmianami. Pisarze prawie stale piszą *recongnosco* i to w najrozmaitszy sposób, już to owo *n* zaznaczają linijką poziomą nad *o* położoną, już to przez pisanie *on* za pomocą charakterystycznéj dziewiątki, już wreszcie przez wypisanie w tekscie pełnego *n*. Wydawca pisze z początku mimo to wytrwale *recognouit*, *recognouerunt*, *recognoscens*, chociaż w tekscie tylko „interpunkcya i używanie dużych liter zostały zmodernizowane;“ przy końcu jednak mięknie i tam gdzie w tekscie oryginalnym jest *recongnosco*, drukuje *recongnosco*, gdzie zaś *n* nie ma, tam je opuszcza. Toż samo dzieje się z kilku innemi słowami, jak *Johann* lub *Johan*, *bannitum* lub *banitum*. Co do tych słów, należy stanowczo zachować pisownią taką, jaką daje tekst oryginalny, jeżeli zaś znajduje się inną w oryginale, a inną w druku, niczém się to nie da usprawiedliwić. Wadliwy jest i system drukowania cyfr, bez końcowych liter, które są w tekscie oryginalnym np. IIII zam. IIII-*or*, C zamiast C-*o*. Przecież skoro

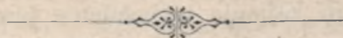
się litery te opuszcza, opuszcza się to co jest w tekscie oryginalnym i podówczas nie może być mowy o wiernem jego oddaniu. I tu jednak wydawca nie dotrzymał placu, bo znalazłszy w zap. 719 przy II zakończenie *bus*, oddał je z drukiem i całkiem słusznie, tylko czemu tego przez cały ciąg wydawnictwa nie zachowywał? Wreszcie wyrazy w tekście oryginalnym przekreślone, a w drukowanym nie oddane! Gdzież tu może być mowa o wierności w trzymaniu się oryginału? Badacz mając u wstępu takie zapewnienie wydawcy, nawet nie może przeczuć, że tenże wypuścił z wydawnictwa paręset wyrazów w oryginale będących. Prawda, że wyrazy te są najczęściéj niepotrzebne, że powstały wskutek omyłki pisarza, że są po największéj części powtórzeniem wyrazu w dalszym tekście istniejącego, aleź wydawca nie ostrzegł tego, który ma z jego wydawnictwa korzystać, iż podobne skreślenie kilkuset wyrazów nastąpiło i że on je z wydawnictwa wyeliminował i owszem zastrzegł się, iż „trzymaliśmy się najwierniéj oryginału.“

Gdyby zresztą wydawca był słowa owe zupełnie formalnie wyeliminował, wtenczas byłbym również przeciw temu systemowi wydawnictwa wystąpił. Zapiski tu wydane wszystkie razem i każda z osobna stanowią oryginalny protokół, przez władzę spisany, na podstawie którego mogło nastąpić wydanie dokumentu. Otóż w takich zapiskach o zmianach i opuszczeniu z tekstu tego, co się da odczytać, nie może być mowy, jeżeli się chce być wiernym. Porównać je można z obecnemi dokumentami, przez władze publiczne wydawanemi, w których każde słowo dodane do tekstu, lub z niego odjęte, musi być w klauzuli objęte i zaznaczone.

Zresztą piszę się w zupełności na program metody wydawniczéj przez d-ra Czołowskiego u wstępu zaznaczonéj z modyfikacyą by zamiast *u* użytego zamiast *v* kłaść *v*; by wszystkie braki tekstu oryginalnego, jeżeli się je w druku poprawia, zaznaczać i żałuję tylko, iż wydawca wiernie go nie przeprowadził.

W wydawnictwie brak 7 zapisek nieco zepsutych, współczesnych, w oryginale się znajdujących.

Dr. Zygmunt Lisiewicz.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Fustel de Coulanges. „Histoire des Institutions politiques de l'ancienne France. — Les Transformations de la Royauté pendant l'époque carolingienne." Revue et complété p. Camille Jullian. Paris, Hachette, 1892, str. XIV + 715.

Nazwisko autora tego dzieła zbyt dobrze jest znane każdemu, kto się bliżéj zajmował historyą; przeciętny jednak czytelnik polski nie miał sposobności poznania Fustel'a de Coulanges. Nie posiadamy przekładu nawet najbardziéj popularnego z utworów tego pisarza *La Cité antique*, który miał 12 wydań we Francyi.

Książka, którą mamy obecnie w ręku, jest szóstym i ostatnim tomem obszernéj pracy, obejmującéj dzieje instytucyi Francyi dawnéj, wydanym z pozostałego po autorze rękopisu. Oparta na wyczerpujących studyach źródłowych, zupełnie przedmiotowa, jest ona niejako reakcyą przeciwko téj szkole historyków, którzy, zdaniem Fustel de Coulanges'a, zanadto żyli życiem swego czasu, zanadto naginali przeszłość do poglądów i namiętności współczesnych, widząc w dziejach pierwotnych Francyi bądź walkę ras (Franków i Gallów), — jak to czynili historycy z epoki restauracyi, bądź walkę o wolność polityczną, jak to czynią dziejopisarze z czasów monarchii lipcowéj. Powstając przeciw dowolnym konstrukcyom historycznym, autor, nie wymieniając nazwisk, polemizuje z opiniami Micheleta i Thierry'ego, H. Martina i Guizota, niekiedy zbyt pedantycznie trzymając się tekstu źródeł.

Pierwszą księgę zajmuje wyjaśnienie przyczyn osłabienia władzy królewskiéj przy ostatnich Merowingach. Nie upadła ta władza ani skutkiem ruchu narodowego, ani skutkiem oporu arystokracyi. Jeśli kroniki przytaczają fakty oporu władzy królewskiéj, są to bunty miejscowe, w których idzie głównie o podatki, ruchy pozbawione

wszelkiéj myśli politycznéj. Nie widzimy również śladów antagonizmów narodowościowych pomiędzy Austrazyą a Neustryą; liczne wojny prowadzone są przez królów i w interesie królów, a główną ich pobudką, również jak i wielokrotnych zbrodni wśród Merowingów — ich chciwość. Skarby, skrzynie złota—oto co najwięcéj zdaje się zajmować dwór królów ówczesnych, co jest ostatecznym celem wypraw wojennych. Pojęcie interesu ogólnego znika, wraz z nim znika wyraz „*res publica*“. Króla boją się wszyscy, jako osoby potężnéj, słuchają go; ale przestają łączyć z nim ideę wyższą. Władza królewska upada moralnie w oczach samych królów, jak i poddanych. Stopniowo téż tracą królowie téj rodziny swoje dochody, swoją władzę sądową, swoje prawo rządu wewnętrznego, a odbywa się to nie drogą rewolucyi lub ograniczeń ogólnych, lecz drogą indywidualnych ustępstw. Królowie nadają poszczególnym osobom duchownym lub świeckim, klasztorom lub miastom prawo niepłacenia podaktów, a prawo to rozciąga się na całą ludność zamieszkałą na ziemiach obdarzonych; w ten sam sposób pojedyncze osoby wypraszają sobie inne imunitaty: prawo sądu na swoich ziemiach, zwolnienie od dostarczenia żołnierzy i t. d. Urzędnikowi fiskalnemu wzbrania się wstęp na ziemię, posiadającą taką *immunitas*. Podatki, prawo sądu, administracya zostają nominalnie przy królu, ale faktycznie wszystkie prawie majątki możnych, a więc i ludność w nich zamieszkała, są od nich wolne. W tym czasie wytwarza się rodzaj arystokracyi feudalnéj. Stanowią ją ci, którzy stoją najbliżéj króla, którzy składają „pałac“ (*le Palais*, *palatium*). Wyraz *nobilis* znaczy w owym czasie dostojnik królewski; nie ma tu szeregu przodków, arystokracyi dziedzicznéj; tacy *nobiles* są zarazem *optimates*, gdyż należenie do pałacu dawało możność łatwego wzbogacenia się. „Pałac“ ów składał się z dwóch części; jedną stanowili urzędnicy, którzy zawsze byli przy królu: mer (*major*) i *comes* pałacu, seneszal, referendarz, kubikularyusz, kapelan i t. d.; drugą — hrabiowie, patrycyusze i t. d., stanowiący administracyą kraju. Tu należeli i biskupi, którzy zwykle pochodzili z otoczenia króla. Zgromadzenie bliższego otoczenia króla (*palais central*) stanowiło *concilium*, całego pałacu—*conventus generalis*. Wprawdzie każdy z dostojników przybywał na *conventus* z liczną świtą; nie były to jednak zgromadzenia ludowe. Nie były téż ciałem prawodawczém w nowoczesném znaczeniu. Nie wiadomo, jakie pytania stawiano wobec zgromadzonych, jak dyskutowano, czy głosowano. Zwoływał ich król kiedy chciał, ale zwykle zbiérał się *conventus* po wstąpieniu na tron nowego króla. Składając się z tego, co było najmożniejszego w kraju, zgromadzenie takie mogło narzucić swoją wolę królowi. Widzimy przy-

kłady tego w r. 616 i 670. Kronikarze nie mówią, jakie były żądania, tylko że królowie „uczynili zadość ich słusznym wymaganiom“.

Arystokracyi téj obca była wszelka idea polityczna; walki, które się staczały wśród niéj (jak np. walka pomiędzy Ebroinem i św. Legerem), były wynikiem współzawodnictwa koteryi. Wojny domowe ówczesne nie były ani walką klas, ani stronnictw, ani ras, ani krajów antagonistycznych. Frank w VII-ém stuleciu nie znaczy członka odmiennéj od Gallów rasy, ale wprost możnego.

Wśród takiego stanu rzeczy odbyło się przejście władzy królewskiéj do rodziny Karolingów. Rodzina ta nie została wyrzucona przez nowy napływ Germanów. Ani krwią, ani duchem Karolingowie nie są Germanami. Od dwustu lat należą oni do arystokracyi Merowingskiéj, a niektóre dokumenty (wprawdzie już z VIII-go wieku) przypisują im pochodzenie rzymskie. Czy ten fakt jest prawdziwy, czyli zmyślony dla podniesienia dostojności Karolingów — gdyż świadectwo to dają kronikarze dworu, — w każdym razie, twierdzenie takie jest znaczącém i to wcale nie na korzyść przypuszczenia o antagonizmie rasowym.

Główne przyczyny, które wyniosły tę rodzinę, są, że wydała ona najwięcéj biskupów i świętych, oraz że była najbogatszą w posiadłości ziemskie. Trzy były źródła, z których płynęła potęga merów pałacowych: 1) byli oni naczelnikami całego pałacu, t. j. wszystkich organów rządowych i administracyjnych; 2) od nich zależała nominacya urzędników; 3) przez nich wykonywało się *mainbour*, t. j. oddanie się pod opiekę króla; a opieki téj poszukiwały osoby najbardziéj wpływowe, możni i biskupi. Merowstwo pałacowe nie było dziedziczne, jak i żaden inny urząd; ale wobec warunków, w jakich się znaleźli merowie, nieuniknioném było przenoszenie urzędu z ojca na syna. Cała arystokracya pałacowa składała się z ludzi przychylnych merowi, przez niego wyniesionych; miała ona wszelkie powody obawiać się przejścia tego urzędu do innéj rodziny. Tak Pepin III-ci i Karloman otrzymują ten urząd jeszcze za życia Karola Martela, za zgodą możnych. Strącenie Merowingów nie wchodziło początkowo w rachubę merów pałacowych. Przez długi czas władza ich mogła się opiérać jedynie na powadze tych królów. Dopiéro Pepin Krótki odważył się postawić pytanie, „kogo z dwóch słusznie jest mianować królem: czy Merowinga, który pędzi życie nieczynne w głębi pałacu, czy tego, kto się zatrudnia wszystkiemi sprawami rządu, niosąc cały ich ciężar?“ (*Annales Fuld.*). Pytanie to, postawione wobec papieża, rozstrzygnięte zostało na korzyść Karolingów.

Pepin został królem wskutek postanowienia papieża, a za zgodą

możnych. Odziedziczywszy królewskość po Merowingach, dodał on do niéj dwie nowe atrybucye. Karolingowie zostają królami możnych; ich władza jest monarchiczną, senioralną i świętą. Nie osłabioną, lecz wzmocnioną została ta władza wskutek zmiany dynastyi. Dyplomy Karolingów są dalszym ciągiem dyplomów Merowingów; ale nowy charakter władzy pociąga za sobą nowe cechy.

Pierwszą z nich jest święcenie (*consecratio*) króla, z początku przez biskupów, późniéj przez papieża. Ani cesarze rzymscy, ani królowie Franków nie byli dotąd wyświęcani. Źródło tego obrządku znajdujemy w starym testamencie; obustronny interes króla i kościoła łatwo tłómaczy jego wprowadzenie; król nabiérał przez to powagi wobec poddanych, kościół—wpływu na króla. Święcenie to nie było czczą formalnością; w oczach współczesnych nadawało ono istotną świętość osobie króla. Zresztą samo wzmocnienie wiary w owym czasie może wytłómaczyć zaprowadzenie tego obrządku. Wynikiem jego było, że król posiadał władzę nad duchowieństwem, narówni z biskupami zasiadał na synodzie i mógł stanowić w sprawach kościelnych. Zarazem miał obowiązek bronienia spraw kościoła, a ponieważ święcenie odbywało się publicznie w obecności wielu biskupów i za ich zgodą, więc stawiało króla w zależności od kościoła. Berło i korona dawane były królowi przez biskupa po święceniu i po złożeniu odpowiednich przyrzeczeń ze strony króla (por. koronacyę Karola Łysego). Był to rodzaj umowy dwustronnéj.

Drugą formalnością była przysięga na wierność królowi (*submissio*), obowiązująca nietylko wszystkich możnych, ale ludzi wszystkich stanów, a nawet dzieci od 12-tu lat (por. kapitularze Karola W.); świadczy to, że społeczeństwo nie miało jeszcze wyraźnego charakteru feudalnego: wszyscy są poddanymi króla. Następstwem téj przysięgi było, że poddani stają się „wiernymi“ (*fideles*) królowi, a że wyraz ten oznaczał również wszystkich chrześcian, stąd połączenie w jednéj formule „wierny Bogu i królowi“. Kto się sprzeniewierzał królowi lub jego rozkazom, popełniał czyn karygodny, stawał się niewierny królowi. Stąd obowiązek ścisłego posłuszeństwa. Pociąga to jednak i pewne niedogodności dla władzy królewskiéj: 1) ci, którzy nie przysięgali z jakiegokolwiek powodu, nie uważali siebie za związanych obowiązkiem posłuszeństwa; 2) częste zmiany królów i łamanie przysięgi dawnym dla nowych osłabiało jéj znaczenie, co daje się widzieć szczególniéj za Ludwika Pobożnego; 3) obowiązek składania przysięgi dawał możność narzucania warunków, przynajmniéj ze strony możnych (prośby o donacye, imunitaty i t. d.). W ten sposób i przysięga staje się umową.

Władza królewska nie była ani ściśle dziedziczną, ani wybieralną za Karolingów. Król naznaczał sobie następcę (jak to wykazuje Fustel de Coulanges na szeregu wypadków szczegółowych), ale musiał to uczynić uroczyście wobec możnych (*conventus*), których zgoda była niezbędna. Do tytułu króla Franków dodał Karol W. tytuł cesarza rzymskiego.

W r. 476-ym senat rzymski przesłał oznaki władzy cesarskiéj do Konstantynopola, oświadczając w liście przy tém załączonym, że odtąd jeden cesarz wystarczy na całe cesarstwo. *Imperium romanum* więc nie było pogrzebane, przynajmniéj formalnie. Do Rzymu przysyłano portret cesarza konstantynopolitańskiego, aby naród go uczcił, wynurzając przez to uznanie nowego władcy. Papież był jednym z biskupów cesarza wschodniego, a miał nad sobą egzarchę. Do VIII wieku trwała ta zależność Rzymu od Konstantynopola. Zatarg z powodu należności cesarza Filipika do sekty monotelitów, oraz walka z Leonem Izauryckim rozluźniły związek Rzymu z cesarstwem wschodniém. Obawa przed Longobardami pobudziła papieża do nadania Karolowi patrycyatu rzymskiego, a kłótnie domowe skłoniły go do uznania za cesarza rzymskiego. Karol wybrany został przez senat i lud rzymski na cesarza zachodniego. Było to ostateczne zerwanie Rzymu z Konstantynopolem. Nie było to jednak stworzeniem cesarstwa Franków lub Germanów. Karol zachował nadal tytuł króla Franków. Cesarstwo stanowiły wszystkie jego ziemie, a we Francyi przechowała się jeszcze tradycya należności do *Imperium Romanum*. Wszyscy poddani odnowili przysięgę Karolowi, jako cesarzowi. W istocie jednak zmienił się tylko tytuł, instytucye państwowe nie uległy zmianom.

Organem władzy rządowéj pozostał pałac, jak i przy Merowingach, ale Karolingowie wystrzegali się naznaczania merów pałacowych. Na czele pałacu stał hrabia pałacowy (niekiedy kilku). Pod nim szereg urzędów stanowiących *officia* lub *ministeria*, które łączyły w sobie obowiązki służby domowéj przy królu z funkcyą publiczną. Należność do pałacu zawisła jedynie od woli króla. Pałac był nietylko dworem, lecz organem środkowym administracyi. *Optimates* lub *proceres*, t. j. arystokracya ówczesna nie była rodowa, ale polegała na należności do pałacu. Król był zawsze otoczony radą; swoboda wynurzania zdań, niezgodnych z opinią króla, nie wykluczała posłuszeństwa jego rozkazom. Należność do rady nie była prawem, lecz obowiązkiem, a sama rada stanowiła jakby organ informacyjny władzy królewskiéj.

Obok rady znajdujemy *conventus generalis*. Nietylko że atry-

bucye jego nie są określone, ale nawet nazwa u rozmaitych kronikarzy niejednakowa (*placitum*, *synodus*, *omnes Franci* i t. d.). Na zebrania te zwołuje król; zwykle bywają coroczne. Głównie są to zgromadzenia wojskowe (pola majowe); nie decydują jednak one o wojnie, tylko idą, gdzie król rozkaże; na nich téż odbywają się niekiedy sprawy sądowe, przyczém decyduje sprawę sam król, nawet nie w obecności zgromadzenia. Naradza się téż król i o sprawach politycznych lub administracyjnych z takim *conventus*. Nie są to zgromadzenia podobne do senatu, ani téż zgromadzenia ludowe, jakkolwiek pozornie je przypominają. Każdy z możnych przychodzi z tłumem ludu, ze świtą, ale tłum ten występuje jako podwładny mu. Takie zgromadzenia mogły stać się wrogiemi królowi w chwili, gdy biskupi i panowie zechcieliby stanąć przeciwko niemu; w téj formie, w jakiéj istniały za pierwszych Karolingów, były tylko objawem centralizacyi władzy.

Pomijamy szczegóły administracyi (wspomnimy tylko, że zawierała ona zarodki, z których się późniéj rozwinął feudalizm), aby przejść do władzy prawodawczéj.

Władza ta należy wyłącznie do króla, ale król wydaje prawo po naradzie z bliższymi dostojnikami. Wyrazy „po naradzeniu się z mymi wiernymi“, lub tym podobne, spotykają się wciąż w aktach prawodawczych. Kapitularz mógł się stać prawem, ale do tego potrzebne było zgromadzenie ogólne. Nie było tam głosowania; a jakkolwiek wyraz *consensus* spotyka się wszędzie, nie ma nigdzie wskazówek, jak się wyrażała owa zgoda. Było to raczéj zobowiązanie się do wykonania prawa, a samo zgromadzenie służyło jedynie jako sposób ogłoszenia takowego. Władza prawodawcza króla była również nieograniczona, jak władza cesarza rzymskiego. Instytucye rzymskie były ideałem dla Karola W. Prawo rzymskie nazywa on „matką wszelkich prawodawstw ludzkich.“

Władza sądowa również wyłącznie należała do króla. On mianuje sędziów; sędziowie ci sądzą wprawdzie w otoczeniu rady, ale składają ją ludzie przez nich, lub przez posłów królewskich (*missi*) mianowani.

Ciężary ludności stanowiły podatki i dostawianie wojowników. Instytucya wysłańców królewskich (*missi dominici*) nie jest całkiem nową. Już Merowingowie posługiwali się nimi. Za Karolingów przemienił się ten zwyczaj na stałą instytucyę; posyłali oni przytém zwykle 2-ch, z których jeden był duchownym. Był to sposób wzmocnienia władzy centralnéj, utrzymania całéj administracyi pod ciągłą

kontrolą. Obowiązek ich nie ograniczał się na obserwacyi; zalecała się im działalność energiczna.

Pomimo téj potężnéj centralizacyi, pomimo nieograniczonéj władzy, monarchia Karolingów spoczywała na wątłych podstawach. Jeszcze za Merowingów wytworzyła się instytucya społeczna, która wciąż się rozwijając, podkopała ostatecznie monarchię.

Najazd, trwający w ciągu 4-ch stuleci, spowodował stan okropnéj anarchii, stan, w którym nie było pewności ani życia, ani mienia. Upadająca za ostatnich Merowingów, władza królewska nie mogła być osłoną słabych. Starano się usuwać od wszelkich obowiązków względem króla, gdyż nie były to obowiązki względem państwa, nie dawały wzamian nawet bezpieczeństwa. Wzmożenie się religijności przyczyniało się również do tego. Podatki kościelne współzawodniczyły z podatkami królewskiemi. Słabi szukali opieki silnych. W ten sposób powstał patronat, a w miarę jak wzrastał, coraz trudniéj było obejść się bez niego, coraz niebezpiecznéj było nie oddać się pod opiekę któregoś z możnych.

Wzrost meryi pałacowéj czyni z mera naturalnego seniora możnych: jest on pośrednikiem w patronacie królewskim. „Nastąpiła chwila, gdy król nie miał już poddanych, a raczéj miał jednego, potężniejszego od siebie—mera pałacowego. Mer ten staje się królem; królewskość—patronatem. Chwilowo władza królewska wznosi się przez to do najwyższéj potęgi, ale w tym samym fakcie tkwi zaród jéj upadku. Karol W., podnosząc władzę polityczną, był bezsilnym wobec zjawisk społecznych. Wzrost wielkiéj własności, niewola niewłaścicieli, patronat i zależność wasalów czynią swoje. Sam on uświęca te zwyczaje, nadaje im moc prawa. Monarchiczne nazewnątrz społeczeństwo było już w istocie feudalném za Karola W. Wojsko, administracya z licznymi urzędnikami, zgromadzenie ogólne, wszystko to składa się z gromadek ludzi, z których każda ma swego naczelnika. Karol stał się wielkim dzięki patronatowi powszechnemu, ale gmach jego państwa należał do najmniéj trwałych; mógł się trzymać tylko jego potężną wolą. W 29 lat po jego śmierci mamy już trzy królestwa na miejscu jednego cesarstwa, w 40 lat—siedm państw na miejscu jednego z królestw, a w 100 lat późniéj w saméj Francyi więcéj niż 50 państw niezależnych.

Jedność monarchii Karola W. nie była jednością rasy, ojczyzny, praw, języka, lecz zespoleniem w wierności (*fidelitas*); podziały królestwa były przelaniem wierności i dlatego musiały się odbywać za życia dzielącego, a w obecności wiernych. Cesarzem miał być zawsze jeden z synów, inni jego pierwszymi wasalami.

Przyczyny upadku władzy królewskiéj są łatwo zrozumiałe: 1-o wasale byli zbyt potężni, aby być bezwzględnie posłusznymi; 2-o byli jednocześnie zbyt zależni od króla, aby nie dążyć do zerwania téj zależności. Wytworzył się związek wszystkich obdarzonych beneficyami przeciwko właścicielowi wszystkich beneficyów; wszystkich urzędników przeciwko rozdawcy wszelkich urzędów; wszystkich sług przeciwko panu. Wierność, zostając zasadą posłuszeństwa, faktycznie przestała być jego źródłem.

Wkrótce urzędy stają się dziedzicznemi dla tych samych przyczyn, dla jakich stało się dziedzicznem merostwo. Zmiana rodziny urzędnika pociągałaby za sobą dla wszystkich wasalów konieczność szukania nowego pana, powodowałaby w kraju zaburzenie, którego król musiał unikać. W ten sposób władza polityczna wymykała się z rąk królów, rozpraszała się wśród arystokracyi.

Monarchia rozbiła się wtedy, gdy doszła do największéj potęgi, gdy wszystko sobie podporządkowała. Nie naród, nie prowincye, nie miasta, wywrócili ją jéj właśni urzędnicy. A nie potrzebowali nawet staczać z nią wojny; dość było wymówić jéj posłuszeństwo. Klasy niższe sprzyjały temu przewrotowi; oddając się pod opiekę możnych, unikały ciężarów królewskiéj administracyi, a władza królewska nie była w stanie obronić ich ani od ucisku tych możnych, ani od napadów Normanów. Masy wolnych przechodzą dobrowolnie w stan zależności.

Stopniowo przychodzi do tego, że gdy wypadło rozstrzygnąć pomiędzy potomkiem Karolingów, Karolem Lotaryńskim, a potężnym wasalem Hugonem Kapetem, wybór pada na ostatniego. Karolingowie byli naczelnikami wiernych i królami dziedzicznymi zarazem; Hugo Kapet został tylko naczelnikiem wiernych.

Wł. M. K.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Rys stosunków ekonomicznych gubernii Radomskiéj** na podstawie akt hypoteki gubernialnéj i akt notaryalnych w Radomiu. Zebrał i opracował *Jan Romanowski*. Warszawa, księgarnia Wendego, 1892, 8-o. — Długoletni pracownik na niwie notaryalno-hypotecznéj, autor powziął szczęśliwą myśl ujęcia w cyfrowy obraz tych danych ekonomicznych jednéj z guberni Królestwa, które w urzędowych aktach były dlań dostępne, i zamiaru tego pracowicie dokonał. Rzecz tę, drukowaną częściowo w „Gazecie Radomskiéj,“ p. Romanowski

przejrzał na nowo i uzupełnił, a obecnie w osobnéj książce o 112 stronach ogłasza. W dziale I-ym części pierwszéj zebrane są wiadomości odnoszące się do miasta Radomia, jako to: liczba nieruchomości, liczba ksiąg hypotecznych, różne kategorye właścicieli, szacunek nominalny i prawdopodobny, najwyższy, najniższy i przeciętny, suma wierzytelności zahypotekowanych, różne ich kategorye, oraz kategorye wierzycieli. Dział II-gi, zajmujący się dobrami ziemskiemi, koloniami, osadami, dwa razy jest od poprzedniego obszerniejszy; obok szczegółów dotyczących hypoteki, mamy tu wykaz osobliwszych nazwisk chłopskich: rzecz pod względem ekonomicznym obojętna, ale dla etnografa i lingwisty zajmująca. Ruch parcelacyjny, to jest rozwój kolonizacyi i obciążenia hypoteczne kolonii przedstawia nam Dział III-ci szczegółowo powiatami, majątkami (szkoda, że ich nazw w pustéj rubryce powiatów nie wymieniono) i latami (1859—1889); w ciągu tego okresu 10,677 nabywców kupiło 147,160 morgów za sumę 5,668,159 rubli. Najwięcéj nabywców (991), największą przestrzeń kupionéj przez nich ziemi (14,097 morg.) i największą sumę szacunkową (616,853 rs.) okazuje rok 1881; przez trzy lata następne ruch cokolwiek zmniejsza się, ale jest jeszcze bardzo ożywiony; od roku 1885 (w którym poczęło się ogólne przesilenie ekonomicze kraju) sprzedaż parcelacyjna uderzająco niższe przedstawia cyfry. W ciągu całego okresu ruch parcelacyjny najsłabiéj się objawiał w powiecie Koneckim, najsilniéj w Radomskim. — W części drugiéj, zatytułowanéj „Statystyka porównawcza,“ mamy szczegóły dotyczące działalności instytucyi notaryalno-hypotecznych, a więc liczby aktów i wniosków, sporządzonych w każdéj kancelaryi, czynności wydziału hypotecznego, ilości zaprotestowanych weksli (od r. 1876 do 1890 zaprotestowano 7155 wekslów na sumę rs. 1,883,189), opłat pobieranych przez skarb (rs. 890,000) i przez kasy miejskie (rs. 151,685), zaciąganych w Towarzystwie kredytowém ziemskiem pożyczek (w ciągu lat 21 zaciągnięto przeszło 8 milionów rubli w listach zastawnych), ilość dóbr wystawionych na sprzedaż przez toż Towarzystwo, oraz sprzedanych przez nie rzeczywiście majątków (182); wykazy sprzedaży z wolnéj dokonanych ręki (1249), sprzedaży przymusowych (279, przy których to sprzedażach spadło z hypoteki wierzytelności na sumę rs. 2,351,200); daléj mamy wiadomości o sprzedażach lasów i drzew (w ciągu 15 lat za rs. 3,116,547), wreszcie cyfry wynagrodzeń, pobieranych przez notaryuszów (przeciętnie, na jedną kancelaryę przypada rocznie około 3,000 rubli). — Z tych kilkunastu liczb, które powyżéj przytoczyliśmy, czytelnik łatwo pomiarkować zdoła, jak bogaty zapas faktów zgromadził autor w swéj książce. Często spotykamy ustne

i drukowane skargi na brak u nas wszelkich dokładnych cyfr statystycznych: p. Romanowski dostarczył nam ich bardzo obficie, a ponieważ książka jego kosztuje tylko 60 kop., nie trudno więc zaopatrzyć się w tę bogatą cyfr skarbnicę. Prawda, że dotyczy ona tylko jednéj z 10 gubernii Królestwa, ale robić z tego zarzut autorowi byłoby niesłusznością. Pokazał on drogę i pierwszy ją przetorował: niechże wśród osób, mających dostęp do hypoteki w innych guberniach, znajdą się równie jak on gorliwi pracownicy.

= **Historya miast i mieszczan** w krajach dawnego państwa polskiego od czasów najdawniejszych aż do połowy XIX wieku, z materyałów pozostałych po ś. p. *W. A. Maciejowskim* do druku przygotował *Michał Rawicz Witanowski*, 1890, 8-o, str. 279. — W historyi miast naszych dopatrzył Maciejowski cztery okresy: p i e r w s z y, od czasów najdawniejszych do wprowadzenia prawa magdeburskiego; d r u g i, do ustanowienia sądów wyższych niemieckich w r. 1365; t r z e c i, w którym miasta obojętnieją na swe stanowisko polityczne; wreszcie c z w a r t y, od r. 1764 do połowy bieżącego stulecia. Bałamutny i chaotyczny wykład okresu pierwszego lepiéj będzie pominąć milczeniem. W okresie drugim czytamy o rządach wójtów a późniéj rady miejskiéj, o sądownictwie po miastach, o skarbowości i ciężarach, o stosunkach ekonomicznych, kupiectwie, drogach handlowych, o wagach i miarach, o miastach składowych, o cłach, monopolach, dochodach i wydatkach miejskich, o targach i jarmarkach, o handlu wywozowym i przywozowym, wreszcie o stosunkach politycznych i społecznych. Z okresu trzeciego, zaznaczyć można ustępy o stosunku mieszczan do kraju, o cłach, o Hanzie. W okresie czwartym autor poświęca swą uwagę głównie różnoczasowym projektom reorganizacyi miast, poczynając od projektu Andrzeja Zamojskiego. Książkę zamyka dziesięć wielce różnéj treści i wartości „Dodatków.“ Ostatnie to dzieło zmarłego w bardzo podeszłym wieku autora nosi zwykłe a dobrze znane cechy, właściwe wszystkim niemal jego pracom. Widzimy dowody wielkiego oczytania, ale i ważne luki dostrzedz w niém można. Nieraz objaśnia Maciejowski pewne zjawiska historyczne przyczynami odległemi (czasem mętnie przywodzonemi) a pomija bliższe, bezpośrednie; zbytnio zajmuje się drobiazgami, w dalekim będącemi zaledwie związku z głównym dzieła przedmiotem; nieraz daje przedwczesne albo i niewczesne uogólnienia, tworzy prawidła z odosobnionych wypadków, własne przywidzenia bierze za fakta, na błędnych etymologiach buduje ważne wnioski, mimowoli zmusza czytelnika do sprawdzania każdéj cytaty. Oto naprzykład: na str. 92 w od-

syłaczu czwartym powiada autor: „Wieś, starosłowiański wyra znaczy to co (u Dług. Liber benef. III, 355) wyesza, waga.“ Mniej sza o to, że daremnie byśmy na str. 355 tego wyrazu szukali, że znaj duje się on istotnie na str. 335, istotnym błędem jest to, że owa wyesz znaczy wieżę, przyrząd do wydobywania ze źródeł wody słonéj, któ ry z wagą, czyli według Maciejowskiego, wsią czy wiesią, nie ma ża dnego związku. Daléj, na dowód rozmaitości i niepewności miar i wag przytacza, że „srezne występuje w polskim dyplomacie jako miara ale jaka? nie wiadomo. Takiż dyplomat wspomina o mierze pakov zwanéj.“ Zabawne to, że własną nieświadomość narzuca ludziom XIII i XIV wieku, ale dziwniejsze, że srezne, nazwę daniny w ziar nie, bierze za nazwę miary; pokow zaś była to danina miodu. Przy taczanie licznych innych błędów nie miałoby celu. Najgłówniejszą podobno wartość książki stanowią zabytki pomieszczone w Dodatkach jak statut rybacki z r. 1532, który lingwistów zainteresować powinien, jak cennik towarów z r. 1565, jak nadanie dla miasta Ciepielowa z r. 1627. Kończąc niniejszą wzmiankę, wolno powiedzieć, że historyi miast dotychczas nie mamy.

— *Wojciech Kętrzyński.* **Studya nad dokumentami XII wieku.** (str. 122 i 16 tablic z podobiznami). — W dziedzinie dyplomatyki coraz częściéj pojawiają się u nas poważne prace monograficzne. „Ateneum“ miało już sposobność zaznajomić swoich czytelników z rozprawami pp. St. Krzyżanowskiego i B. Ulanowskiego; niedawno zaś przybyła nam jeszcze jedna na tym polu monografia, poświęcona badaniom dokumentów XII-go stulecia. Zabytków dyplomatycznych z tego okresu posiadamy nie zbyt wiele, ale i z tych nie wszystkie wciągnął dr. Kętrzyński w zakres niniejszych badań, wszystkie bowiem „pisma, listy i bulle, które dotyczą spraw politycznych lub czysto kościelnych, albo donoszą o zdarzeniach historycznych“ zostały pominięte, rozbiorowi zaś naukowemu poddane zostały tylko takie zabytki piśmienne, które są dowodem dopełnionéj w kraju czynności prawnéj albo przynajmniéj podają nam o téj czynności wiadomość. Pism takich naliczył autor 57. Co do nich nasuwa się najprzód pytanie, czy wszystkie są autentyczne? wiadomo bowiem, że i w innych krajach, im epoka jest dawniejszą, tém wyższy w dokumentach do niéj odnoszonych znajduje się odsetek aktów podrabianych lub sfałszowanych, a odsetek ten na czasy Merowingów daje nam aż 50% falsyfikatów. Za najważniejsze kryteryum odróżnienia autentyków uważa autor samo pismo i dlatego postarał się o zgromadzenie jaknajwiększéj liczby oryginałów, kopii fotograficznych i podobizn, a porównawszy je

starannie doszedł do wniosku, że dziewięć aktów są późniejszemi fabrykatami, mianowicie 3 lędzkie, 2 mogileńskie, trzemeszeński, zagojski, lubiąski i chropski po jednym. Treść przeważnéj liczby tych aktów zdaje się stwierdzać wniosek wyprowadzony z charakteru pisma. Pragnęlibyśmy jednak usłyszyć zdanie znawców naszéj paleografii co do aktu Kazimierza Sprawiedliwego o polowaniu w dobrach Chropskich, — treść i stylizacya bowiem tego aktu nie nasuwa podobno żadnych podejrzeń. Za oryginały niewątpliwie uznaje dr. Kętrzyński 17 dokumentów, a nie kwestyonuje 19 takich, które dochowały się w kopiach. Z tych oryginałów i kopii, wyłącza następnie autor dziewięć dokumentów, które po za granicami kraju zostały sporządzone; pozostaje mu przeto do rozbioru tylko 27. Rozpadają się one na dwie kategorye: piérwsza posiada kształt i układ dokumentów, druga ma znamiona zapisek historycznych. Ale autor ścisłość wymagań swoich względem dokumentu daléj posuwa: „nie każde pismo — powiada — ułożone na sposób dokumentu, staje się przez to samo już dokumentem, prawnym dowodem; jeżeli nim ma być, powinien wystawca je uwierzytelnić i ulegalizować nie tylko jakimś znakiem zewnętrznym, lecz powinien także to wyraźnie w piśmie i to w tak zwanéj formułce koroboracyjnéj oświadczyć; tylko w takim razie będzie się wiedziało, że za jego wiedzą i wolą ten znak został dodany, że zatem cały akt rzeczywistą jego wolę zawiéra.“ Można dziś stawiać takie wymagania, czy jednak słusznie będzie przenosić je i na wiek XII? Toć przecie jeśli wystawcą był książę, nierozumiejący pospolicie ani słowa po łacinie, a w tym tylko języku redagowano akta, samo wpisanie formułki koroboracyjnéj nie dawałoby mu żadnéj rękojmi zgodności brzmienia dokumentu z jego wolą. Pieczęć, mogąca znajdować się w ręku samego księcia, była podobno rzeczą główną, a zaufanie jego do swego kanclerza, redagującego dokumenty niezbędném: inaczéj by mu takiego urzędu nie powierzał. Zbyt apodyktycznem wydaje się twierdzenie, jakoby u nas w XII wieku „mieli prawo używania pieczęci“ tylko arcybiskup, biskupi, legaci papiescy, oraz książęta. Mniejsza, że faktycznie znamy pieczęci Dzierżka i Gniewomira, ale nie ma najmniejszéj podstawy faktycznéj do twierdzenia, że „prawo“ w jakikolwiek sposób regulowało kwestyę posiadania pieczęci. Namby się prawdopodobniejszém wydawało, że pieczęć posiadać mógł każdy, kto koszta jéj sporządzenia był w możności ponieść, chociaż zapewne bardzo wielu, którym środków pieniężnych nie brakowało, obchodzili się bez pieczęci. Nie do przyjęcia jest także zdanie autora, jakoby z pomiędzy książąt XII wieku mieli pieczęci tylko Henryk i brat jego Mieszek Stary. Najprzód zaznaczyć tu należy, że między

tém, co było przed wieki, a tém co my wiemy o owéj odległéj przeszłości, może zachodzić wielka różnica: jeden pożar drewnianego klasztoru był w stanie pozbawić nas jedynych w pewnéj kwestyi świadectw. Przypuśćmy, że prawo polskie „nie wymagało“ wystawiania dokumentów; ależ książęta mieli ciągłe stosunki z zagranicą, gdzie pieczęć zdawna była w użyciu, i pewnie nie chcieli by się pod tym względem okazać niższymi od swych sąsiadów, z którymi bywali w stosunkach przyjaźni i pokrewieństwa. Wyprawiając swego posła zagranicę, książę musiał go przecież zaopatrzyć w listy uwierzytelniające, a te już (dla braku podpisu) wymagały przyczepienia pieczęci. Być może, iż czteréj młodsi synowie Krzywoustego w roku 1146 nie mieli, jak chce autor, pieczęci. Nieby w tém dziwnego nie było: po śmierci ojca znaleźli się w ostrym zatargu z bratem najstarszym, zatargu, który przeszedł w otwartą wojnę domową, mogli więc nie znaleść czasu na zaopatrywanie się w pieczęci, a najmłodszy Kazimierz, jako dziecko nieletnie, nie bardzo jéj téż potrzebował. Ale i na odwrót, mogli wszyscy, nie wyłączając nawet Kazimierza, posiadać pieczęci własne. Akt legata Humbalda nie upoważnia do żadnych w téj mierze wniosków: książęta proszą legata nie o to, żeby i c h akt s w o j ą p i e c z ę c i ą stwierdził, lecz o to, żeby ich darowiznę potwierdził we własnym akcie powagą, jaką nań zlał papież. Pieczęć a „*auctoritas nobis commissa*“ to nie są rzeczy identyczne. Wszakże i późniéj posyłano do stolicy apostolskiéj przywileje z pieczęcią książęcą, z prośbą, aby je powagą swoją zatwierdziła. Dlatego też, i obecność przy akcie Humbalda dwóch kanclerzy książęcych nie potrzebuje gorszyć nas, jeśli tak wyrazić się wolno, ale raczéj skłonić do postawienia sobie pytania: w jakimże celu książęta ustanawiali tych urzędników, jeżeli żadnych dokumentów nie wystawiali? Cóżkolwiekbądź w XII wieku Mieszek Stary posługuje się trzema pieczęciami, kopiaryusz Czerwiński opisuje pieczęci Bolesława Kędzierzawego i Henryka, pieczęć Odona Mieszkowica dochowała się do naszych czasów, dr. zaś Piekosiński opublikował wspólną pieczęć Leszka i Konrada, (archiwum wrocławskie wreszcie posiada pieczęć Bolesława Wysokiego, ale gdy dr. Kętrzyński uważa ją za falsyfikat, kładziemy ją tymczasem w nawiasie). Co więcéj, w archiwum w Saint-Gilles we Francyi znajduje się dowód urzędowy, świadczący, że już Bolesław Krzywousty zaopatrywał pieczęcią swe pisma (ob. Przezdziecki, Śladów Bolesławów). Tyle z powodu dokumentu Humbalda. Autor przechodzi z kolei do następnych aktów. W tekscie aktu biskupa Waltera proponuje poprawki, które mogą być trafne, lubo tytuł *palatini* nie koniecznie jest późniejszą *glossą*, skoro komesa palatyna zna już kro-

nika Galla. Dokument Zbyluta, drukowany w trzech egzemplarzach, daje powód autorowi do zastanowienia się nad ich wzajemnym stosunkiem. Z różnic zachodzących w redakcyi zapiski końcowéj w egzemplarzach II-im i III-im wyciąga dr. Kętrzyński wniosek, że zaszły znaczne zmiany w posiadłościach klasztornych. Tych znacznych zmian nie widzimy, a nie mogąc rozwodzić się tutaj nad tém obszernie, zaznaczymy tylko dla mających samą książkę przed sobą, że w tekście II Ogerius wymieniony jest jako nadawca, lubo opuszczono co nadał; z tekstu III dowiadujemy się, że to była wieś Thura. Różnica istotna zachodzi co do Dębogóry, nadanéj (według tekstu III) przez Filipa, która w tekście II figuruje tylko jako płacąca klasztorowi dziesięcinę; stało się jednak pewnie przez omyłkę w tekście II, przedewszystkiém bowiem klasztory starały się o uzyskanie dziesięcin ze wsi własnych. Darowiznę dziesięcin z trzech wsi przez arcybiskupa Piotra raczéj za pierwszą, aniżeli za ponowną uważaćby wypadało; dziesięcina w Targowisku (w tekście III) nie jest żadnym nowym nabytkiem, bo jest tém samém, co dziesięcina w Lokno (tekstu II; *cf. in Lokna forum*, w tekście dyplomatu).—Analiza dokumentu lubiąskiego z r. 1175, wykazująca, że to jest kopia, nie oryginał, zręcznie jest przeprowadzona. — W rozbiorze aktu biskupa Benedykta (1191 r.) dr. Kętrzyński akceptuje bez zastrzeżenia rok 1187, jako datę nadania dla Joannitów, uczynionego przez Mieszka i biskupa Radwana; nicby przeciw téj dacie nie było do zarzucenia, gdyby Benedykt był istotnie następcą Radwana, jak to autor powiada. Ponieważ jednak Benedykt mówi o Radwanie „*quintus ante nos Poznaniensis episcopus*“, co chyba to znaczy, że od Radwana do Benedykta było pięciu w Poznaniu biskupów, licząc ich obu do tego pocztu; a od roku 1187-go do 1191-go za krótki jest przeciąg czasu na pomieszczenie pięciu biskupów; przeto wypadnie rok 1187-my odrzucić, a datę fundacyi bardziéj w przeszłość cofnąć, może o lat 20, za czém przemawia i kanclerska godność Radwana, w jakiéj go widzimy dokumentalnie w r. 1153.—Z rozpatrzonych w ten sposób dokumentów wyprowadza autor reguły formalne, które w nich znajduje (inwokacya, salutacya, arenga, promulgacya, narracya, koroboracya, rekognicya, maledykcya, wyliczenie świadków, *actum* i *datum*). Następnie bierze pod rozbiór tak zwane protokóły, podając mnóstwo uwag i spostrzeżeń. W nadaniu kujawskiém 1185 r. dopatruje jakieś opuszczenie między wyrazami *annuatim* i *de moneta*; może tu nic nie opuszczono, bo wyraz *addimus* jest domyślny;—poprawka w arendze nadania ks. Salomei jest dobra. Po dokumentach i protokółach następują „zapiski“. W wykazie posiadłości wrocławskiego klasztoru „na Piasku“ należa-

łoby zamiast „Kogerevo“ czytać „Rogerewo“, co znaczy posiadłość Rogera, która w bulli r. 1193 nazwana jest Rogerowicami (*Rogerewich*). Twierdzenie, jakoby wyrazy „*in presenti privilegio*“ w nadaniu r. 1191 nie stwierdzały, że akt jest dokumentem, lecz odnoszą się raczéj do samego nadania, twierdzenie to jest wprost sprzeczne z całą stylizacyą odpowiedniego ustępu w tekście.—Dalszy rozdział zajmuje się bullami. Skąd się wzięło w bulli r. 1136 imię „Daugeri“ — autor wyjaśnił ostatecznie, równie jak prawne znaczenie wypisywanych imion wieśniaczych. W bulli r. 1155 dla klasztoru Czerwińskiego nie zwrócił autor uwagi na ustęp, lubo go przytacza, o komesie Bartłomieju, który „*Garvolionem... dedit et scripto suo firmavit*“; a przecież mamy tu dowód, że w XII-ym wieku osoby prywatne wystawiały dokumenty. Dziwigor, wspomniany w bulli r. 1193, znany jest nadto z aktu legata Idziego. Fundatorem Strzelna był Piotr, ale nie Włostowic, lecz inny. — Z miejsca, na jakiém zaciągnięto do Albumu patryarchy jerozolimskiego darowiznę księżny Eudoksyi, wnosi autor, że ta darowizna zaszła po roku 1202-im; nie wyjaśnił nam jednak, jakim sposobem znalazła się ta darowizna już w przywileju patryarchy z r. 1198; co więcéj, Mieszek Stary trzykrotnie się żenił, a Eudoksya była drugą jego małżonką, nie mogla przeto po śmierci męża czynić darowizn; żyła ona jeszcze w r. 1177 i może 1180, ku tym więc datom wypada zbliżyć jéj darowiznę. — Czy istotnie za wpisanie do bractwa nadawano klasztorom wsie tylko dożywotnio, to jest do zgonu nadającego,—wydaje się wątpliwém, bo i modlitwy za duszę zmarłego brata były pożądane. Rozdział V-ty zajmuje się dokumentami podrobionemi. Z rozbioru szczegółowego wypadło, że ich jest 21, co dr. Kętrzyński uznaje za stosunek mniéj korzystny, aniżeli w Niemczech z fabrykatami Merowingów.—Czy krytyka wszystkie te twierdzenia uzna za słuszne? W proroctwa bawić jest rzeczą niebezpieczną; to wszakże powiedziéć wolno i należy, że choćby nie jedno odrzucone lub zmienione częściowo zostało, pracę d-ra Kętrzyńskiego uznać mimo to wypadnie za znakomity nabytek dla naszéj dyplomatyki.

— **Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Skargi Powęskiego.** Napisał *Aleksander Czuczyński*, 1892, 8-o, str. 24. — Nie obszerna ta, ale bardzo dobrze wykonana praca, wykazuje na mocy dowodów urzędowych, że ród Skargów był małomieszczańskim, że pochodził on z Grójca mazowieckiego, że dopiéro brat księdza Piotra, Franciszek przybrał sobie tytuł szlachecki i nazwisko Powęski, co przywilejem królewskim z r. 1593 zostało uświęcone. P. Czuczyński uzupełnił

rzecz swoją wielu szczegółami o różnych krewnych słynnego kaznodziei. Autor umié korzystać w sposób właściwy z aktów urzędowych, umié odróżnić treść istotną, od arengi formalnéj aktu, zużytkowując pierwszą, drugą słusznie pomija. Gdyby był wszystkie powoływane akty przytoczył *in extenso*, rzecz urosłaby do rozmiarów obszernych, ale nauka nicby na tém nie zyskała, a czytelnik tylko by doznał znużenia. Przykład to godny naśladowania.

= **Materyały do etnografii plemienia łotewskiego** w gubernii Witebskiéj. Zebrał i opatrzył objaśnieniami *E. A. Wolter*, prywat-docent uniwersytetu petersburskiego. Część I. Uroczystości i pieśni rodzinne. Petersb. 1890, 8-o, str. XIV i 386. — Profesor Ed. Wolter jest znanym od lat wielu pracownikiem w dziedzinie etnografii i lingwistyki litewskiéj i łotewskiéj. Prace swe pomieszczał w „*Archiv für slavische Philologie*,“ w „Dzienniku ministeryum oświecenia nar.“, w „Żywéj starzyznie,“ w „Pamiętnikach wydziału histor. filolog. przy uniwers. petersb.“ i t. d. Osobno wydał i objaśnił w r. 1886 Katechizm Daukszy z r. 1595, który w przekładzie wschodnio-litewskim znany jest u nas z wydania p. Bystronia pod tyt. „Katechizm Ledesmy;“ w roku zaś 1887 p. Wolter drukował łotewski przekład liturgii ś. Jana Złotoustego. Poważnych rozmiarów tom, który obecnie mamy przed sobą, opisuje w porządku kalendarzowym zwyczaje, obrzędy i pieśni, przywiązane do pewnych dni roku u Łotyszów katolickich w trzech powiatach inflanckich gubernii Witebskiéj: Dyneburskim, Rzeżyckim i Lucyńskim. Wydatne miejsce wśród tradycyjnych zwyczajów zajmują te, które przypadają na dzień św. Jerzego (23 kwietnia), noszący u Łotyszów mityczną nazwę „dnia Jusenia,“ patrona pastuchów i stad końskich. W wigilią św. Jana obchodzą zabawę *Leigu*, odpowiadającą naszéj sobótce. Potem idą uroczystości jesienne: dożynki, tłoka, tak zwane „*Meitruszki*“ (26 października), święta Bożego Narodzenia. Pod napisem „Polsko-łotewskie żarty“ zebrał autor gry i zabawy, jak: koza i wilk, pierścionek, pasanie konia, „*Jumalu*.“ Osobną kategoryą zrobił autor z zabaw, które zowie „łotewsko-litewskiemi,“ czy słusznie? wszakże i gra w „pierścień“ znaną jest Litwinom. Drugą, obszerniejszą część książki zajmują pieśni, śpiewane przy połogu i chrzcinach, w czasie wesela i przy pogrzebie. Pieśni weselne zajmują naturalnie najwięcéj miejsca, zwłaszcza, że mamy tu szczegółowo opisane obrzędy, towarzyszące zaślubinom w czterech gminach powiatu Dyneburskiego. Specyalną ocenę gruntownéj pracy prof. Woltera — ogłosił niedawno znawca tych rzeczy, dr. Jan Karłowicz.

= **Catalogus codicum manu scriptorum** Musei principum Czartoryski Cracoviensis. Edidit *Dr. Josephus Korzeniowski.* 1891. Fasciculus tertius (str. 179—272). Trzeci ten zeszyt katalogu rękopisów obejmuje N-ra 604—729. Oprócz pierwszego z nich, który pisany był w wieku XVIII, a zawiéra przeważnie akta sądowe z lat 1590—1758, wszystkie dalsze pozycye należą do kolekcyi, którą pospolicie zowią Archiwum króla Stanisława Augusta. Większa część kodeksów tego zbioru należy istotnie do panowania Poniatowskiego, są jednak wśród nich i takie, które odnoszą się do czasów Augusta II i III, albo nawet sięgają w XVII i XVI stulecia. Archiwum to królewskie rozpadło się na dwie części: jedna, około 400 obejmująca numerów (kodeksów, tek i fascykułów) przeszła do Marcina Badeniego, a po nim w spadku do niedawno zmarłego Pawła Popiela; drugą Stanisław August darował w r. 1795 Tadeuszowi Czackiemu i tę właśnie katalog nasz systematycznie opisuje. N-ra 605—634 odnoszą się do stosunków wschodnich, to jest z Turkami, Tatarami i Persami; sprawy sasko-polskie pomieszczono w kodeksach 635—651; reszta kodeksów w niniejszym zeszycie opisanych zawiéra listy do Stanisława Augusta lub przez niego pisane, listy do Ogrodzkiego, jego sekretarza, lub do jego ministrów. Oryginałom otrzymanych listów służą za objaśnienie dołączone odpowiedzi na nie. P. Korzeniowski wymienia nazwiska korespondentów i liczbę napisanych przez nich listów, wyszczególnia téż każde godniejsze uwagi pismo. Dla historyków drugiéj połowy XVIII stulecia taki katalog przedstawia nieocenione ułatwienie.

= **Projekty do budowy domów** frontowych przed teatrem polskim w Poznaniu technicznie objaśnili *Jan Rakowicz* i *Wincenty Dylewski*, budowniczowie (z dwoma tablicami rysunków).—Jest-to publikacya polemiczna, wywołana tą okolicznością, że architekt Gorgolewski, któremu powierzono do oceny projekt budowy domu, ułożony przez autorów publikacyi, uznał całość rozkładu za zupełnie odpowiednią i dobrą, lecz nie godząc się na styl późniejszego *barocco*, dorobił, „nieproszony przez nikogo“, nową fasadę w stylu zbliżonym do włoskiego odrodzenia. Połączenie w jednéj osobie charakteru sędziego z charakterem projektodawcy nie wydaje nam się właściwém, sąd jednak o tém, czyja fasada jest lepszą, właściwszą i piękniejszą, musimy zostawić specyalistom.

= *Wiktor Syniewski.* **Maź jako materyał opałowy,** z 10 tabl. litogr. Lwów, 1892. Nakład Wydziału krajowego, str. 61. — Użycie

do opału mazi i innych odpadków, otrzymywanych przy dystylacyi nafty z ropy, znalazło już szerokie zastosowanie w Ameryce i Rosyi. Galicya, która produkuje (w r. 1887) 1,200,000 cet. m. ropy, przerabia w kraju z nich 700,000; odpowiada to 250,000 cet. m. mazi, które mogłyby znaleść zastosowanie jako opał w kraju [1]); w razie zaś, gdyby całkowita ilość ropy uległa przeróbce w kraju, mazi do użytku opałowego byłoby do 450,000 cet. m. rocznie. Dotąd w Galicyi maź jako materyał opałowy używa się wyłącznie w dystylarniach nafty, a i tu urządzenia nie odpowiadają najnowszym wymaganiom techniki w téj dziedzinie. 350,000 ctn. mazi zastąpiłyby 700,000 ctn. węgla kamiennego, gdyż ze wszystkich materyałów opałowych maź daje najwięcéj ciepła, a mianowicie dwa razy więcéj, niż węgiel kamienny. Do innych dogodności tego opału należą: 1) możność doprowadzenia powietrza w ilości ściśle potrzebnéj do zupełnego spalenia mazi, przez co unika się tak straty nieprodukcyjnéj ciepła, jakotéż dymu, zanieczyszczającego powietrze; (widzieliśmy zastosowanie tego opału na Wołdze i poświadczyć możemy, że przy żadnym innym nie bywa takiéj czystości na statkach); 2) brak prawie zupełny popiołu; 3) prędkość ładowania—maź leje się szerokiém korytem ze zbiornika, tak że w ciągu 15 minut wielki statek parowy zaopatruje się w opał na całą dobę; 4) wszelki inny opał wymaga otwierania drzwiczek od pieca do jego wprowadzenia, co powoduje psucie się kotłów od raptownego oziębienia i stratę ciepła przez wdzieranie się większéj masy powietrza. Rozpylacz maziowy działa stale, jednostajnie i z łatwością pozwala regulować ilość ciepła.—Te nieocenione zalety rokują wielką przyszłość mazi, jako materyałowi opałowemu w krajach, gdzie przerabia się ropa. Książka p. S. przyczyni się niezawodnie do rozpowszechnienia u nas tego rodzaju opału. Znajdujemy w niéj oprócz ogólnych danych, dotyczących opału mazią, opisanie rozmaitych systematów przyrządów, służących do urzeczywistnienia takowego: 1) w kotłach stałych, 2) na lokomotywach i statkach parowych, 3) w metalurgicznych piecach i kuźniach. Rysunki załączone pozwalają dokładniéj obeznać się z opisanemi przyrządami. Książka przeznaczona jest dla fachowców, napisana jednak bardzo przystępnie. *Wł. M. K.*

— Jak wiosnę zapowiada przylot bocianów, tak zbliżającą się jesień zwiastują kalendarze na rok przyszły. Widzieliśmy już dwa: 1) „**Facet**, wesoły kalendarzyk“, wydany przez *Ner-Bucha,* który za 20 kop. daje sporą garść konceptów i dykteryjek, zręcznie ilustrowa-

[1]) Obecnie przerabia się ona głównie na oleje ciężkie, smarowe i t. d.

nych,—i 2) wydany staraniem firmy B. Ronczewskiego **Kalendarz myśliwski**, także ilustrowany, gdzie oprócz fachowych wskazówek podano przepisy o polowaniu, rzecz o jamnikach, o polowaniu na cietrzewie, o „literaturze myśliwskiéj", o tępieniu szkodników i t. d. (cena 35 kop.).



KORESPONDENCYA.

Do zamierzonéj pracy o Zygmuncie Krasińskim (1812 † 1859) potrzebne mi są wszelkie o nim wspomnienia osób, które z nim miały jakąkolwiek styczność, a jeszcze bardziéj jego oryginalne listy lub utwory nieznane; dlatego też zwracam się z prośbą do łaskawéj publiczności o pomoc przez nadesłanie wspomnień, wiadomości o listach lub utworach jego, lub jego przyjaciół, a osoby jego dotyczących. Kupuję wszelkie wydania pism własnych Zygmunta Krasińskiego, lub też w związku z nim pozostających, wszelkie listy przez niego lub do niego pisane, również wszelkie portrety Zygmunta Krasińskiego i jego przyjaciół. Adres mój: w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 5. *Zygmunt Wolski.*

W imię nauki śmiem prosić wszystkie pisma polskie o łaskawe powtórzenie niniejszéj odezwy.





SPROSTOWANIA.

W zeszycie sierpniowym r. b. na str. 291, wiersz 7 od góry, zamiast: *w badaniu empiryczno-dedukcyjnem*, winno być: *w badaniu empiryczno-indukcyjnem.*

Na str. 293, wiersz 1 od dołu, zamiast: *Lehrbuch der allgem. Zoologie. Leipzig, 1878, str. 182*, winno być: *Lehrbuch der allgem. Zoologie. II. Physiologie. Leipzig, 1878, str. 182.*

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w Sierpniu 1892 r.

1. **Homera Iliady** pieśń I. Przekładał *Jan Czubek.* Kraków, 1892, 8-vo, str. 16.
2. *Józef Kowalski.* **Wpływ ciśnienia** na przewodnictwo elektrolitów. (Z tablicą). Kraków, 1892, 8-vo, str. 14.
3. **Twórczość w przemyśle,** (studyum ekonomiczno-prawnicze). Napisał *Fryderyk Zoll* (*junior*). Kraków, 1892, 8-vo, str. 61.
4. **Wisła,** (kwartalnik poświęcony etnografii). 1892, tom VI, zeszyt 2, (kwiecień, maj, czerwiec), 8-vo, str. 263 — 500, (z litografią kolorowaną).
5. **Pochodzenie** i rodzina ks. Piotra Skargi Powęskiego. Napisał *Aleksander Czuczyński.* 1892, 8-vo, str. 24.
6. **„Facet".** Wesoły kalendarzyk na 1893 rok. Wydał *Ner. Buch.* Warszawa, skład główny w redakcyi „Muchy", str. 80, z rysunkami, (cena kop. 20).
7. *Eugeniusz Veron.* **Estetyka.** Przełożył z oryginału francuzkiego *A. Lange.* Warszawa, nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 437 i III.
8. **Fortuna.** Powieść *Aleksandra Kiellanda.* Tłomaczyła *O. P.* Warszawa. Nakładem Redakcyi tygodnika „Głos", 1892, 8-vo, str. 226.
9. *A. Wilkoński.* **Ramoty i Ramotki.** Tom IV, V i VI („Biblioteka Powszechna", N-ra 29, 30 i 32). Warszawa, T. Paprocki i S-ka, nakł. Zukerkandla i Syna w Złoczowie, str. 82, 80 i 86.
10. *Wilhelm Feldman.* **Jak w życiu.** Obrazki. („Biblioteka Powszechna", N-ra 33 i 34). Warszawa, T. Paprocki i S-ka, nakładem Zukerkandla, str. 166.
11. **Projekta** do budowy domów frontowych przed teatrem w Poznaniu. Technicznie objaśnili *Jan Rakowicz* i *Wincenty Dylewski.* 1892, folio, str. 22, z dwoma tablicami rysunków.
12. **Kalendarz myśliwski,** ilustrowany, na rok 1893. Warszawa, nakład B. Ronczewskiego, 8-vo, str. 128 i 32.
13. *O. Leixner.* **Wiek XIX.** Obraz ważniejszych wypadków na tle cywilizacyi; z ilustracyami. Opracował *Fr. Rawita* (*Gawroński*). Warszawa, 1892. Tom II, zesz. 6 (ostatni), str. 401 — 548.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swą uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

